

James Oliver Curwood
BŁYSKAWICA

ROZDZIAŁ I

Niesamowite i tajemnicze szepty nocy podbiegunowej drżały w powietrzu. Był zimny, wczesny zimny zmierzch długich szarych miesięcy; bezsłoneczny mrok opadał szybko na zakrzepły kraj, położony na północnym cyplu amerykańskiego kontynentu powyżej Kręgu Polarnego. Ziemię kryło tylko niespełna dwanaście cali śniegu, miękkiego i twardego niby kryształki cukru, lecz ziemia sama zamarała na cztery stopy w głąb. Było sześćdziesiąt stopni poniżej zera.

Z nagiego szczytu lodowego wzniesienia, górującego nad białą roztopczą przesmyku Bathurst, Błyskawica, siedząc na zadzie, obserwował swój świat. Była to trzecia zima w życiu Błyskawicy, jego trzecia długa noc. Półmrok, wieszczący jej nadejście, napawał go dziwnym niepokojem. W niczym nie przypominał zmierzchu dalej na południu, stwarzał obszerną, szarą, chaotyczną pustkę, poprzez którą wzrok biegł w nieskończoność, lecz nie widział nic. Ziemia i powietrze, morze i równina stapały się w jedno. Brakło chmury, nieba, linii horyzontu, księżyca, słońca, gwiazd. To "było znacznie gorsze niż prawdziwa noc.

Później nieco ziemia wyłoni się z chaosu i każdemu ruchowi Błyskawicy pocznie towarzyszyć jego cień. Na razie jednak świat przypominał czarną studnię wypełnioną dźwiękami, których nigdy nie lubił, a które czasem budziły w nim wielką tęsknotę i dziwne poczucie osamotnienia. Brakło wiatru, mimo to w podniebnym burym kłębowisku polatywały szepty i jęki, ścigane nieustannym ujadaniem białych lisów. Tych lisów Błyskawica nienawidził. Nienawidził ponad wszystko inne. W nerwowym ujadaniu udzielały mu coś z własnego bolesnego szaleństwa. Najchętniej rozdarłby je na strzępy. Gorąco pragnął zdławić ich głosy raz na zawsze i oswobodzić od nich ziemię. Lecz były dziwnie lotne i trudne do schwytania. Z doświadczenia przekonał się o tym.

Siedząc na lodowym postumencie zmarszczył wargi obnażając mlecznobiałe kły. Warczenie wezbrało mu w gardle i zwolna wstał. Był wspaniałym okazem dzikiej bestii. Wątpliwe, czy pomiędzy Keewatin

i Wielkim Niedźwiedziem tuzin wilków mógłby mu wzrostem dorównać. Zresztą, niezupełnie przypominał wilka. Pierś miał szeroką i wysoko nosił duży łeb. W ruchach jego brakło podstępnej czujności. Wodził wzrokiem otwarcie i bez lęku. Grzbiet miał prosty, wargi podciągnięte, a futro łagodnej, nieuchwytnie burej barwy zajęcy leśnych. W masywnej czaszce oczy siedziały szeroko nad twardym zarysem szczęk. Ogon sterczał prosto, a nie zwisał jak kita wilcza. Błyskawica bowiem był mieszańcem.

Przed laty dwudziestu przodek jego był psem, olbrzymim dogiem duńskim. Dłuższy czas krew doga łączyła się z krwią wilczą, aż w piątym pokoleniu zatraciła wszelką cechę pierwotną. Pełnych lat piętnaście przodkowie Błyskawicy to były wilki — zgłodniałe bestie, żądne krwi i łupu, na wielkim białym barren. Gdy mknęły równiną, grzbiety ich i łapy tylne osiadały nisko, kity im się w śniegu wlekły, ślepie miały wąsko osadzone, do białych lisów nie czuły żadnej szczególnej nienawiści.

Błyskawica, stojąc na lodowym pagórku, i równie mało wiedział o swym psim pochodzeniu, jak mało pojmował tajemnicze hukania i jęki krążące mu nad głową pod niewidzialnym stropem nieba. Był wilkiem. Na wilczy sposób szczyrzył długie kły. Lecz w głębi jaźni dzikiej i pierwotnej, zahartowanej w walce o byt wśród ustawicznych walk morderczych, głodu i śmierci — głos olbrzymiego doga, przodka sprzed ówierwecza niemal, silił się już przemówić.

Błyskawica odpowiedział na zew w ten sam sposób, w jaki odpowiadał nań poprzednio. Na ślepo, bez widocznej przyczyny, nic nie rozumiejąc, doznając tylko wielkiej tęsknoty za światem, zstąpił z lodowego urwiska ku morzu.

Morzem był przesmyk Bathurst. Jak Zatoka Koronacyjna stanowi część Oceanu Arktycznego, tak przesmyk Bathurst stanowi część Zatoki Koronacyjnej. Szeroki u wejścia, lecz zwężający się później niemal do rozmiaru kobiecego palca, sięga na dwieście mil w głąb ziemi Mackenzie, tak że po jego lodzie można odbyć podróż, od pozbawionych nawet traw i chaszczki dziedzin morsów i białych niedźwiedzi po krainę porośłą jałowcem, brzozą i cedrem, leżącą za wielkim barren. Jest to ów długi otwarty szlak, wiodący od Ziemi Księcia Alberta w dół, ku zalesionym obszarom, kaprys stref podbiegunowych, najkrótsza droga łącząca eskimoskie igloo z Melville Sound ze starym fortem Reliance, położonym o pięćset mil dalej na południe, na granicy ziem cywilizowanych. Błyskawica zwrócił łeb właśnie na południe i wchłonął nozdrzami powietrze. Warknięcie zamarło mu w krtani, przechodząc w niski skowyt. Zapomniał o białych lisach. Ruszył z miejsca, truchtem na razie,

lecz po upływie stu metrów przeszedł w cwał. Jego wielkie bure cielsko śmigało coraz szybciej. Raz, gdy miał dwa lata, pewien Cree i pewien biały człowiek widzieli go lecącym przez równinę i Indianin rzekł: — Weja mekaw susku waol Jest szybki jak Błyskawica!

W chwili obecnej Błyskawica rwał właśnie tak jak wtenczas. Bieg nie stanowił dlań żadnego trudu. To była jego gra, jego radość życia! Nie ścigał bynajmniej zwierzyny. Nie był wcale głodny. Mimo to władał nim dziki dreszcz, rozkosz pędu, wspaniała gra mięśni w pięknym i nieustrudzonym ciele upajały go do szaleństwa. Mięśnie spełniały każdą zachciankę tak nieomylnie, jak precyzyjny mechanizm spełnia wolę człowieka. Na swój pierwotny sposób Błyskawica doznawał własnej potęgi.

Najbardziej lubił gnać pod gwiazdami i księżycem na wyścigi ze swym cieniem, jedyną rzeczą na całej dalekiej północy, której nie potrafił w biegu zwyciężyć. Dzisiejszego dnia czy też nocy dzisiejszej — gdyż właściwie nie było to ani jedno, ani drugie — szaleństwo pędu gorzało w jego krwi. Około dwudziestu minut ścigał się tak z niczym, aż wreszcie stanął. Boki jego unosiły się i opadały w szybkim oddechu, lecz zziębły nie był. Zaledwie ruch łap ustał, już głowa czujnie uniosła się do góry, ślepa nieustrudzenie przesywały chaotyczną pustkę na przedzie, a nozdrza łowiły woń wszelką.

W powietrzu istniało coś, co kazało mu skrócić pod prostym kątem do poprzedniego szlaku, między rzadkie chaszczki wzdłuż wybrzeża. Te chaszczki świadczyły o potężnych mocach życiowych podbiegunowego łądu. Rosły karłowate, wyświechtane i zmierzwiłone. Można było przypuścić, iż mróz je zaskoczył w chwili bolesnych kurczy i skrzepły tak w męczącej agonii.

Ten odwieczny las nie strzelił nigdy wyżej niż ochronna pokrywa śniegu zimą. Miał może sto lat, może pięćset, może tysiąc, a jego najpotężniejsze drzewo, o pniu grubości ludzkiej nogi, sięgało tylko barku Błyskawicy. Miejscami zarośla gęstniały. Tu i ówdzie tworzyły niezłe kryjówki. Wielkie króliki śnieżne kicały tu i tam. Olbrzymia biała sowa poszybowała górą.

Błyskawica dwukrotnie obnażył kły na widok upiornych cieni białych lisów. Lecz nie wydał głosu. Coś, silniejsze znacznie niż nienawiść do tych stworzeń, władało nim obecnie. Szedł dalej. Woń tężała w powietrzu. Błyskawica, zwrócony ku niej czołem, stąpał otwarcie i bez lęku.

W odległości pół mili trafił na wąską dolinkę — bliźnię w Jonie ziemi — wyżłobioną niegdyś ostrą krawędzią przedhistorycznego lodowca. Była ciasna, głęboka i dziwaczna, podobna do skalnej szczeliny. Dwanaście długich skoków i przebyły ją od brzegu po brzeg. Noc podbiegunowa gromadziła na dnie gęste cienie. Rosły tam chaszczki, coś na kształt prawdziwego lasu nawet, co zimą bowiem wichry lecące z bar-

ren zawałały dolinę śniegiem po wręby, więc krzaki* i drzewa chronił kożuch zasp wysokich na dziesięć do piętnastu metrów. Obecnie czerniały zwarte i ponure. Błyskawica jednak wiedział, że jeśli zada sobie trud, znajdzie tu życie.

Szybko podążył jedną z krawędzi. Nie był niczym więcej, jak tylko cieniem stanowiącym część ogólnego mroku. Lecz istniało tu wiele oczu stworzonych do życia w ciemności i te obserwowały go złośliwie.

Spośród zarośli uleciały raptem w górę białe widma sów śnieżnych. Zatrzepotały ponad nim wielkie skrzydła. Usłyszał gniewne kłapanie morderczych dziobów.

Wiedząc o ich obecności Błyskawica ani przystanął, ani odczuł trwogę. Na jego miejscu lis co prędzej poszukałby bezpiecznej kryjówki. Nawet czystej krwi wilk, warcząc, zwróciłby kroki w kierunku barren. Lecz ten potomek psa nie dbał o, nic. Nie lękał się sów. Nie lękał się nawet wielkich białych niedźwiedzi. Wiedział doskonale, że nie potrafi zabić Wapuska, potwora pól lodowych, że natomiast Wapusk zgniecie go bez trudu jednym ciosem olbrzymiej łapy. Mimo to nie doznawał lęku. Na całym świecie jedna rzecz tylko napełniała go uszanowaniem i ta właśnie wyrosła przed nim raptem jako cień w pomroce.

ROZDZIAŁ

Strażnicy prawa

Była to chata zbudowana z drzewa dobytego z głębi lodowcowej dolinki. Nad dachem górował komin, a z komina bił dym. Błyskawica zwęszył woń dymu z odległości mili. Dobrych parę minut tkwił teraz bez ruchu. Potem z wolna jął zataczać koło, aż się znalazł na wprost ściany opatrzonej oknem.

W ciągu ostatniego półrocza po raz trzeci wykonywał ten sam manewr, by wreszcie, kucnąwszy na zadzie, patrzeć w okno. Dwa razy przybywał nocą; obecnie wybrał się pod osłoną zimowej pomroki. Okno płonęło zawsze światłem bijącym z wnętrza chaty. Teraz świeciło również. Widok ten przypominał Błyskawicy prostokątną plamę słońca. Z rudego tła szło coś bladeżłote. Błyskawica znał ogień, lecz zanim znalazł chatą, nie wiedział wcale, że może istnieć podobne dziwo: ogień bez płomieni. Doznawał szczególnego wrażenia, że świat zmierzchnął, ponieważ słońce ukryło się we wnętrzu tej chaty.

W szerokiej piersi serce biło mu gwałtownie i oczy lśniły gorączkowo, podczas gdy obserwował okno oddalone o sto stóp mniej więcej. Wstecz, poprzez dwadzieścia pokoleń wilczych, żyjąca w nim kropla psiej krwi wracała niby gołąb do gniazda, ku jaźni wielkiego doga, który sypiał w kręgu ognia białego człowieka, odczuwał dotyk jego rąk, znał słońce i ciepło oraz pieczętę głosu pana. U boku Błyskawicy, gdy tak patrzył w świecące okno, siedział duch Skagena. Skagen się w niego wcielał. To on nim kierował przez mrok ku chacie otulonej wonią dymu.

Błyskawica nic o tym nie wiedział. Nurzając lędźwie w śniegu, milcząco zwracał pysk ku chacie i światłu, a w jego dzikim sercu rosły wielka tęsknota i wielkie osamotnienie. Nie rozumiał swego stanu, Był przecież wilkiem, krew z

krwi dwudziestu pokoleń wilczych. Mimo to, gdy tak trwał na czatach, duch Skagena warował u jego boku.,

W chacie na skraju lodowcowej doliny, plecami zwrócony do żelaznego piecyka do czerwoności rozpalonego jałowcem, siedział kapral Pelletier z Królewskiej Północno-Zachodniej Konnej Policji i na głos odczytywał żołnierzowi Sandy O'Connorowi zakończenie oficjalnego raportu. Raport ten, przeznaczony dla nadinspektora Starnesa dowodzącego dywizją M. w forcie Churchilla, miał odbyć siedemset mil wynoszącą drogę na południe za pośrednictwem eskimoskich sań i psiego zaprzęgu.

Zakończenie raportu brzmiało jak następuje:

Pozwolą sobie dodać następujących parę słów, tyczących karibu i wilków. Chodzi mi o podkreślenie groźby głodu, jaki czeka tej zimy daleką północ. Karibu, w ogromnych stadach, emigrują na południo--zachód i do pół zimy odejdą wszystkie. Ten ruch nie jest bynajmniej spowodowany brakiem paszy. Porosty i mchy znajdują się w ilości do statecznej pod ćwierćmetrową zaledwie warstwą śniegu. Podług mego zdania winę ponoszą wilki. Nie polują one w luźnych gromadach, lecz zbierają się w olbrzymie hordy. Szeregowy O'Connor i ja sam widzieliśmy pięciokrotnie stada liczące od pięćdziesięciu do trzystu sztuk. Na pewnym szlaku, na przestrzeni siedmiu mil, policzyliśmy trupy dwustu rozszarpanych karibu. W innym znów wypadku na przestrzeni mil dziewięciu leżało przeszło sto szkieletów. Rzeź trzydziestu do czterdziestu sztuk przez mniejsze stada zaliczyć należy do rzeczy codziennych.

Starzy Eskimosi twierdzą, że raz na ludzkie pokolenie wilki ogarnia szal krwi. Zbierają się wtenczas w olbrzymie gromady i ogałają ze zwierzyny cały kraj, mordując to, co nie zdoła ujsć. Zdaniem Eskimosów, takiej zimy złe duchy triumfują nad dobrymi, ze względu zaś na ów zabobon trudno jest skłonić ludność do udziału w wielkich obławach, jakie mogliśmy zorganizować. Mam jednak nadzieję, że uda mi się

namówić młodzież do jakiegokolwiek akcji i w tym kierunku obaj z szeregowcem O'Connorem pracujemy gorliwie.

*Pozostają z szacunkiem, posłuszny sługa
Franciszek Pelletier
kapral, dowódca patrolu.*

Pomiędzy kapralem a szeregowcem stał stół z łupanej jedliny. Wisiała nad nim blaszana lampa wypełniona tłuszczem, której światło biło oknem. Pelletier i O'Connor przed siedmiu miesiącami już objęli ów posterunek na końcu świata, toteż zapomnieli nawet o istnieniu brzytwy, a cywilizacja zdała im się egzystować na innej planecie. Było co prawda miejsce, gdzie prawo czuwało jeszcze dalej na północ: wyspa Hershel. Lecz wyspy Hershel, wyposażonej w trwałe baraki i pewien komfort, wykwił nawet, nie należało równać z tą chałupą.

Dwaj mężczyźni, siedzący w świetle lampy, pasowali doskonale do owej dzikiej głuszy, nad którą trzymali straż. O'Connor o barkach olbrzyma, rudowłosa i rudobroda zaciskał potężne czerwone pięści na środku stołu i uśmiechał się do Pelletiera. Czupryna i zarost kaprala były czarne niby skrzydła kruka. Uśmiechał się również, trochę niepewnie. Siedem miesięcy piekła oraz perspektywa jeszcze pięćmiesięcznego tu pobytu, nie nadwerżyły bynajmniej poczucia koleżeństwa.

— Znakomicie! — oświadczył O'Connor ze szczerym zachwytem w głębi błękitnych oczu. — Gdybym ja mógł tak pisać, Pelly, byłbym na południu, nie zaś tutaj, a Kathleen byłaby moją żoną. Tylko żeś zapomniał o jednej rzeczy, Pelly! Nie wspomniałeś wcale tego, co ci mówiłem... O wodzach stad...

Pelletier potrzęsął głową.

— Brzmi to zbyt naiwnie! — rzekł. — Zbyt mało prawdopodobnie.

O'Connor wstał od stołu i przeciągnął się.

— Niech лихо porwie prawdopodobieństwo! — burknął. — Czyż tu choć cokolwiek zdradza jaki taki sens? Mówię ci, Pelly, że Eskimosi, choć gdczą niby kury, mają jednak rację. Jeśli to nie wilkołaki pro wadzą stada, w takim razie jestem Negrem, nie zaś białym! Należałoby więc tylko dostać w ręce tych przywódców!

Urwał nagle zwracając twarz ku oknu. A Pelletier zeszywniał cały i również słuch wyteżył.

Spomiędzy wielkich szczęk Błyskawicy wytrysnął właśnie ponury zew żałobny, daleko sięgający lament słany wprost w siwy chaos białych panów — panów, co pomarli dawno lub zapomnieli o istnieniu sługi. Żaden wilk polarny nie posiadał głosu o głębszym brzmieniu ani niosącego na dalszą odległość. Rodził się niski, stłumiony, pełen urokliwego smutku, by napęcznić stopniowo i wstrząsnąć światem w szalonym, władczym wyciu.

W tych stronach wycie wilka jest tylko objawem życia, jest również objawem śmierci. Ponad wszystko inne budzi strach i grozę. Pustynia otwiera szeroko uszy i słucha, lecz jednocześnie skulona drży w panicznym lęku.

Tak właśnie wył Błyskawica pod adresem małej chaty na brzegu lodowcowej doliny. Nim zaś echo jego zewu zamarło na rozległym barren, już drzwi chaty się otwarły i w kałuży światła stanął człowiek.

Był to O'Connor. Wlepiając oczy w mrok, podrzucił raptem do ramienia coś długie i lśniące. Błyskawica już dwukrotnie przedtem widywał błysk ognia i słyszał trzask gromu idący w ślad za podobnym ruchem człowieka. Za drugim razem jakby pręt rozpalony przejechał mu po łopatce. Instykt podszeptał mu teraz, że w chwili obecnej śmierć krąży mu nad głową. Skręcił więc i pochłonęła go ciemność. Lecz nie biegł. Nie bał się wcale. Natomiast jego dzika, krwiożercza jaźń toczyła srogi bój. Duch dogą Skagena walczył o prawo istnienia i — przegrywał.

Toteż gdy po chwili Błyskawica wyciągnął się znów w szalonym cwale — duch Skagena nie biegł już u jego boku.

ROZDZIAŁ III

Muhikun

Huknął strzał. Śmiertelnie gwizdnęła kula. Dzika krew wilcza niby płomień rozpałała znów żyły Błyskawicy. Duch Skagena pierzchł. Pierzchł urok człowieka. Kropla psiej krwi utonęła w powodzi dzikości.

W ciągu paru godzin Błyskawica był odszczepieńcem własnego klanu, lecz teraz wracał doń znowu. Stał się jeszcze bardziej pierwotnym, wspaniałym, nieustraszonym korsarzem białych pustyń, opryskiem śnieżnych wydm, kakea iskootao — piekielnikiem wśród zwierząt. O'Connor i jego fuzja dokonali natychmiastowej przemiany.

Biała równina, miła za miłą, umykała mu spod łap. Nie bał się jednak jego pęd nie miał nic wspólnego z ucieczką. Śmierć była dlań

rzeczą bliską i dobrze znaną, ocierał się o nią wciąż i przez nią żył. Nigdy nie odwracał się do niej tyłem. Lecz czuły instynkt w sposób właściwy ocenił świst kuli O'Connora. Z tą śmiercią niepodobieństwem było walczyć i zwycięstwo nie leżało tu w granicach możliwości. To była śmierć podstępna i nieuczciwa, a podstęp i fałsz Błyskawica nienawidził. Nienawiść tę wziął w spadku po Skagenie, bowiem wielki dog także cały był prawością.

Owładnął nim nowy popęd. Uczucie samotności, które go do chaty zawlekło, oraz zew dawno zmarłych pokoleń zastąpiła inna, silniejsza chęć — chęć powrotu do stada. Czar prysł. Był znów wilkiem, tylko wilkiem.

Prosto niby wiedziony kompasem śmigał poprzez barren — pięć mil, siedem, dziewięć. Pod koniec dziesiątej mili przystanął i spiczaste uszy zwracając w stronę wiatru, słuchał.

Po chwili znów ruszył dalej, lecz w ciągu najbliższych trzech mil zatrzymywał się trzykrotnie. Aż za trzecim razem słaby i daleki dobiegł go dźwięk. To Baloo rzucał braciom zew — na łowy! Baloo — morderca, Baloo — niestrudzony, Baloo, któremu szybkość łap, wzrost olbrzyma i potężna moc mięśni oddały władzę nad stadem.

Błyskawica kucnął na zadzie i posłał w przestrzeń odpowiedź Nie on jeden. Z południa, wschodu, zachodu i północy wyły inne wilki. Baloo stanowił ośrodek tej zawieruchy. Jego nuta brzmiała przeciąglej, częściej, bardziej znacząco i te spośród wilków, które trapił głód mięsa oraz żądza krwi, skrzyły w jego stronę. Pojedynczo, parami, to znów samotnie truchtem śpieszyły przez barren. Od tygodnia nie zdarzyła się im większa zdobycz, toteż długie kły i czerwienią nabiegłe oczy pragnęły widoku zwierzyny i smaku jada.

Chęć zeru i mordy owładała Błyskawicą na równi z innymi. Nim odnalazł przywódcę, stado zebrało się już częściowo. Zwierzęta biegły teraz milcząc, ramię przy ramieniu, niby upiorne wcielenie dzikości: potężna moc szczęk i kłów, siła mięśni napiętych do walki. Początkowo było ich pięćdziesiąt, lecz cyfra rosła szybko, aż przekroczyła setkę. Prowadził Baloo. W tym zbiorowisku jeden wilk tylko mógł się z nim równać co do wzrostu i mocy, a tym był Błyskawica. Dlatego też Baloo go nienawidził. Pan i władca hordy wyczuwał niebezpiecznego rywala. Mimo to na razie nie doszło między nimi do walki. Grał tu również rolę wpływ doga Skagena, bowiem Błyskawica absolutnie władzy nie pożądał, różniąc się tym krańcowo od każdego innego wilka. Widział radość życia we własnej sile i młodości oraz w zdolności mordy i podboju. Nieraz dnie i tygodnie spędzał na samotnych łowach. W podobnych okresach zbywał milczeniem nawoływanie stada. Sam jeden szukał przygód. Sam jeden cwałował przez śniegi.

Gdy teraz wracał do gromady, Baloo przywitał go wejrzeniem przekrwionych ślepi i wrogo obnażył białe kły, osadzone w potężnych szczękach. Błyskawica jednak wcale nie odczuwał chęci walki ze stworzeniem własnego gatunku. Bywało, że się bił, lecz wyłącznie w swej obronie, pod przymusem niejako, a zwyciężywszy darowywał życie pokonanemu, miast rozszarpać go na strzępy, jak by to uczynił Baloo. Niejednokrotnie odpuszczał winę słabszym i drobniejszym wilkom, nie żądając krwawej zapłaty, do której go upoważniała siła jego łap i szczęk. Mimo to gorzał mu czasem w sercu płomień mordy.

W chwili obecnej ów płomień gorzał również. Chęć zabójstwa owładnęła nim całkowicie, nie łącząc się zresztą wcale z myślą o wielkim Baloo. Toteż Błyskawica, wmieszany w tłum współbraci, biegł posłusznie niemal u samych pięt wodza.

Pod Kręgiem Polarnym nie tylko ludzie, lecz także wilki prowadzić muszą zjadłą walkę o prawo istnienia. Baloo i jego horda nie biegły tak, jak biegną wilki leśne. Zwierzęta zdławiły w sobie wszelkie podniecenie, a raz zwietrzywszy trop milczały już niby zakłete. Mknąc tak mroczną równiną, same do szarego cienia podobne, złane w jedną bryłę i jednym wiedzione instynktem, przypominały potwornego wilkołaka. Ktoś, stojący na uboczu, usłyszałby je, jak mijają w głuchym tętnie niezliczonych łap, w zziąjanym oddechu, w klekocie paszcz i okropnym, niskim skowycie.

W gardzieli Błyskawicy wzbierał też tenże skowyt. To była jego gra, to cała wartość istnienia. Nie zważał wcale na młodą wilczycę, biegnącą u jego boku. Było to śliczne, szczupłe stworzenie, które całym wysiłkiem zwinnego ciała starało mu się kroku dorównać. Błyskawica trzykrotnie ułowił na swym karku jej zziębnięty oddech. Raz skręcił nieco i wtenczas pyskiem musnęła mu łopatkę. W wilczycy budził się instynkt macierzyński silniejszy nawet niż chęć mordy. Lecz jego dzień i godzina jeszcze nie nadeszły. Szalał w nim dziki poryw: doścignąć to, co niewidzialne czeka na przedzie, zatopić kły w żywym mięsie i chleptać pełną paszczą ciepłą, wonną krew.

Pierwszy z całej zgrai ułowił rzecz, której setka siwych pysków daremnie szukała w powietrzu: woń stada karibu. Jeszcze ćwierć mili! Zapach stęzał i Baloo ostro skręcił na południo-zachód. Tempo stada wzrosło. Z wolna, nieznacznie potworny cień, złożony z setki mknących ciał, począł się wydłużać i rozpraszać. Wilki szły w tyralierkę. Nie padł żaden sygnał. Baloo przywódca nie rzucił żadnego rozkazu. Mimo to mogło się zdawać, iż hasło jakieś przeleciało gromadą od jednej bestii do drugiej i każdy wilk je zrozumiał.

Gdyby rzecz miała miejsce przy świetle dziennym, byłby to widok niezwykle. Ze zwartej kolumny myśliwych powstał bojowy łańcuch długi na sto pięćdziesiąt metrów mniej więcej. Najsilniejsze i najszybsze zwierzęta, świadomie zda się, objęły najbardziej odpowiedzialne posterunki u obu krańców linii. Karibu pasły się niespełna o milę.

Błyskawica dał raptem szalonego susa. Po raz pierwszy rozwinął swą wrodzoną szybkość. Przestał się liczyć z instynktem stada i prawem wodza do przewodnictwa. Zapomniał do reszty o młodej wilczycy tak dzielnie pilnującej jego boku. Zrównał się z Baloo. Minał go. Jego pęd był pędem wichru. Na przestrzeni pół mili wygrał przeszło sto metrów i był sam. Ciepły zapach żywego mięsa łaskotał mu nozdrza. Szare cienie wyrosły przed nim w mroku i prosto jak strzała wpadł pomiędzy nie.

W tymże mgnieniu buchnął dziki wrzask gromady. Bestie, milczące do chwili ataku, wyły teraz niby zgraja potępieńców. Ponury zew, niesiony sprzyjającym wiatrem, sięgał o pięć mil w głąb; barren. Jak bezlitosna armia Hunów siwe wilki runęły na zdobycz.

W chwili ataku karibu były rozproszone na znacznej przestrzeni. Przy pomocy łopat rogów dobywały właśnie spod śniegu zmarznięty zielony mech i dopiero napaść Błyskawicy dała im pierwszą przestrożę. Przed nim samym zresztą ratowałyby się natychmiastową ucieczką, bez paniki, lecz widok straszliwej hordy wywołał zrozumiałą popłoch. Na zakrzepłej równinie zadudnił raptowny tętent racic niby oddalony grom. W obliczu niebezpieczeństwa owce i barany instynktownie tłoczą się jak najciaśniej. Reny i karibu mają tenże zwyczaj.

Błyskawica, niesiony rozpędem, wpadł o dobre sto jardów w głąb stada i wczepił już zęby w gardło młodego byka, gdy przerażone zwierzęta jęły się wokół niego tłoczyć. Opasały go ciasnym, miażdżącym pierścieniem. Nie puszczal mimo to, wieszając swe sto czterdzieści funtów kości i mięśni u szyi ofiary. Słyszał chrzęst gniecionych ciał i łoskot racic, warczenie i wycie zgrai, lecz sam nie wydał cienia dźwięku spomiędzy zwartych szczęk. Bracia jego pracowali zajadle, atakując parami lub po dwóch czy trzech; Błyskawica wołał sam jeden zdobywać swoje mięso.

Przewaliła się po nim lawina ciał, twarde racice były boleśnie, górą huczały trącane w pędzie rogi. Błyskawica coraz głębiej nurzał kły. Przestał oddychać. Wytężył cały zasób sił. Przednimi łapami wsparty w ziemię, napięty niby olbrzymia sprężyna, miotnął się raptem wstecz i krew karibu bluznęła niby potok na poradłone śniegi.

Gdy Błyskawica chwiejnie uniósł się znad zdobyczy, dwadzieścia karibu leżało już pokotem. Niedobitki maruderów pierzchły. Główne stado, liczące około tysiąca sztuk, w dzikim popłochu zmykało na południo-zachód.

Wilki były głodne, lecz nawet najostrzejszy głód nie mógł się równać co do

natężenia z szaloną rozkoszą mordy, więc od powalonej zwierzyny pijana posoką banda ruszyła w dalszy pościg. Jedyne ostateczne wyczerpanie mogło powstrzymać bezmyślną rzeź. Jak długo pracowały łapy i szczęki, wilki urywały pojedyncze sztuki z uciekającego stada. Gdy ostatni łupieżcy wrócili z pogoni, na trzymilowym szlaku zbrukany krwią leżało sześćdziesiąt martwych lub dogorywających karibu.

Uczętę rozpoczęto od najpóźniej padłych stworzeń. Błyskawica zabił jeszcze jedno zwierzę, lecz tym razem nie o własnych siłach. Walka była długa i ciężka. Dostał niejedno pchnięcie rogów; parokrotnie wpadł pod twarde racice i kto wie, czym by się to skończyło, gdyby nie nagła pomoc nowej pary szczęk.

Mimo zapachu bitewnego Błyskawica dostrzegł szalony sus smukłej siwej bestii, usłyszał dzikie, zajadłe warczenie i klapanie ostrych zębów. Gdy zaś krwawej roboty dokonano, stwierdził, że to młoda wilczyca przyszła mu z pomocą. Teraz miała paszczę uwalaną posoką, broczyła krwią z paru ran i dyszała ciężko, nie mogąc tchu ułować — mimo to pełna radości i triumfu stanęła tuż u boku Błyskawicy.

Zabili we dwoje! W całej jej postawie widniała szalona duma. Zabili razem, ona i on! Na krwawym polu zniszczenia Błyskawica, obojętny dotychczas, doznał raptem nowego uczucia. A Muhikun zziębła i pokaleczona dotkliwie zrozumiała instynktownie, że wygrana należy do niej.

Przejęty nową rolą Błyskawica wyszarpnął wielką dziurę pod żebrami karibu, gdy Muhikun czekała potulnie, aż otwór będzie dość duży. Potem obok siebie leżąc płasko na brzuchu rozpoczęli ucztę. Ciało młodej wilczycy, ciepłe i podatne, tuliło się do ciała Błyskawicy. W całej pełni dawała mu odczuć radość posiadania. Nie jadł też zbyt żarłocznie, tylko wydzierał z tuszy luźne kawały mięsa, by towarzyszka mogła się łatwiej nasycić.

Ilekróć zaś inne wilki ich miały lub skoro, w pobliżu odzywało się warczenie i klapanie kłów, Muhikun gniewnie świeciła oczyma. Ona pierwsza spostrzegła wielki bury kształt zachodzący z drugiej strony powalonego karibu, przystający tam i błyszczącymi ślepiami spoglądający w dół, na nich. Błyskawica, mając pysk pełen mięsa, usłyszał jak w gardle sejmiki wzbiera ostrzegawczy warkot. Przyjął go obojętnie. Nie był wcale kłótlivy. Pół tuzina wilków mogło brać udział w uczcie bez wywołania w nim zawiści.

Lecz Muhikun szło mniej o jadło, a znacznie więcej o całkowite odosobnienie od bandy. Nie chciała, by ktokolwiek się między nich wtrącał. Intruzem był Baloo, olbrzymi przywódca zgrai. Bezcelnie począł szarpać mięso. W następnym mgnieniu Muhikun strzeliła naprzód niby siwy pocisk. Jej długie białe kły rozdarły bok dowódcy i Baloo skrzył w miejscu z okropnym rykiem bólu i wściekłości.

Błyskawica wtenczas dopiero spostrzegł, co się dzieje i jeszcze szybciej niż Muhikun przesadził jednym skokiem padło karibu. Baloo trzymał właśnie wilczycę za gardziel, gdy Błyskawica nań uderzył i wraz z chrzęstem dartego mięsa obie potężne bestie runęły w śnieg.

Potomek psa o ułamek sekundy pierwszy porwał się na nogi. Muhikun czołgała się ku niemu na brzuchu. Oddychała ciężko, jak gdyby łkając, a z jej rozdartego gardła bluzgała krew.

Błyskawica ułowił jęk Samka i raptem duch Skagena przemówił w nim silniej niż kiedykolwiek. Poprzez wieloletni mrok natura psia wołała o sprawiedliwość. Podświadomie bardziej mu o sprawiedliwość szło niż o zemstę. Pies instynktownie broni słabszych, zatem nie ukrzywdzi suki. Dla Baloo było kwestią obojętną, czy rozerwie gardziel wilczycy czy wilka. Lecz Błyskawica, rycerski do szpiku kości, wyczuł w tym osobistą zniewagę, najcięższą z kiedykolwiek doznanych.

Baloo porwał się z ziemi i oto stali na wprost siebie, podczas gdy w krtani Muhikun zamierał cichy skowyt przechodząc w przedśmiertne charczenie. Z wolna, nieznacznymi ruchy, sunąc naraz to cał, to dwa. poczęli zataczać koło. Momentalnie wilki znajdujące się w pobliżu, porzuciwszy ucztę, opasały zawodników baczny kręgiem. Był to Kuczu nipuw, Krąg Śmierci, którego jeden tylko miał wyjść z życiem.

Baloo, prawy wilk, kroczył przezornie, skulony lekko. Uszy trzymał zjeżone, lecz ciało sprawiało wrażenie zwiniętej sprężyny, a kita wlekła się po śniegu. Błyskawica, wilk z wyglądu, postępował zupełnie inaczej. Od łba po ogon był napięty niby struna i każdy mięsień otwarcie gotował do walki. Baloo dwukrotnie przewyższał go wiekiem, czyli że ustępował mu w sile i wytrzymałości. Lecz Baloo życie całe spędził na szermierce. Był przebiegły, pełen forteli, chytry niby lis w doborze strategii. Niespodzianie, podczas gdy pozornie toczył dalej pierwotne koło, wykonał nagły wypad. Ruch był tak szybki i nieoczekiwany, że zanim Błyskawica zdołał się zastawić czy umknąć, kły wodza rozdarły mu gardziel na pełnych sześć cali.

Bajecznie zwinny w napaści stary zabijaka okazał się jeszcze zwinniejszy w odwrocie. Ledwie cios zadał, już Błyskawica runął naprzód całą swą olbrzymią mocą. Lecz Baloo, miast skoczyć w prawo czy lewo, uczynił znów rzecz nieprzewidzianą: rozpląszczył się na śniegu tak raptownie, iż Błyskawica do pół ciała znalazł się ponad nim. Baczny niby zawodowy bokser Baloo momentalnie skorzystał z okazji. Wyrzucił głowę w bok, potem w górę i zębami niby nożem rozdarł brzuch przeciwnika.

Był to okropny cios, cięższy niż poprzedni. Krew chlusnęła z otwartej rany. Pół ciała głębiej i wewnątrz wypłynęłyby na wierzch. Między jednym uderzeniem a drugim ubiegło zaledwie dwadzieścia sekund. W normalnych warunkach Baloo uzyskałby przygniatającą przewagę, gdyż wilk ranny dwukrotnie, którego własny cios trafił w próżnię. jest już graczem skończonym. Godzi się jedynie na akcję obronną, bardziej zresztą niebezpieczną i beznadziejną niż ryzykowny atak. Lecz tu właśnie dziedzictwo Skagena poparło Błyskawicę, tłumiąc niewczesny triumf wodza.

Potomek psa skoczył powtórnie i trzecia rana przeorała mu skórę i mięśnie, tym razem na łopacie. Na mgnienie oka upadł, lecz tylko na mgnienie, być może na pół sekundy. Po raz trzeci miotnął się na wroga i wreszcie kły trafiły na kły, Błyskawica ryknął. Zwarł szczęki z okropnym chrzęstem i Baloo grzmotnął o ziemię, warcząc i wijąc się z bólu.

Dobre ćwierć minuty trzymali się wzajem za paszcze. Aż Baloo zdołał się uwolnić i znów zdradliwie uderzając bokiem, przeciął mięśnie Błyskawicy do żeber.

Posoka Błyskawicy hojnie już zboczyła arenę walki i woń jej syciła powietrze. Szczęki Baloo krwawiły. Trzydzieści lub czterdzieści wilków tworzyło ciasny krąg widzów, a coraz to przybywał nowy zwierz zwabiony dźwiękiem lub zapachem boju. Muhikun nie uczyniła żadnego ruchu od chwili, gdy bezskutecznie usiłowała bliżej podpełznąć. Pod jej piersią naciekła kałuża krwi; oczy zmętniały. Lecz jak długo mogła coś widzieć, nie spuszczała wzroku z walczących.

Błyskawica dostrzegł teraz nieuchwytną sylwetkę wroga poprzez opar ślepej wściekłości. Nie czuł wcale ran. Duch Skagena wcielił się weń ponownie,

kierując mięśniami jego i mózgiem. Ongiś, przed laty dwudziestu, żaden wilk bodaj: nie mógł sprostać olbrzymiemu dogowi. W chwili obecnej Skagen i Błyskawica stanowili jedno.

Baloo raz po raz ciął i szarpał straszliwymi kłami, lecz poprzez rzuty jego zębów Błyskawica parł naprzód nieustraszenie. Szukał możliwości śmiertelnego chwytu. Dwukrotnie prawie że mu się powiodło. Za trzecim razem porwał wroga całym pyskiem za kark. Był to czysto psi chwyt. Nie darł. Po prostu zaciskał szczęki tak właśnie, jakby to na jego miejscu uczynił Skagen. Krąg widzów o krwawych ślepiach przystąpił bliżej. Z głuchym chrzęstem pękł kręgosłup Baloo. Walka była skończona.

Upłynęła dobra minuta, zanim Błyskawica rozluźnił szczęki i cofnął się chwiejnie. Wyczekująca zgraja spiętrzyła się natychmiast nad martwym wodzem i jęła rwać na strzępy jego ciało. Było to prawo gromady — wiekowa tradycja najwyższej pogardy dla zwyciężonych.

Błyskawica samotnie tkwił u boku Muhikun. Młoda wilczyca daremnie usiłowała podnieść głowę. Przymknęła gasnące oczy. Potem otworzyła je z wysiłkiem, a Błyskawica, skomlać, musnął nosem jej pysk. Próbowała dać mu odpowiedź, lecz tylko głuchy jęk wyszedł z podartego gardła. Aż raptowny deszcz przebiegł jej piękne, smukłe ciało, po czym leżała już cicho, bez westchnień.

Błyskawica, tkwiąc ponad nią, wiedział, że nadeszła śmierć. Wyczekawszy chwilę, kucnął w śniegu na skrwawionych lędźwiach i uniósł pysk ku niebu, a wilki, rwące ciepłe ciało Baloo, usłyszały go i zrozumiały dobrze. Bowiem z gardła Błyskawicy buchnął krzyk triumfu głoszący władzę nad stadem. Lecz w krzyku tym, lecącym daleko ponad białym, zakrzepłym barren, brzmiała także nuta żalu i goryczy.

Po latach dwudziestu duch psa pokonał krew wilczą.

ROZDZIAŁ IV

Podstęp myśliwski

Nadeszła właśnie Okenanis, czyli Pora Siedmiu Gwiazd. Lecz zamiast siedmiu, płonęło ich chyba siedem milionów. Minęła ponura ciemność zmierzchu i świat podbiegunowy leżał lśniący i złoty pod pieczę Długiej Nocy.

Wysoko na niebie, tam kędy w letnie południe winno było gorzeć, wisiała nieustanna srebrzysta jasność, słabo migocące perłowym odbłaskiem serce nocy samej. Tuż wokół perłowego jądra kupiły się gwiazdy. Niezliczone i ciche, nieruchome i martwe, płonące wiecznie — wszak brakło słońca i księżycy dla stłumienia ich blasku — oświecały zakrzepły świat niby uparte i niechętne oczy. Zazdrosnym wejrzeniem śledziły bardziej migotliwy i piękniejszy przepych zorzy polarnej.

Dzisiejszej nocy czy też dnia dzisiejszego, bowiem noc i dzień zmieniają się stale zależnie od upływu godzin, choć nie widać słońca i księżycy — zorza polarna przypominała wielobarwną szatę wróżki. W ciągu dwu godzin Kesik Munitoowi — Bogini Nieba, wiodła swe igraszki, jak gdyby chcąc okazać potęgę władzy sięgającej nawet pod biegun, roztaczała fantastyczne czary i fosforyzującą migotliwość. Przez dwie godziny wiewały jej sztandary o wszystkich barwach tęczy, szalała, owiana przepychem gorących ogni, rozpętała zawrotny wir dziesięciu tysięcy gibkich tancerek w jaskrawych woalach, pokreśliła niebo smugami złotych i purpurowych dróg, ścieżek brązowych i szkarłatnych, to znów koloru diamentu. Wreszcie, niby znużona, zaprzestała skomplikowanych szaleństw i poczęła malować niebo jednolitą warstwą żywej czerwieni. Oglądały ją niejedne oczy ludzkie na przestrzeni dwu tysięcy mil. Daleko na południu mieszkańcy wioski i miast, samotni traperzy lub wędrowcy podziwiali „czary znad biegun”. Lecz bezpośrednio pod nią drżały umęczone dusze, a lodowce ziemi zakrzepłej odbijały wizerunki jej igrzysk.

Świat leżał martwy, biały i cichy. Było przeraźliwie zimno, tak zimno, że w powietrzu nie zmaconym żadnym powiewem brzmiały nieraz suche, ostre trzaski. Od czasu do czasu spośród łańcuchów gór lodowych nad Zatoką Koronacyjną leciał głos wybuchu niby strzał armatni; działo się to wtenczas, gdy jeden z lodowców pękał na dwoje lub walił się jak podcięty. Echo eksplozji, powtarzane bez końca, jęczało upiornie, nad zakrzepłą powierzchnią przesmyku Bathurst. Straszliwy mróz rodził w przestrzeni czarodziejskie i tajemnicze dźwięki. Nieraz mogło się zdawać, że grono lyżwiarzy uskrzydłone brzęczącą stalą leci drogą podniebną. Słychać było szelest ubrań, gwar głosów i dalekie wybuchy śmiechu. Jednak człowiek okutany w futra, w dobrym kapturze nasuniętym na uszy, nie zdawałby sobie sprawy z niskości temperatury. bowiem wobec zupełnego braku wiatru powietrze było prawie że łagodne.

Przed małą drewnianą chatynką, zbudowaną na krawędzi lodowcowej doliny, stał kapral Pelletier w towarzystwie szeregowca O'Con-nora. Nieco dalej w głębi tkwił Eskimos zakapturzony i owinięty w futra, mając przy sobie sanie z zaprzęgiem sześciu psów. Półtora miesiąca temu Pelletier wysłał ostatni raport do dowodzącego dy-

wizją M. w forcie Churchilla, przestrzegając przed tym właśnie, co nadeszło obecnie — klęską głodu i śmierci, oraz szaleństwem wilków.

Kapral spojrzał na szkarłatną lunę zorzy, barwiącą zachód nieba i rzekł:

— Patrz, O'Connor! Mikoo Hao, pierwsza Czerwona Noc tej zimy! Mamy szczęście! Eskimosi dostaną

krwi, ile tylko zapragną i idę o zakład, że każdy wróżbita stąd po Zatokę Franklina odprawia teraz czary, zaklinając duchy i składając im w ofierze stosowne modły. Łowcy z wybrzeża winni już być w drodze. Ściągną do nas jak jeden mąż!

O'Connor sceptycznie wzruszył szerokimi ramionami. Do swego kaprała miał wielkie zaufanie. Kochał

miłością mężczyzny tego romantycznego Francuza, stwardniałego w huraganach, który pół życia spędził pod Kręgiem Polarnym. Lecz miał swe własne zdanie co do powodzenia olbrzymich łowów wilczych, nad urzeczywistnieniem których pracował zresztą z całkowitą lojalnością. W ciągu dwu tygodni jego niezdarne paluchy owijały kapsułki strychniny płatkami sadła karibu. Ufał truciznie. Wierzył, iż rozsiane po barren liczne trutki sprowadzą śmierć — czyjąkolwiek. Lecz co do łowów...

Jest to jedyna nasza możliwość i jedyna okazją dla nich! — mówił Pelletier wciąż wpatrzony w

szkarłatne niebo. — Jeśli zdołamy weгнаć hordę do pułapki, jeśli choć połowa bestii padnie — ocalimy przez to pięć tysięcy głów karibu. Byle tylko Olee John ze swymi reniferami nie zawiódł, sprawa jest ubita! Powodzenie oznacza możliwość dalszych wielkich łowów wzdłuż wybrzeża przez cały okres zimowy i śmiem twierdzić, że wynikną stąd dla nas dwie nowe szarże: sierżanta i kaprała!

Tu zachichotał ufnie w stronę kolegi.

— Jeśli się nawet mylisz co do awansu — odparł Szkot — zostanie nam w każdym razie przyjemność

łowów! Jazda Pelly! Podejrzewam, że termometr pokazałby obecnie coś około sześćdziesięciu stopni! Ej, ty, Um Gluk, ruszamy! No, dalej, już jesteśmy w drodze!

Otulony w futra Eskimos ożył. Jego przenikliwy głos wydał komendę,

długi bicz gwizdnał ponad

grzbietami sfory i malamuty przejęte dreszczem szlaku skoczyły przed siebie

równą burą linią. Bieg znaczyły skomleniem i skowytem, ostro kłapały

paszczami stęsknione do swobodnej gonitwy pod coraz głębszą czerwienią nieba.

* * *

Na przestrzeni wielu mil w dół i w górę dzikiego wybrzeża Zatoki Koronacyjnej oraz wzdłuż poszarpanych krawędzi przesmyku Bathurst trwał nocy owej ruch niezwykły. Chłoszcząca dłoń głodu panowała ponad krajem, toteż w odpowiedzi na zew Pelletiera mieszkańcy igloo ocknęli się z odwiecznej drzemki. Raźnie nastawili ucha. Oto przedstawiciel władzy w imieniu „białego króla” obiecywał im pomoc, przyrzekał użyć potężnych czarów przeciwko demonom, które opętały stada wilcze i położyć kres bezmyślnej rzezi.

Obóz wodza Topeka miał być miejscem ogólnej zbiórki. Jego szybkobiegacze właśnie roznieśli wszędy wieść o zamierzonych wielkich łowach, a Topek sam przestrzegał, że jeśli hord wilczych nie uda się wybić do nogi lub chociaż znacznie przetrzebić, głód i nędza zagoszczą w kraju. Wiernie powtarzał słowa najwyższej władzy, uosobionej przez kaprała Pelletiera i szeregowca O'Connora.

Pod szkarłatnym niebem drżał dreszcz oczekiwania. W ciągu niezliczonych pokoleń lud znad Zatoki Koronacyjnej wierzył, że porą zimową dusze zbrodniarzy zamieszkują ciała wilcze. Toteż jedynie sceptyczna młódź ważyła się wystąpić czynnie. Inna sprawa jest walczyć z ogromnym białym

niedźwiedziem, a zupełnie co innego stawić czoło złym duchom. Ostatecznie jednak około dwustu łowców ściągnęło do wsi Topeka. Byli obwieszani amuletami i zbrojni od stóp do głów. Niewielu tylko posiadało rusznice, za dobrych czasów wytargowane od wielorybników, niektórzy dźwigali harpuny, inni assegai, dzidy używane normalnie przy wyprawach na foki. Najdalej z zachodu przybył Olee John, Eskimos, który wziął ślub z żoną na wzór białych. Ten przywiódł ze sobą dziesięciu ludzi, spośród najdzielniejszych łowców swojej wsi, oraz stado złożone z pięćdziesięciu renów.

Zorza zgasła właśnie niby lampa, której zbrakło tłuszczu, gdy Pelletier i O'Connor dotarli na miejsce po sześciogodzinnej podróży. Uradowani potrzęsali prawicą Topeka i gotowi byli niemal uściskać Olee Johna. Przez kilka godzin jeszcze myśliwi ściągali zewsząd. Wraz z przybyciem ostatniej gromady, znad lodowych pól powiał straszliwy wichur, niosąc krupy śnieżne twarde niby grad. Zamiótł barren do czysta. Wypełnił wszelkie szczeliny i zatarł wszelkie ślady. Wreszcie umilkł, równie niespodzianie, jak się zaczął.

Obóz Topeka zawrzał teraz gorączkowym życiem. Trzy dni i trzy noce kipiała wytężona praca. Wywiadowcy odnaleźli miejsce odpowiednie na pułapkę i rozpoczęto skomplikowany manewr. Szło o zwabienie wilków do tego saka. Pięciokrotnie stado renów wyruszało na pustynię pod kierunkiem i osłoną Topeka, Olee Johna i jego myśliwych; pięciokrotnie z niczym wracano do wioski, przy czym zwierzęta i ludzie bliscy byli zupełnego wyczerpania. Mimo to na szlaku nie rozbrzmiało ani razu charakterystyczne wycie; dzika horda jakby pod ziemię wsiąkła. Pośród odcisków racic rozsiano setki zatrutych przynęt, lecz nikt nie widział na oczy choćby jednego wilczego padła.

W tępych obliczach młodych myśliwych eskimoskich rósł wyraz niewysłowionej trwogi. Znachorzy, wróżbici i starzy ojcowie rodzin mieli jednak rację; wilki były opętane przez diabła. Równie dobrze można by walczyć z wiatrem. Nawet Topek i Olee John tracili wiarę w powodzenie przedsięwzięcia, a w sercu Pelletiera rósł szalony niepokój. Przegrana znaczyła w tym wypadku utratę polowy z trudem zdobytego prestiżu.

Zatem po raz szósty i ostatni Topek, Olee John, młodzi łowcy i stado renów ruszyli na trudną wyprawę. Śród pozostałej we wsi ludności nie-jeden wróżył szeptem, że obrażeni bogowie rzucą teraz klątwę na ziemię i morze.

ROZDZIAŁ V

Mistyki

Wychudzeni okropnym głodem, świecąc żebrami przez skórę, mając boki wpadnięte po wielodniowym, daremnym poszukiwaniu jada — Błyskawica i jego wataha białych wilków szli wytrwale ku północy. Nie tworzyli już zwartego szyku, jak przed miesiącem, kiedy stada karibu gęsto pokrywały barren. Rozproszyli się na znacznej przestrzeni niby pobita armia w odwrocie.

Od nocy owej, kiedy Błyskawica zwyciężył i zabił Baloo, zagarniając w ten sposób dowództwo, trafiła się im zaledwie jedna pokaźniejsza zdobycz. Potem nastąpił tydzień szalonej zamieci, a gdy zamieć minęła -- karibu znikły. Na szczerym barren nie leżała nawet woń racic.

W pustym bezbrzeżnej, nieskalanej żadnym tropem zginęły tak kompletnie, jakby nigdy nie istniały.

Gdyby Błyskawica skręcił na zachód, szukając zacisznego legowiska pośród splekanych skał pobrzeża, odnalazłby je bez trudu i w chwili obecnej krwiożerca zgraja tyłaby z dniem każdym, wisząc u pięt rozproszonych i przetrzebionych stad. Lecz po ustaniu zamieci wilki ruszyły na południo-wschód, a głód towarzyszył im wiernie.

Jeśliby lud Topeka wiedział, że straszna horda powraca na teren dawnych łowów, nie byłoby łowów, nie byłoby jednego bożka w głębi chat, do którego by nie zanoszono modłów. Ktokolwiek bowiem twierdził teraz, iż diabeł zamieszkuje ciała wilków, nie przesadzał ani trochę. To były wcielone diabły! Obłęd głodu płonął w ich sercach i w krwawych, ledwo widzących ślepiach. Inne zwierzęta znoszą głód w sposób naturalny: słabną stopniowo i giną. Wilk reaguje na brak jadła niby na gwałtownie podniecającą truciznę.

Przy świetle miliarda gwiazd i w blasku srebrzystego lśnienia niebios horda Błyskawicy, licząca do stu pięćdziesięciu głów, sunęła pełna dzikiej podejrzliwości. Przypominali bandę podupadłych korsarzy, gdyż każdy wyczekiwał jeno okazji dla skutecznego poderżnięcia gardła sąsiada. Czerwonookie, nie znające snu, o dziąsłach równie białych jak reszta ciała zakrzepłych w zgłodniałym skurczu, nasłuchiwały bacznie groźnego warczenia i szczęku kłów, który by oznaczał jeszcze jedną ofiarę z ich własnego grona. Gdy tak biegły przez barren, żaden zwierz nie zawył, żaden nie wydał głosu. Ruchoma, widmowa horda szkieletów parła milcząc wśród srebrnego lśnienia nocy.

Błyskawica jedynie ze swą kroplą psiej krwi, spuścizną sprzed dwudziestu pokoleń, nie podległ oparom szaleństwa. Był głodny. Głodował na równi z innymi. Jego olbrzymie cielsko schudło przeraźliwie. Oczy krwią nabiegły. Płonął cały żądzą jadła, lecz duch Skagena go ocalił.

Nie dostał obłędu i nienawiść go nie zaślepiła. Miał czysto psi wstręt do kanibalizmu. Ze dwadzieścia razy widział, jak stado rozpoczyna bratobójczą walkę i jak potem ucztuje nad ciałami własnych poległych. W takich chwilach trzymał się na uboczu, a w gardle jego, zamiast morderczego ryku, trwał cichy, tęskny skowyt.

W miarę jak dawny teren łowiecki leżał coraz bliżej, rósł urok chaty białych ludzi, stojącej na krawędzi lodowcowej doliny. Pamiętał, co prawda, gwizd kuli O'Connpra nad swoją głową, lecz instynkt górował nad strachem. Skagen, przodek sprzed lat dwudziestu, tęsknił w nim do żółtego słońca wewnątrz chaty, do woni dymu, do tego czegoś, czego Błyskawica-wilk zupełnie nie mógł pojąć.

Ze skowytem w gardle Błyskawica cofnął się w głąb stada, aż widmowe cienie otoczyły go zewsząd. Śród innych wilków sprawiał wrażenie olbrzyma. Biegając nie kulił się i nie przypadał do ziemi. W siwym

mroku słyszał kłapanie paszcz, a gdy ocierał się o którego z towarzyszy, witało go straszne warczenie. Wyczuwał groźbę tych głosów, lecz nie budziły w nim żadnej nienawiści.

W pewnej chwili nieznacznie skręcił na wschód. Chata leżała właśnie w tamtej stronie. Nie rozum, bynajmniej, go pociągał. Chata nie dała mu nic, prócz woni dymu i żółtego blasku. Pocisk z ręki jej mieszkańców gwizdnął mu nad głową. Mimo to, pchany dziwnym impulsem, wprawiał ciało w ruch mechaniczny.

Znalazł się na krawędzi stada i tu przystanął, obserwując mijające go ostatnie cienie. Potem skręcił na północo-wschód. Przyspieszał biegu. Nie był to jednak pęd dawnego Błyskawicy, który przed paru tygodniami mknął niby wiatr po zamarłej gładzi przesmyku Bathurst. W ruchach jego brakło szczerego upojenia lotem. Mięśnie przestały odczuwać radosny dreszcz akcji. Łapy miał zbolale. Ustawiczna, męcząca rozpacz leżała pod żebrami. Nie potrafił już równie lekko jak ongiś kłapać sztywną paszczą, widział bardzo źle, a po upływie zaledwie pół mili dyszał urywanie i ciężko.

Gdy przystanął wreszcie, był kompletnie zziębnięty. Czas jakiś trwał nasłuchując. Wygłodzony do szczętu, prostował jednak olbrzymie cielsko i w świetle gwiazd ślepa mu gorzały zuchowato.

Głęboko wciągnął oddech i począł wietrzyć. Spuścizna sprzed laty dwudziestu, kropla psiej krwi, przemówiła w nim na nowo. Czujnie i ostrożnie spojrzął w kierunku zgłodniałego stada. Obecnie nie miał żadnej ochoty doń wracać, nie chciał również, by stado go odnalazło. W zupełnej samotności rozkoszował się całkowitą swobodą. Stado znikło, a wraz z nim znikły chciwe kłapania paszcz i dziki warkot gardzieli. Błyskawica był temu rad niezmiernie. Powietrze było czyste, nieskalane nareszcie ciężkim oparem obłędu. Gwiazdy lśniły jasno. Noc leżała przed nim daleka i rozległa, pełna nowych miłych obietnic.

Nie mógł wyrozumieć dokładnie, co by to były za obietnice. W obecnej chwili ponad wszystko inne pragnął jakiegoś żeru. Chata u krawędzi lodowcowej doliny nie dała mu nic prócz woni dymu, widoku światła i groźby tajemniczej, a niespodzianej śmierci. Mimo to ponownie skręcił w jej kierunku. Biegł dobry kwadrans. Wędrował z wiatrem i dwukrotnie w ciągu tego kwadransa przystawał, by wciągnąć w nozdrza świeży powiew. Za drugim razem stał dłużej niż za pierwszym. Słabo ułowił w powietrzu jakąś woń, woń wilczą i warknął głucho. O pół mili dalej zatrzymał się po raz trzeci, a warczenie w jego gardle ozwało się znów, głębsze jednak i groźniejsze.

Woń była silniej niż poprzednio, mimo że oddalał się od stada. Przyspieszył więc biegu, doznając uczucia ponurej niechęci. Wiatr był dlań księgą otwartą. W nim jedynie czytał wszystko. Otóż wiatr donosił, że w nocnej ćmie, ukryty przed wzrokiem, ktoś dąży za nim krok w krok.

Przystanął po raz czwarty i wywarczał ponurą przestrozę. Woń była coraz silniejsza. Tajemniczy prześladowca nie tylko dotrzymywał kroku, lecz dopędzał go. Tym razem Błyskawica czekał. Włos mu się jeżył i mięśnie sztywniały w poczuciu walki. Minęła ledwie krótka chwila, a już dojrzał cień sunący z wolna w świetle gwiazd, zbliżający się coraz, półpełznący w milczeniu. Cień przystanął o pięćdziesiąt stóp najwyżej. Potem sunął znowu, krok za krokiem, wahająco, ostrożnie.

Błyskawica zebrał się w sobie w oczekiwaniu napaści. Na odległość skoku cień przystanął ponownie i tym razem Błyskawica dostrzegł, że zwierz nie ma białego futra. Był to olbrzymi bury wilk leśny, który przyplątał się do stada daleko skąd, w karłowatej tajdze na południowym krańcu barren.

Mystyk, leśny wilk włóczęga, był równie duży i równie ciemnej maści jak Błyskawica. Zrodzony w południowej kniei, znający podstępny ludźmi białych, poraniony żelazem, pokiereszowany w bójkach, Mistyk, wieczny łazik, przybył na północ w towarzystwie wilków polarnych.

Przy świetle gwiazd dwie ogromne bestie patrzyły sobie w oczy. Białe obnażone kły Błyskawicy lśniły złowieszczo. Skurczył wargi. Z wolna zaczął zataczać śmiertelny krąg. Mistyk ani drgnął. Obserwował przeciwnika spokojnie, badawczym wejrzeniem. Paszczę miał zamkniętą. W źrenicach nie błyskał mu ogień bitewny. Nie warczał, nie szczyrzył kłów. Wspaniały i nieustraszony trwał bez ruchu pośrodku coraz to węższego koła, nie zdradzając ani gniewu, ani obrazy.

W gardle Błyskawicy warczenie zamarło z wolna. Zęby przestały lśnić. Stulone uszy uniosły się ciekawie. Aż wtem doszedł go ze strony Mistyka niski gardłowy skowyt. Była to propozycja przyjaźni.

Bury wilk, stęskniony do rodzinnej kniei, pełen wstrętu wobec obłąkanej głodem dzikiej hordy, usiłował dać do zrozumienia Błyskawicy, iż pragnie z nim polować we dwójkę przy świetle gwiazd, że nie ma zamiaru walczyć, że chce koleżeństwa i zgody. Błyskawica sapnął. Sztywno prężąc bark podejrzliwie wysunął łeb. Usłyszał ponownie w gardle Mistyka niski skowyt i odpowiedział podobnym dźwiękiem. Bardzo wolno, drobnymi krokami, zataczając lekkie półkole, oba zwierzęta stąpały bliżej i wreszcie nosy ich się zetknęły.

Błyskawica westchnął z głębi piersi. Doznał znacznej ulgi. Był rad. Mistyk zaskomlił ponownie i otarł się boki o bok druha. Społem już posłali wzrok w nocną dal.

Męczące poszukiwanie

, Po chwili ruszyli w drogą. Błyskawica prowadził. Głowę niósł wyżej i oczy lśniły mu nową radością, we krwi czuł nowe ciepło. Po raz pierwszy w życiu zawarł męską przyjaźń. Mistyk nie należał do opryszków z barren. Nie krył w sobie zdrady. Nie zmierzał do bratobójczej walki. W dotknięciu jego nosa była nieklamana szczerłość, więc Błyskawica, mknąc obok kolegi po wygwieżdzonej równinie, posłał mu serdeczny skowyt.

Mystyk biegł z nim bark w bark. I tu także różnił się od wilków z barren. Mieszkaniec leśny, zdradzał lepiej wyrobioną czujność. Błyskawica patrzył przed siebie; Mistyk przed siebie i na boki. Błyskawica miał we zwyczaju od czasu przystawać raptem i łowić wiatr z tyłu; Mistyk, zwracający głowę szybkimi ruchy, łowił tylny wiatr w biegu. W jego pojęciu wszystkie groźby i zasadzki kniei przyszyły w ślad za nim na równinę; w zrozumieniu Błyskawicy — otwarte barren nie kryło żadnych zdrad i niebezpieczeństw. W obecnych warunkach groźną była tylko bliskość stada. Rozległa pustka pól śnieżnych dawała nieograniczoną swobodę i bezpieczeństwo.

Gdyby Pelletier lub O'Connor ujrzał ich tak biegnących, odczułby bez wątpienia coś z majestatu i władztwa dziczy. Lecz gdyby się nawinęli na oczy Aoo, czarodzieja ze wsi Topeka, Aoo kłąby się na wszystkie bogi, że widział dwa największe diabły, jakich wydała północ, dążących kędyś w tajemnej misji.

Zdarzyło się więc, że gdy podeszli do chaty u skraju lodowcowej doliny i zaleciała ich woń znajoma, Mistyk raptownie cofnął się wstecz z nagłym, ostrzegawczym kłapnięciem. Włos z jeżył mu się na karku, uszy przylepił do łba i zatoczył szerokie półkole pod wiatr, kuląc olbrzymie cielsko, przyczajony, podobny do zwierzyny zarazem i do łowcy.

Błyskawica stanął wprost okna. Nocy dzisiejszej brakło w nim światła, zarówno jak w powietrzu brakło woni dymu. Stał bliżej, słysząc za sobą znaczący skowyt Mistyka. Ostrożnie krążąc wokół chaty złapał wiatr w same nozdrza. Zapach był zupełnie zimny. Po chwili wyrozumiał, że życie, światło i dym odeszły. Chata ziała kompletną martwością.

Przestał odczuwać niepokój i odważnie już poczłapał ku oknu, podchodząc bliżej niż kiedykolwiek. Tu kucnął w śniegu i wlepił oczy w miejsce, skąd zazwyczaj biła łuna światła. Mistyk siedział również o sto jardów w tyle, lecz dzieliła ich przepaść równie wielka jak samo barren. Błyskawica bowiem pragnął coraz silniej zarzucić łeb ku niebu i zawyc w obliczu pustego domostwa tak właśnie, jak wył wobec zamieszkujących je ludzi. Gdy wreszcie głos się ozwał, Mistyk co prędzej pomknął wstecz, gdyż w brzmieniu jego ułowił niepokojącą nutę. Tak przecież daleko na południu wyły — psy. Mistyk zatoczył koło, aż trafił na skraj lodowcowej doliny o trzy ćwierci miili od chaty. Tu Błyskawica go odnalazł.

Lodowcowa dolina niby wielka bruzda od szeregu tygodni łowiła śnieg nawiewany wichrem, toteż miejscami zasy wypełniły ją po samą krawędź. Kędy śnieg leżał najwyżej, pokręcone i powykrzywiane szczyty drzew wyzierały na powierzchnię niby ręce wielkoludów konających pod białą lawiną. Tu i ówdzie kaprys zamieci pozostawił głębokie czarne sztolnie, puste zupełnie. Oczy Mistyka, lśniące jak rozpalone żużle, badały je teraz do dna. Wiedział, że tu właśnie, nie zaś na otwartym barren, wolno im się spodziewać zdobyczy. Bezgłośnymi ruchy prawy wilk leśny ześliznął się po krawędzi najgłębszej i

najciemniejszej jamy.

Błyskawica podążył śladem. Czuł, jak zgnatwane konary drzew wyrastają mu nad głową. Światelka gwiazd znikły. Znaleźli się w zupełnym mroku, którego nie lubił, a ,w mroku tym, ilekroć Mistyk odwracał łeb, ślepią wilka błyskały zielono i czerwono.

Dwukrotnie słyszał w pobliżu trzask dziobów sówich. Raz Mistyk dał szalonego susa, usiłując pochwycić upiorny cień, szybujący tak nisko nad ich głowami, że czuli prąd powietrza i łowili łopot skrzydeł. Starania spelzły na niczym. Wygramolili się więc z jamy i poprzez pagór zasp spelzli do nowego dołu, lecz tu również nie znaleźli ani mięsa, ani nawet jego woni.

Wtenczas Błyskawica objął dowództwo. Wydostał się znów na szczere barren i ruszył w stronę karłowatych zarośli, gdzie przed kilku tygodniami widział białe króliki. Mistyk towarzyszył mu potulnie.

Obecnie już żaden z nich nie biegł. Ciężka praca w zaspach i na niepewnym gruncie jam wyczerpała obu do reszty. Wiele godzin ternu odcierpieli fizyczną mękę głodu. Teraz proces głodowy przeszedł w inną fazę. Spomiędzy żeber znikł dotkliwy ból. Pojawiła się natomiast coraz to silniejsza, coraz to bardziej trudna do opanowania chęć spoczynku. Ot, paść na śnieg i tak pozostać! Lecz zarówno jak przed godziną myśl o chacie zmuszała do pracy mięśnie Błyskawicy, tak teraz zbierał resztkę sił na wspomnienie owych zarośli. W mózgu miał wizję jałowcowych krzaków i cedrów sięgających zaledwie bioder dorosłego mężczyzny, a w tym wszystkim olbrzymie białe króliki tańczyły wściekłą sarabandę.

Dotarli do zarośli i minęli je. Ginęły niemal całkowicie pod spiętrzoną morzem zasp. Tu i ówdzie tylko leżały nagie połacie do czysta wymiecione wichrem. W całym swym życiu spędzonym wśród wspaniałych kniei południa Mistyk nie oglądał nic równie pokracczego, jak ten „las” ziem podbiegunowych. Drzewa jego, stuletnie nieraz, przypominały koszmarnie pająki. Zarówno jak człowiek przez chorobę lub przypadek podlega deformującemu kalectwu, tak straszliwe zimno wykoślawiło cedry i jałowce, nadając im kształt potwornych garbusów. Śród pni i gałęzi mięsa nie znalazłbyś na lekarstwo. Znikły nawet tak przez Błyskawicę znieawidzone białe lisy. Głód srożył się wszędzie.

W sercu Błyskawicy trwał jeszcze instynkt ostatni, ten właśnie, który pędził szalone stado. Na szlakach dawnych łowów pozostało wiele rozproszonych kości. Teraz, gdy rozwiało się marzenie o królikach, znikła również nadzieja znalezienia mięsa. Mięso nie mieściło się już w jego światopoglądzie. Natomiast widział kości. Widział je gęsto rozsiane tam właśnie, gdzie niegdyś ciepła krew broczyła śnieg tak obficie. Więc ku tym kościom dążył, a Mistyk ufny nadal, choć coraz słabszy, nie odstępował go ani na krok.

W godzinę później dotarli do szerokiego, dobrze ubitego szlaku, po którym po raz szósty i ostatni Topek i Olee John oraz reny Olee Johna przeszli przez otwarte barren. Leżał tu ciężki, ciepły zapach mięsa. W powietrzu wisiała ostra woń rozgrzanych, parujących ciał.

Błyskawicy serce skoczyło do gardła. Chwilę stał bez ruchu, drżący. Obok Mistyk dygotał również. Cała męka głodu owładała nimi na nowo, niewysłowienie straszna i bolesna. Przypominali ludzi konających z pragnienia na pustyni, którym by miraż objawił nagle chłodne wody strumyka.

Trwali nieruchomo, ciężko dysząc, podczas gdy ciała ich gromadziły resztkę mocy do ostatecznego wysiłku. Krew wrzała szybciej. Łby unosiły się ku górze. Rozluźnione mięśnie barków i łeb tężały. Uszy strzygły badawczo. Nie tylko bowiem trafili na ślad stada, lecz stado to było blisko, więc instynktownie starali się ułović tętent racic.

Błyskawica kucnął raptem w samym środku tropu i zwracając ku gwiazdom bury pysk posłał w przestrzeń zgłodniały, płaczący zew — do mięsa! Mistyk siadł obok i również rozwarłszy potężne szczęki przyłączył głos do głosu towarzysza, aż hasło łowów w cichą noc poniosło szeroko i daleko.

O milę rozbrzmiała odpowiedź. O dwie mile — druga. Każda nowa gardziel

słała zew dalej, aż białą, wygwieżdżoną ziemią wstrząsnął pożądliwy dreszcz. Zbiedzone, wychudłe cienie niby duchy mknęły zewsząd. Zgłodniała dzika horda bezlitosna i od nikogo nie mogąca oczekiwać współczucia; Hunowie spod bieguna pustoszący wszystko na swej drodze i gdy idzie o jądło walczący tak zażarcie, jak nikt inny.

Cel, ku któremu parły ich wygłodzone wnętrzności, wiódł tym razem prosto do pułapki zastawionej przez białego człowieka.

ROZDZIAŁ 8

Pułapka

Kędy tnący zajadłe wczesny zimowy wicher wysoko spiętrzył lody, na obszernym cyplu pomiędzy polarnym Sundem a przesmykiem Bathurst, leżał ów „sak”, wielka szczelina długa na pół mili. Otaczały ją z trzech stron zwały lodu i śniegu, tworząc głęboki wąwóz, pułapkę o jednej tylko drodze ucieczki. U wyjścia parów miał sto jardów szerokości, potem zwężał się stopniowo, aż niespełna sto jardów dzieliło brzeg od brzegu.

Do tego saka właśnie Topek i Olee John wegnali stado renów. Czynili to po raz szósty i po raz szósty zamykali reny w wysokiej zagrodzie zbudowanej z lodowych brył, a mieszczącej się na pół drogi między wejściem do parowu i jego końcem. Plan Pelletiera był prosty, lecz mimo to zgubny, gdyby się powiódł. Kapral jaskrawię odmalowywał sobie w myśli przebieg udanej zasadzki. Zgraja wilcza, mknąc po ciepłym tropie, wpadnie do parowu, zaś setka łowców ukryta tuż na obu krawędziach momentalnie przetnie odwrót. Jeszcze większa liczba myśliwych miała bronić dostępu do stada Olee Johna. Wilki zamkną się w saku i tam wybije do nogi.

Topek, uniósłszy nauszники, pierwszy ułowił daleki huk fuzji sygnalizującej, że wilki się gromadzą. W chwilę później huknął drugi strzał, bliższy znacznie, a wnet potem trzeci nie dalej niż o milę. Echo jeszcze nie zamarło, a już głosy Topeka i Olee Johna powtarzały szybką komendę obu policjantów. Topek czuwał u wejścia do jaru, Olee John przy zagrodzie bydłowej. Pierwszemu towarzyszył Pelletier, drugiemu O'Connor. W ciągu trzech lub czterech minut wrzał gwałtowny ruch, rozbrzmiewały półgłosem rzucane nerwowe okrzyki, skrzypiały na śniegu skórznie, trzeszczał kruszony lód, dzwoniła broń, podczas gdy łowcy zalegali w kryjówkach.

W pewnej chwili zapadła głęboka i tragiczna cisza. Pułapka milczała niby śmierć. Pelletier, czując w żyłach płomień krwi dygotał jednak, choć pod osłoną ciepłych futer. W przestrzeni, słabo jak dech wiatru, łowił żalobny, zgłodniały krzyk — daleki zew stada. Na mgnienie głos ten zranił mu serce, uczuł wyrzut sumienia i żal. Pelletier sam całe życie, niby wilki właśnie, stawiał czoło trudom północy. „Iście, wilczy bój!” — mówił sobie nieraz, gdy czekało go wyjątkowo niebezpieczne lub ciężkie zadanie. I oto teraz, gdy trudny plan nabierał realnych kształtów, w chwili triumfu. Przyszło mu na myśl iż popełnia nieuczciwe oszustwo. Tego nie można było nazwać walką. To nawet nie był sprytny podstęp. To była rzeź głodnych istot, zwabionych w pułapkę, rzeź pustych brzuchów, mord stworzeń poszukujących jada za wszelką cenę.

Przygnębiała go ta atmosfera głodu. Uniósłszy nauszники łowił zew coraz głośniejszy i myślał, że on, Franciszek Pelletier, niejednokrotnie wyteżał wszystkie siły, byle z tej dzikiej pustyni dobyć strzęp mięsa dla zachowania w ciele iskry życia. Gotów do popełnienia mordu zastanowił się poważnie, czy istotnie Eskimosi wraz ze swymi plugawymi bóstwami mają większe prawo do egzystencji niż prostolinijne, głodne wilki.

Rzeź

Błyskawica pędził na czele białej zgrai, zaś u jego boku rwał Mistyk, bury wilk leśny.

Raz jeszcze stado przyjęło szyk łowiecki. Lecz nie zachowywało już milczenia jak przed miesiącem, polując na karibu. Woń renów ciepła i gęsta drażniła im nozdrza niby zapach mięsa, więc horda oszalała z głodu grała, biegnąc, skowytom stu pięćdziesięciu zziębniętych paszcz. Był to głos sięgający pod gwiazdy. Słyszeli go starcy, słyszały kobiety i dzieci we wsi Topeka i strach im odbierał mowę.

O trzy mile na przedzie leżało wejście do pułapki, przestrzeń zmniejszała się szybko. Już dwie mile tylko, już jedna. Zgraja umilkła. Sto pięćdziesiąt gardzieli charczało dysząc, z trudem łączyło powietrze. Sto pięćdziesiąt białych cielsk dobywało resztek energii do ostatecznego wysiłku. Płomień życia wygasł. Mocniejsze zwierzęta wysforowały się naprzód słabsze pozostawały coraz bardziej w tyle. Część odpadła zupełnie. Te wlekły się chwiejnie wyczerpane do cna, próżno usiłując dotrzymać kroku, wziąć udział w mordzie. Wreszcie wsiąkały bez śladu w wygwieżdżoną pustkę barren.

Błyskawica i Mistyk wysforowali się o dobre dwanaście skoków przed czołowe bestie. Lodowce piętrzyły się już na przedzie i choćby teraz po tysiącu ludzi pilnowało każdego boku parowu, wilki nie za-

wróciłyby z drogi. Ślepe i głuche, nieczułe na wszystko, co nie było tą wonią mięsa, wonią przechodzącą nieomal w smak w głębi gardła, zgłodniałe bestie przemknęły przez szerokie wrota jaru Błyskawica i Mistyk gnali wciąż na czele. Minęli setkę łowców skulonych w zasadzce, minęli dwa rzędy oczu ludzkich, lśniących badawczo spoza brył lodu i kopców śnieżnych. Rwali coraz szybciej ku lodowej zagrodzie, z której przerażone reny szukały wyjścia. U pięt dwu wodzów cwałowała horda.

W tej chwili właśnie, pod obojętnym lśnieniem gwiazd, rozpętała się straszliwa burza, dzieło ludzkie. Buchnął nagły wrzask z ust Olee Johna; O'Connor donośnie krzyknął komendę. A w ślad za tymi dwoma głosami rozebrzmiały setki innych, nawoływania, skrzeki, gwizdy, połączone z traskiem broni palnej, klekotem harpunów, sykiem szyjących powietrze dzid.

Lecz wrzask Olee Johna górował nad resztą gwaru. Olee John bowiem pierwszy spostrzegł, iż plany ludzi wzięły w łeb. Mimo łoskotu strzałów, mimo iż falanga łowców zbiegała w dół zboczy chcąc się ciaśniej zewrzeć z wrogiem — zgłodniałe bestie, niepomne na nic parły ku zagrodzie bydłowej. Jak konający z pragnienia nieszczęśnik gotów dla kropli wody stawić czoło śmierci, tak właśnie wilki zapomniały o świecie całym na widok jada. Z wnętrza korralu buchnął tupot racic, trzask ciał, ryk przerażonych bydła. Śród wilków śmierć zbierała obfite żniwo. Około dwudziestu rusznic miotało grad ołowiu. Rewolwery Pelletiera i O'Connora pluły nieustannymi strugami ognia. Dzirzoty cięły powietrze z nieomylną precyzją. Lecz mimo wszystko białe cielska zatapiały podnóże korralu i niby powódź wlewały się do wnętrza.

W samej zagrodzie posoka płynęła równie obficie, jak na śnieżnej pościeli wąwozu. Reny Olee Johna ginęły potulnie niby owce. Błyskawica wisiał już u gardła pierwszej ofiary. Mistyk dławił drugą. Skrzypiało darte mięso, mdło pachniała rozlana krew i zgłodniałe paszcze łykały parujące jado.

Pośród tłumu myśliwych półobłąkanych z rozpacz i wściekłości Olee John w rodzimym narzeczu zawodził i kłął na przemian. Biali ludzie kłamią! W ciałach wilków siedzi diabeł! Bogowie misjonarzy nie mają żadnej mocy, gdyż oto w jęgo własnych oczach giną najlepsze reny!

Pełen bólu zapomniał o strachu i wywijając nad głową ogromną maczugą skoczył między ranne i konające wilki. Leżało ich w śniegu około trzydziestu, niektóre martwe, inne jeszcze żywe.

O'Connor podbiegł do zagrody w wielkich susach. Po drodze kłapnęła nań spieniona paszcza. Zajrzał przez krawędź. Zobaczył powikłaną, skłębioną masę, okropną bezkształtną studnię śmierci. Rozpaczliwie posłał

w tłum bestii cały magazyn rewolweru, krzykiem przywołując myśliwych.

Stado Olee Johna było skazane na zagładę; zginęło już, prawdę mówiąc. Około stu dwudziestu chciwych paszcz darło ciepłe mięso. Lecz policjant zrozumiał, że za cenę nieuniknionej straty można jednak odnieść zwycięstwo. Ani jeden wilk stąd nie ujdzie. Odwrócił się i ponownie wrzasnął donośny rozkaz. Ale to, co zobaczył, sprawiło, że serce stanęło mu raptem w gardle.

Eskimosi podali tył. Zmykali wszyscy. Nawet najdzielniejsi wołali głośno, że żaden zwykły wilk nie poważyłby się brać do jądła pod gradem tyłu pocisków. Zatem, nie wilki to były, lecz diabły, potwory opętane przez złego ducha. Należy uciekać co prędzej, nim demony nie porzucą ścierwa renów dla uczyty z ciał ludzkich.

Próżno O'Connor nawoływał do opamiętania. Jedyne Olee John. przystąpił na sekundę, by znów wiać wraz z innymi. Wtenczas serce policjanta ścisnął lęk.

Nie diabłów się bał, lecz tego, co nastąpi, gdy wilki dokończą bydła i znajdą go tu, samego.

Więc szeregowiec O'Connor, jeden z najdzielniejszych ludzi, jacy kiedykolwiek stąpili poza Krąg Polarny, ruszył również do ucieczki, co widząc, Olee John wylał nową falę przekleństw pod adresem białego człowieka i białych bogów, by wysforować się wreszcie na czoło umykających.

W pół drogi pomiędzy wylotem wąwozu a zagrodą bydłą wpadli na mur myśliwych, oczekujących tu pod dowództwem Topeka i Pelletiera. Z daleka już uciekinierzy z pola walki wrzaskiem uprzedzali towarzyszy o przebiegu kłęski. Noc huczała burzą głosów. Wołano, że diabły wzięły górę. Linia łowców zachwiała się i pękła. Przez chwilę Topek usiłował zebrać ludzi na nowo. Lecz słowa jego zginęły w ogólnym tumultcie. Tak samo zginęła komenda Pelletiera. A Olee John miotał się w tłumie, z obłędem w oczach rycząc bluźnierstwa, więc Topek skręcił raptem i pognął pierwszy w stronę wsi.

Gdy nadbiegł O'Connor zziębnięty, klnąc pod nosem, ostatni myśliwiec ginał właśnie z oczu. Obaj biali ponuro spojrzeli po sobie i milcząc ruszyli śladami zbiegów ku wiosce.

Nocy tej w głębi pułapki, w zagrodzie wzniesionej ludzkimi rękami, trwała wspaniała ucztą. A Franciszek Pelletier sam sobie zadawał pytanie, dlaczego właściwie podmówiony przez Olee John gnał stado renów pięćdziesiąt mil w dół wybrzeża po to tylko, by w czas uratować życie gromadzie wygłodzonych białych wilków.

ROZDZIAŁ IX

Pustynia śnieżna

Śmiertelnie ponurą rzeczą jest noc polarna. Zabija wszystko cokolwiek dąży do życia i światła, rzuca na ziemię klątwę grozy; jest straszna i piękna zarazem. Ludzie i zwierzęta podczas długich miesięcy ustawicznej ciemności kończą nieraz obłąkaniem.

Wczesny zmierzch jest jej zapowiedzią. Wreszcie kin oosew tipis-kow! — nadchodzi zło! Wszystkie demony rzucają się na biedny kraj. Zarówno jak po chatach i schroniskach leśnych daleko na południu ciemnoocy potomkowie francuskich awanturników wierzą nadal w błędne ognie i wilkołaki, a dzieciom prawią z przyjemnością o Latającym Holendrze i upiorach — tak z nadejściem nocy polarnej Eskimosi zwierają się sobie wzajem, że złe duchy grasują nad ziemią i że diabelskie czary zakryły oblicze słońca. I w ciągu długich, nużących miesięcy każdy walczy o prawo istnienia.

Miliardy chłodnych gwiazd, błądy księżyc i roześmiana zorza patrzą w dół, na pole zmagania życia ze śmiercią; pod niebem ubarwionym jaskrawie, przybranym w sztandary różnofarbne, ludzie oraz zwierzęta polują, głodują i giną. Nie ma końca pysznej glorii niebios; nie ma granic cierpieniom ziemi. Łód skuwa morze; puste żołądki poszukują jada. Na olbrzymiej arenie u krańców świata rozgrywa się bez przerwy wielka tragedia, aż dnia pewnego zemkną złe duchy i ponownie błysnie słońce. Nadchodzi wiosna, lato i ci, co zdołali przetrwać, wstępują w krótki okres sytości.

Lecz i zimą również bywają z rzadka okresy przełomu — peko--wao. Ma się wtenczas wrażenie, iż wyższym mocom obrzydła monotonia walki i same dążą do jakiejś różnorodności. Temperatura podnosi się szybko. W porównaniu z poprzednim chłodem powietrze staje się niemal ciepłe. A zmiana ta otwiera drogę wielu możliwościom.

Była trzecia noc podług rachunku godzin od rzezi renów Olea Johna — gdy peko--wao przyszło nad Zatokę Koryncką. W powietrzu drżała dziwna tajemniczość. Gwiazdy tłumnie wyległy na strop niebios, jaskrawe niby języki białego ognia. Księżyc po prostu ożył. Zorza sprawiała wrażenie bajecznej wróżki głową sięgającej przestrzeni międzyplanetarnych. Fale elektryczne tworzyły wokół niej niby zarys wspaniałej barwnej parasolki, otwieranej szeroko, to znów zamykanej niewidzialną dłonią. Pod tęczą kolorów ganiał szalony wicher. Jego wycie i zawrodoenie wypełniało świat zakrzepły grzmotem huraganu. Lecz buszował tak wysoko, że najmniejszy dech nawet nie musnął łona ziemi. Między niebem a białym barren brakło cienia chmury, cienia obłoku. Dla tych, co z dołu słuchali i patrzyli, była to „diabelska burza”. Niepokój zakradł się w głąb dusz.

Błyskawica czuł również silne podniecenie. Trzy doby temu stado białych wilków pod jego dowództwem dokonało straszliwej rzezi. Eskimosi pewni, że diabły zamieszkują ciała bestii, nie śmieli z nimi walczyć? Dlatego ucztowano bez przeszkód. Zwierzęta posilały się jeszcze teraz. Miały pozostać na miejscu póty, aż skruszą ostatnie kości i wyssą resztki szpiku.

Spośród całej zgrai jedynie Błyskawica porzucił już jadło. Kropla psiej

krwi dała o sobie znać. Ogarnęło go ponownie silne pragnienie samotności. Wycie niewidzialnej zawieruchy, jaskrawy połysk zorzy podnieciły go gwałtownie. W takich chwilach na czas jakiś przestawał być wilkiem. Poprzez dwadzieścia pokoleń wracał ku niemu duch Skagena. Doznawał przemiany, której nie mógł pojąć, żarła go tęsknota do rzeczy utraconej, cennej, choć nigdy nie znanej. Psi zew przemawiał z mroku lat.

Wszystko to owładnęło nim właśnie teraz. Wyszedł z parowu, w którym pomordowano reny i stał sam jeden na zakrzepłym, pozbawionym wszelkiej roślinności barren. Gdyby go tak zobaczył człowiek, orzekłby natychmiast, iż nie jest to wilk, lecz pies, pies potężnego wzrostu i mocnej budowy. Nie był biały jak wilki polarne, tylko odziedziczył ciemnoburą sierść przodka Skagena. W czysto psiej pozie nasłuchiwał zawodzenia wichru.

Wicher ten bardziej niż księżyc, gwiazdy i zorza napawał go niepokojem, wlewał w żyły ferment podniecenia. Miał ochotę gnać po psiemu dla samej radości biegu i to gnać — samotnie! Instynkt przywódcy zgrai — pierzchł. Na czas jakiś przestał być wilkiem. Lecz i psem także nie był. We krwi nosił wrodzoną dzikość. A duchy sprzed lat dwudziestu wołały nań, duchy stworzeń zamieszkałych w budach przy ogniskach ludzi białych, duchy, których mową było szczekanie, nie zaś wycie! Błyskawica, sam nie wiedząc dlaczego, odpowiedział na ten zew.

Pomknął wprost przed siebie, z wiatrem. Nie licowało to bynajmniej z elementarną wilczą przezornością, lecz nocy dzisiejszej Błyskawica ani o to dbał. Nie uprawiał przecież łowów i nie bał się niczego. Dorosły wilk nie zna zabaw. Żyje życiem naręcznym i ponurym. Ale Błyskawica, z kroplą psiej krwi przemawiającą doń z oddali, uczuł raptem chęć igraszek. Pragnienie to było dlań samo w sobie zagadką. Niby dorosły, który nigdy dzieckiem nie był, nie miał pojęcia, jak się należy bawić. Duch psa przemawiał doń dziwną mową. Silił się zrozumieć-i odpowiedzieć. Lecz jedyną odpowiedzią, jaką dać potrafił, był właśnie bieg. Że zaś brakło żywego towarzysza, który by jego zachcianki podzielał — gnał ha wyścigi z wiatrem!

Biegł tak zawsze, ilekroć wichur wył i zawodził w przestrzeniach podniebnych, nie muskając jednak ziemi. To dopiero był kompan. Choćby gnał, nie wiem jak długo i szybko, nie zdołał go nigdy dopędzić. Wichur go przynaglał, drwił z niego, śmiał się zeń i śmiał się z nim wespół.

Nocy dzisiejszej Błyskawica miał wrażenie, iż jest to prawie namacalna żywa istota. Chwilami wiatr szybował tak wysoko, jakby już zamierzał całkiem umknąć między gwiazdy; to znów opadał w dół niemal mu grzbiet, muskając, radosny, rześki, naglający do zawrotnego pędu. Wtenczas Błyskawica dobywał z gardzieli dźwięku, którego wilki, malamuty i haski nie znają wcale. Było to niemal prawdziwe ujadanie. Wesoły, zziębły pies wyzywał wichur.

Miła za miłą utrzymywał szalone tempo. Wreszcie ozór zwiśł mu z pyska, dech stał się krótki i ostatecznie Błyskawica stanął. Po chwili siadł na śniegu z wywieszonym na całą długość ozorem i ział ciężko. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał teraz psa. Śmiał się. Obok zaś psiego roześmiania pyska miał, zupełnie nie po wilczemu, wstydliwie zwieszony uszy. Wiatr pobił go raz jeszcze. Wyprzedził go tak dalece, że nawet dźwięk w powietrzu zamarł, więc Błyskawica badawczo spoglądał ku gwiazdom i badał lśniąca zorzę, której olbrzymia, wielobarwna parasolka rozwierała się i zamykała bez przerwy.

Czas jakiś trwała dziwaczna cisza, cisza kompletna. Błyskawica nasłuchiwał czujnie. Wycie wichru rozbrzmiało raptem znowu, tym razem poza nim. Uszy psa zwiśły zupełnie. Pysk zamknął się w pokornym doznaniu porażki. Wiatr nie tylko go prześcignął, lecz niepostrzeżenie zatoczył koło i teraz wabił znów do nowej beznadziejnej gonitwy.

Jego bure, długie cielsko strzeliło z miejsca niby pocisk. Za ledwie raz czy dwa w życiu całym rozwijał taką szybkość. Mimo to głos wichru wyprzedzał go stale, a minawszy nawoływał drwiąco.

Gdy Błyskawica przystanął po raz wtóry, zrobił dziesięć mil. Bieg go nie wyczerpał. Zatchnął się jedynie własnym pędem. Ciało miał wciąż pełne nerwowego napięcia tworzącego atmosferę nocy. Lecz na razie dał pokój gonitwie. Podniecenie sił żywotnych ułożyło się nieco, toteż ruszył przed się truchtem starając się dojrzeć lub usłyszeć coś nowego.

Co by to miało być — nie wiedział. Nie o zwierzynę mu szło, gdyż nie był głodny i nie odczuwał pragnienia łowów. Wałęsał się po prostu, jak się wałęsa pies w gwiazdziste i miesięczne noce po kraju, w którym stoją budy i mieszkają ludzie biali. Tak przed laty spacerowali sobie przodkowie Błyskawicy, kłusując leniwie przez pola i łąki, włócząc się bez celu, z samej radości życia tylko, dla poznania jego tajemnic.

Wędrował już około dwóch godzin, gdy pekoowao, krotochwilny czarodziej, stworzył mu na drodze niespodziewaną przygodę.

* * *

Mistapoos był to potężny zając polarny, stary, siwobrody jegomość mądry doświadczeniem wielu lat. Na pochyłości łąki, gdzie pod kozuchem śniegu rósł obficie zielony mech, zebrała się ich cała gromadka, około dwudziestu bielaków młodych i starych pilnujących wiatru. Jest to zwyczajem tych zwierząt, naczelnym ich instynktem jakie takie bezpieczeństwo, że podczas burzy, zwrócone ku wiatrowi, zamknąwszy oczy wytyżają węch i słuch. Śród zawieruchy huraganu bowiem, gdy zacinający śnieg oślepia, wilki, lisy i gronostaje niespodzianie wynurzają się z mroku. A nocy dzisiejszej Mistapoos i jego kompania, rozsądni pod wieloma względami, lecz w tym wypadku głupi, byli przekonani, że jest burza.

— Musi być burza! — rozumowali mylnie, jeśli w ogóle zdolni byli rozumować. — Musi być burza, choć niepodobna jej odczuć! — Głos zamieci bowiem dzwonił stale w ich wielkich uszach. Słyszeli ją czas długi, jak miota się zawodząc tuż ponad ich głowami, więc pełni stoicyzmu tkwili nieruchomo pyszczkami zwrócenie w jej stronę, mając oczy zamknięte, zjeżone baczki, miękko ustawione słuchy i czujne nozdrza w ruchu ustawicznym.

Wyglądali niby duże, białe, ładnie nabite poduszki, rozrzucone na przestrzeni około trzydziestu stóp kwadratowych. Mistapoos musiał ważyć z piętnaście funtów, a każdy z osobna, bez względu na wiek, stanowił najdelikatniejszy i najbardziej soczysty kąsek w całym barren.

Otóż trzeba trafić, że Błyskawica całym pędem wleciał na ten właśnie płat równiny. W chwili obecnej nie ścigał się już z wiatrem ponad głową, tylko mknął na oślep, wyprzedzając własną woń. Leciał tak szybko, że nie zdążył wypatrywać zwierzyny. Mistapoos zaś i jego kompania usłyszeli tętent łap, zanim ułowili zapach.

Cała gromada otworzyła oczy jak latarnie i w tejże chwili ujrzała wielką bestię tuż nad sobą. Jednocześnie Błyskawica zobaczył pierwszego zająca. Stanowczo brakło czasu na obór kierunku ucieczki, więc każdy spośród dwunastu tłustych bielaków dał po prostu susa w powietrze niby wyrzucony sprężyną. Mistapoos, którego odświętne imię brzmiało *Lepus Arcticus*, wykonał jeden szalony skok. Zamierzał być może przesadzić Błyskawicę, lecz był ciężki, tłusty i leciwy, toteż niby potężny pocisk grzmotnął w samą pierś wilka. Uderzenie owych piętnastu funtów było tak silne, że Błyskawica omal się nie przewrócił. Mistapoos wylądował z trzaskiem, ogłupiały doszczętnie i całkiem pozbawiony tchu. Zaledwie dotknął ziemi, już wyprężył zadnie łapy niby potężne sprężyny i dał nowego susa, nie tracąc ani jednej drogiej sekundy na orientację. Tym razem głową naprzód gruchnął między żebra Błyskawicy i najpotężniejszy z wilków wywrócił się jak kręgle uderzone kulą.

Błyskawica porwał się na nogi warcząc i szybko skręcił w stronę wroga. Lecz Mistapoos, czyli *Lepus Arcticus*, znikł już w mroku nocy, mierząc białą pustynię skokami długości dwudziestu stóp. Cała jego kompania znikła również.

Pobity przez wiatr, wywrócony przez zającą, Błyskawica na dłuższą chwilę stracił wszelką inicjatywę. Kucnąwszy pośród kotliny przesyconej świeżą wonią z ukosa spoglądał na świat. Skoro ruszył dalej, kulił grzbiet i kitę włókł po śniegu, jak gdyby w obawie, że którykolwiek z przyjaciół oglądał jego haniebną porażkę i jutro puści plotki na całe barren.

Po głowie tłukły mu się nowe jakieś przypuszczenia z wolna przechodzące w pewność. Widać świat i zamieszkujące go istoty nie zawsze są tym, czym się być wydają. Stworzenia, które napotkał, to nie były zające, lecz po prostu białe niedźwiedzie, bo jakimże cudem zwykły Mistapoos potrafił zbić go z nóg?...

Po drodze odzyskał dobry humor. W ciągu następnej godziny noc ponownie zmieniła oblicze. Wiatr umilkł. Zorza po raz ostatni otworzyła i zamknęła barwną parasolkę, po czym wszystkie kolory roztopiła w morzu bładożółtej światłości. Kędy huczała zawierucha tonów, leżała teraz wielka, nie zmacona cisza. Ledwo dostrzegalny przyjemny powiew obracał się lekko, aż zadął z północo-zachodu.

Błyskawica zapędził się poprzednio o dwadzieścia mil od stada w samą głąb barren. Teraz zmienił kierunek, napełnił nozdrza przyziemnym powiewem i skierował kroki ku wybrzeżu. Buntowniczy płomień już się w nim wypalił, zaś na nowo ożył instynkt dziczy. Czułe zmysły czytały w mroku nocy niby w otwartej księdze. Sunął badawczo, ostrożnie, jednak dłuższy czas nie dostrzegał nic szczególnego.

W pewnej chwili trafił na brzeg morzą usiany chropawą warstwą lodu i pilnował go na przestrzeni jednej lub dwu mil. Znajdował się w nie znanej okolicy. Co trzysta lub czterysta jardów przystawał, nasłuchiwał i obracając głowę węszył na wszystkie strony. Tak dotarł do spadzistego zbocza biegnącego w dół, nad samą krawędź zamarzniętych wód.

Zaledwie stanął u szczytu pochyłości, odczuł niby wstrząs elektryczny. Coś się tam znajdowało w głębi migotliwej kotliny, coś, czego nie mógł dojrzeć. Dreszcz podniecenia przeszył mu ciało. Czekał sztywny jak skała, usiłując zmienić przestrożę zmysłów w czytelny obraz. Nie powiodło mu się, więc począł wolno zstępować w dół. Tak ostrożny był jego chód, iż minął dobry kwadrans, nim dosięgnął wąskiego pasma równiny graniczącego z wybrzeżem i zobaczył to, co się dotychczas kryło przed jego wzrokiem.

Było to eskimoskie igloo. Nie po raz pierwszy oglądał ten typ ludzkiej sadyby. Omijał je zawsze z daleka, bowiem igloo było synonimem dzikich stworzeń — potężnych psów zaprawianych na niedźwiedzia — oraz ludzi gotowych do napaści. Nie miało dlań zresztą tego uroku, co chata białych ludzi na krawędzi lodowcowej doliny. Lecz dziś coś go tu wlekło. Jakaś właściwość powietrza. Jakaś mowa ciszy. Jakiś czar pustki ogromnej. Prawie mimo chęci wolno, lecz uparcie sunął w stronę igloo.

ROZDZIAŁ X

Na śmierć i życie

Igloo było niewielkie, lepione z bloków lodu, brył śnieżnych i drewnianych szczątków okrętu, naniesionych prądem śladów rozbicia. Przypominało duży kopiec lub też potężny ul wymalowany na biału. Wejście miało około piętnastu stóp długości. W rzeczywistości był to tunel o trzystopowej średnicy; mieszkańcy igloo musieli pełznąć tędy na dłoniach i kolanach, by się przedostać do jedynej izby.

Umieszczenie wejściowego otworu o piętnaście stóp od mieszkania zapobiegało ubytkowi ciepła wytwarzanego przez rozgrzane ciała ludzkie oraz przez kaganek wypełniony foczym tłuszczem, w którym płonął knot uwity z mchu. Był to niby prymitywny termos. Z chwilą gdy temperatura wewnętrzna osiągnęła pięćdziesiąt stopni powyżej zera, a drzwi zakryto szczelnie skórzaną zasłoną, można było zachować tą samą ciepłotę przez czas dłuższy, szczególnie jeśli w mieszkaniu byli ludzie.

Zasłona z niewyprawnej skóry foczej była teraz szczelnie zaciągnięta, mimo to Błyskawica wiedział, że wewnątrz nie ma ani ludzi, ani psów. W powietrzu nie łowił nawet cienia woni. Na śniegu krzyżowały się co prawda gęste ślady stóp, lecz zapach dawno z nich wywietrzał. Błyskawica przymknął zatem bliżej. Wbrew instynktowi i przezorności coś wlekło go nieodparcie.

Trzy, cztery, pięć, dwanaście razy zatoczył krąg wokół igloo, aż wreszcie stanął, nosem muskając prawie zasłonięte skórą wejście. Wydłużając szyję, sapnął. Doleciała go gęsta woń mężczyzny, kobiety i zwierząt. A wraz z wonią nadpłynął dźwięk.

Na ten dźwięk właśnie Błyskawica odskoczył w tył, skomląc, niespokojnie unosił głowę, podczas gdy ślepia płonęły mu nowym ogniem. Podreptał ze sto jardów śladem najświeższego tropu i znów wrócił ku igloo. Wonie doleciały doń powtórnie i powtórnie ułowił dźwięk. Zadrżał. Zaskomlił. Nerwowo kłapnął wielką paszczą. Poprzez dwadzieścia pokoleń wilczych przyzywał go głos, głos istoty, która wierzyła mu zawsze, bawiła się z nim i kochała go wieki całe przed narodzeniem Chrystusa — głos żywego stworzenia, u którego stóp psy płaszcą się w pokornym uwielbieniu i dla którego obrony walczą. W głębi igloo za mrocznym tunelem płakało dziecko!

Dla Błyskawicy była to rzecz zupełnie nowa. Słyszał nieraz pisk szczeniąt wilczych, ich żalorny skowyt. Lecz to brzmiało całkiem inaczej. Każdy nerw zadygotał w nim w odpowiedzi, jak drży kamerton za dotknięciem klawisza fortepianu. Tkwił w miejscu zdziwiony, pełen ogromnego niepokoju. Potem poczłapał ze sto jardów w przeciwnym kierunku, nieustannie wciągając powietrze, usiłując wydobyć z otoczenia rozwiązanie zagadki. Wrócił wreszcie po raz trzeci. Obwąchał podnoże igloo i przystanął znów u wejścia. W głębi panowało teraz milczenie. Dobrą minutę nasłuchiwał. Aż raz jeszcze ułowił dźwięk.

Matki z całego świata rozpoznałyby go od razu — matki o piersiach białych, brązowych czy też czarnych. To lkało głodne dziecko. Jakkolwiek w pierwotnej lepiance na najsurowszym krańcu świata był to przecie ten sam głos, co płynie z ust dzieci milionerów w pałacach położonych stąd o dwa tysiące mil. Jest to krzyk wiekowy, od tysięcy lat jednaki dla wszystkich ras i plemion, sięgający tak daleko na wschód i zachód, północ i południe, jak daleko sięga mowa ludzka.

W odpowiedzi Błyskawica zaskomlił. Gdyby tu był Skagen, ów wieki dog, który znał dzieci i niemowlęta, bez wahania wszedłby do igloo i w ciemności złożył ciężkie ciało obok płaczącej istotki. A potem drżałby w radosnym uwielbieniu czując, jak drobne rączki grzebią w jego futrze, a słaby głosik, zaprzestawszy łkania, szczebioce radośnie uszczęśliwiony z nowej zabawki.

U boku Błyskawicy, gdy tak tkwił przed wejściem tunelu, stał duch Skagena. Pragnął się tam wśliznąć. Podświadomie tęsknił do dotknięcia małych łapek, do słodkiej mowy dziecięcej, do bliskości bezradnej kruszyny. Lecz instynkt psa szamotał się w ciele wilczym. Ciało to sprzeciwiało się psim pragnieniom.

Zedrzeć skórzaną zasłonę i wejść, znaczyło dla Błyskawicy tyle, co odrodzić się na nowo.

Niestrudzenie począł krążyć wokół igloo wracając raz po raz do Samych drzwi. Dziecko przestało wreszcie krzyczeć. Mimo to nie miał najmniejszej ochoty stąd odejść. Szybko i niezrozumiale zbudził się w nim instynkt własności. Przybył na ten skrawek barren przypadkowo, lecz znalazł rzecz ważniejszą niż chata białych ludzi u brzegu lodowcowej doliny; trzymało go to niby na uwięzi, rozprasząc męczącą samotność. Nie tworzył sobie w myśli wizerunku dziecka, gdyż nigdy

dziecka nie widział na oczy. Oczarował go jedynie płacz, ów dźwięk bezradny a żalony.

Ze dwadzieścia razy, bez celu, zatoczył krąg wokół chaty. Pełno było wszędzie tropów psich i ludzkich, jednakże całkowicie wyzbytych woni. Człowiek odgadłby z łatwością, że coś tu zaszło. Jakiś dramat musiał się stać. We wnętrzu igloo bowiem, mimo grubości ścian i ciasno przylegającej zasłony temperatura spadła już do zera. A samotny dzieciak konał prawie z głodu.

Błyskawica wiedział, że coś się dzieje, lecz nie odgadywał prawdy. Przed godziną wyczekiwał nadejścia jakiegoś zdarzenia, obecnie jeszcze wyraźniej czuł, że coś zająć musi. Stał się ogromnie uważny. Bez przerwy wytyczał słuch. Z rozlicznych punktów wciągał powietrze. Nosem wodził po zimnych tropach. Co chwila nawracał do igloo, skomlił i czekał, sam nie wiedział na co. W jego procesie myślowym, ten śnieżny kopiec stanowił jedyną solidną pozycję. Jego bliskość sprawiała mu coraz większe zadowolenie. Z pół tuzina razy kładł się u wejścia, nil? z potrzeby spoczynku, lecz dla pilniejszego stróżowania. To była jego własność, a czuł, że tej własności coś zagraża. Za lada alarmem gotów więc był do ucieczki lub obrony!

Pokłusował wreszcie dalej nieco, na skraj lodowego urwiska górującego ponad zamrzniętym morzem. Coś szeptało mu, że groźba nadejście stamtąd właśnie, dlatego podejrzliwie wiercił wzrokiem wygwieżdżoną przestrzeń. Zachodni wiatr miał wyraźnie przeciw sobie. Dwukrotnie zamajaczył mu w mroku jakiś widmowy cień; gdyby wiatr powiał od wschodu, mógłby węchem stwierdzić, co to jest. Ciało przebiegł mu dreszcz, gdy usiłował rozeznąć zjawę po raz trzeci. Lecz cień się nie pojawił i Błyskawica wrócił znów do igloo.

W dziesięć minut później cień wdrapał się na górę lodową, z której Błyskawica obserwował morze i wszedł na równinę. Dążył w stronę igloo. Błyskawica dostrzegł intruza z odległości stu jardów i skoczył na równe nogi, prężąc mięśnie do walki. Cień sunął bliżej coraz bielszy w miesięcznej poświacie, aż Błyskawica rozróżnił nisko spuszczone, kołyszące się na boki łeb. Był to „gentelman w białym ubraniu” — Wapusk, niedźwiedź polarny.

O pięćdziesiąt jardów Wapusk stanął. Jego potężny łeb kolebał się na obie strony niby wahadło zegara. Małe ślepie błyszcząły. Łowy mu się nie powiodły i był głodny. Nie po raz pierwszy odwiedzał igloo. W ciągu tej zimnej głodowej dwa razy już jadał ludzkie mięso. Był stary, groźny i wyzbyt, wszelkiej litości. Głuchy ryk, tak dalece stłumiony, że przypominał łoskot odległych pól lodowych, zahuczał w jego głębokiej piersi, gdy zobaczył Błyskawicę pod ścianą domostwa, które zamierzał splądrować.

Grzmot z piersi Wapuska wystarczał zazwyczaj, by każdego wilka zmusić do ucieczki, lecz nocy dzisiejszej jakaś nowa moc weszła w serce Błyskawicy. Nie umknął więc, tylko zaryczał w odpowiedzi z dzikością tygrysa. Przeczuwał napaść. Przewidywał przecież, że spadnie jakaś klęska i oto Wapusk nadszedł. Zatem Wapusk był właśnie tym złem, którego oczekiwał.

Umysł Błyskawicy nie potrafił sięgnąć dalej. Nie wiedział oczywiście, jak rozmyślnie i z jaką intencją biały potwór tu przyciągnął; natomiast rozumiał doskonale, że ma przed sobą najgroźniejszego ze Wszystkich wrogów i że ten wróg zamierza zawładnąć chatą lodową i jej zawartością. Warczał więc, wyzywająco i ostrzegawczo zarazem. Obnażając długie białe kły cofał się wolno, aż przylgnął do skórzanej zasłony u wejścia do tunelu.

Wapusk nadchodził powoli. Jego olbrzymie łapy chrzęściły na zamrzniętym śniegu. Dzwoniły wielkie pazury, a łeb kolebał się wciąż z boku na bok niby wahadło zegara. To kołysanie właśnie poilo grozą i lękiem serca wszelkich żywych istot. Błyskawica, stawiając mu czoło, przywarł jeszcze silniej do skórzanej zasłony.

Wtem puścił słabo wetknięty kołek i skóra wydeła się do wnętrza. W tej samej chwili, zupełnie wyraźnie, Błyskawica usłyszał raz jeszcze znajomy dźwięk. Dziecko płakało znowu.

Wapusk, oddalony zaledwie o dwadzieścia kroków, również ułowił ten głos i przez chwilę łeb niedźwiedzia jakby zapomniał o wahadłowym ruchu. Potem warczenie potwora przeszło w głuchy ryk i, niby wolno sunąca lawina, niedźwiedź ruszył do ataku.

Błyskawica wyczuł za sobą podatność zasłony i gdy Wapusk był tuż, potomek psa skoczył wstecz tak, iż znalazł się w samym tunelu. W ten sposób zdobył przewagę. Olbrzymi łeb i szerokie bary Wapuska całkowicie wypełniły przejście, ograniczając jego możliwość ruchu.

Błyskawica momentalnie wykorzystał sytuację/Skoczył na wroga. Kły rwały i cięły niby noże. Rozdarł na pół nos niedźwiedzia. Ryk Wapuska pełen bólu i wściekłości wstrząsnął całym igloo. Lecz nie mógł uczynić nic innego, jak tylko kroczyć na spotkanie okropnych kłów. Paszcza nie była jego główną bronią, walczył przede wszystkim przy pomocy łap oraz ciężarem ciała, zaś w ciasnym przejściu nie mógł tych zdolności wyzyskać. Z minutę, być może, Błyskawica się nad nim znęcał. Potem raptownie olbrzymie cielsko pchnęło z całej mocy część tunelu zatrzęsła się, pękła i runęła w gruzy. Korytarz wiodący do igloo skrócił się o jedną trzecią.

Bryły śniegu i lodu omal nie przygniotły Błyskawicy. Uskoczył Wstecz, dalej w głąb tunelu, a Wapusk weisnął się za nim. Potomek psa walczył teraz tak właśnie, jak w swoim czasie ze strasznym Baloo. Szarpał nos i pysk niedźwiedzia. Urwał mu połowę ucha. Gdy jedna z przednich łap białego potwora sięgnęła nieopatrznie, chwycił ją pełną paszczą, przeciął na wylot i odgryzł cały palec u nasady. Ryk niedźwiedzia słyhać było o pół mili. Powtórnie naparł na przejście i ściany pękły znów na przestrzeni pięciu stóp. Wapusk wygrywał, mimo że krew jego rosła plac boju. Jeszcze jedno pchnięcie i dotrze do samego igloo.

Błyskawica, mając przednie łapy jeszcze w korytarzu, lecz zadnimi stojąc już w mieszkalnej izbie, oczekiwał ostatecznego zwycięskiego natarcia. Wyczuwał bliski koniec. Wiedział, że w tajemniczej otwartej przestrzeni ziejącej poza nim, nie zdoła się z niedźwiedziem równać. Jednakże nie myślał o ucieczce. Mając łeb i barki w ciasnym przejściu nie tylko stawiał czoło wrogowi — wyzywał go nawet.

W obliczu tych okropnych kłów Wapusk zawahał się chwilę, kołysząc łeb i mruczając. Jego małe ślepka, przyzwyczajone do ciemności, mówiły mu, że stoi niemal u celu. Jeszcze jeden atak, walka się skończy i będzie jadł mięso. Mimo to tkwił nieruchomo, rozumiejąc, że po raz trzeci przyjdzie mu znieść bolesne ciosy kłów. W międzyczasie zaszło coś jeszcze.

Po wygwieżdżonej równinie biegły szybko trzy zakapturzone, otulone w futra postacie: Eskimos Nepa, jego żona i syn. Podczas polowania na foki kra wyniosła ich na pełne morze, uniemożliwiając powrót. Lecz teraz wracali i z daleka już słyszeli u swoich drzwi ryk Wapuska. Niedźwiedź nie zwiertzył nadejścia ludzi ani dosłyszał ich. Myśl jego nastawiona była wyłącznie w jednym kierunku, gdyż po raz trzeci rzucał się właśnie w głąb szczątków tunelu.

Zwierzęta nadzwyczaj wyraźnie wyczuwają bliskość śmierci. Błyskawica wiedział, że czas nadszedł. Wszystkie mięśnie i żyły wspaniałego cielska sprężył w ostatecznym wysiłku. Atak jego był tak szaleńczy, że przez krótką chwilę Wapusk, nisko zwieszając głowę, nie zdołał kroku stąpić. Upłynęło z pół minuty, potem niedźwiedź runął naprzód całym swym ciężarem. Mury zatrzęsły się, runęły i igloo stało się otworem.

Jednocześnie z łoskotem padających brył przeszył powietrze okropny krzyk ludzki, a w świetle gwiazd mignął harpun. Broń wpiła się głęboko w ramię Wapuska. Zakapturzone postacie wrzeszczały teraz niby stado demonów. Błyskawica szalonym wysiłkiem dobył się spod lawiny śniegu i lodu, w której go niedźwiedź omal nie pogrzebał. Jeden sus i stanął pyskiem w twarz kobiety — tej kobiety, dla dziecka której wiódł najsroższy w życiu bój i gotów był umrzeć. W rękę miała długą dzidę do łowów foczych i z wrzaskiem wściekłości

cisnęła nią w wilka. Grot ugodził go między żebra. Uczuł ostry ból stalowego szpikulca i runął do ucieczki. Drzewce wlekło się za nim czas jakiś po śniegu, aż zahaczywszy o nierówność gruntu odpadło wraz z żelazem. Wapusk zmykał już ku polom lodowym.

U szczytu wzniesienia, z którego po raz pierwszy badał ten skrawek ziemi, Błyskawica przystanął na chwilę wyczerpany i skrwawiony. Z trudem łowiąc powietrze, zaskomlił. Tajemnica nocy przestała go

nęcić. Ponuro skręcił w kierunku zakrzepłego barren, gdzie białe wilki uczładowały nad trupami porżniętych renów, a duch Skagena już mu nie towarzyszył.

Cierpiał. Najbardziej jednak bolała go rana zadana ręką ludzką.

ROZDZIAŁ XI

Korsarze powietrza

Co lat siedem lub dziewięć na porośłą kępami wierzb tundrę olbrzymiej pustyni arktycznej spada Noob-Aku-Tao — Wielki Głód. Tak przynajmniej twierdzą Eskimosi oraz zamieszkujący bardziej na południu Indianie, zaklinając się przy tym na wszystkie bogi.

Raz na siedem lat króliki, podstawa podbiegunowego istnienia zarówno zwierząt, jak ludzi, podlegają strasznej zarazie ginąc milionami; skutkiem braku królików głodują rysie i wpadają w kanibalizm; wydry, kuny i norki rzędą, więc sidła traperów świecą pustką. Olbrzymie stada karibu, z których Eskimos czerpie żywność, tają w błyskawiczny sposób. Piżmowy wół wsiąka w tajemniczy mrok nocy polarnej. Wielkie niedźwiedzie trafiają się mniej często. Nawet drobne białe lisy — liczne zazwyczaj niby wróble, gdy jest dość królików — zdają się być zagarnięte w jakąś niewidzialną sieć i przeniesione w inne kraje. A po świetle hula wtenczas niestrudzony myśliwiec — głód.

Był właśnie taki „Siódmy Rok” oraz połowa „Długiej Nocy”. Przed miesiącem już stada karibu odeszły na południo-zachód. Gwałtowne zamiecie zasypały ich tropy, toteż wilki, których instynkt w tym wypadku był mniej czuły, straciły ślad wiodący do krainy wszelkiej obfitości daleko poza Wielkim Niedźwiedziem. Pozostawszy na pustym barren walczyły tu, głodowały i ginęły, bowiem ziemia cała, od wybrzeży Keewatin po zatokę Franklina, podlegała obecnie jednemu tylko prawu: dożyje ten, kto silniejszy. Wszędy hulał rozpętany kanibalizm.

Błyskawica, do niedawna wódz stada białych wilków polarnych, był również wygłodzonym, znędzniałym cieniem pełnym dzikości, opętany żądzą jada. Od nocy owej, gdy powiódł gromadę na rzeź renów Olea Johna, głód przycisnął go dotkliwie. Obaj z Mistykiem podtrzymywali teraz iskrę życia wykopując spod śniegu i łykając zmarznięty zielony mech. Gdyż Mistyk, olbrzymi wilk leśny, zawarł bratnią przyjaźń z Błyskawicą, potomkiem psa.

Owa kropla psiej krwi właśnie trzymała Błyskawicę w pobliżu Zatoki Koronacyjnej i prymitywnych osiedli eskimoskich. Stado jego, liczące pierwotnie do stu pięćdziesięciu głów, częściowo wyginęło, częściowo rozproszyło się po barren. Złamane głodem białe bestie nie goniły już po pustyni. Zew łowiecki umilkł, bowiem jeśli kto schwytał zdobycz, chciwie pilnował mięsa dla samego siebie i zjadał wszystko sam do ostatniego gnata.

Błyskawica i Mistyk od tygodnia już nie potrafili nic upolować. Od trzech dni ryli śnieg łapami w bardziej osłoniętych miejscach i podsycali iskrę życia kędzierzawym mchem, w normalnym czasie stanowiącym pokarm karibu i renów. A przecie nigdy dotąd nie uprawiali łowów z taką pasją. Myszkowali u

skraju barren, nad brzegiem zatoki, na krawędzi pól lodowych. Z pół tuzina razy napotykali białe lisy, lecz te niby błędne ognie przepadały wnet bez śladu. Raz Błyskawica skoczył na fokę, ale była to nieznaną zwierzyzną, toteż umknęła mu, Zanim potrafił odnaleźć śmiertelny chwyt. Dwukrotnie widzieli wielkie białe niedźwiedzie, zbyt jednak potężne, by się z nimi mierzyć. I w ciągu całego tego czasu ani jednego królika, gdy powinny ichbyły być tysiące! Wreszcie nadeszło ostatnie i największe z rozczarowań. Pośród zamieci zdybali trop pizmowego, wołu i ruszyli śladem mimo burzy, lecz daleko w szczerym barren trop zginął im zatarty śniegiem i wichrem. Rozpłaszczeni na skalnym zrębie wyciętym w łonie góry naporem lodowca leżeli teraz obaj na czatach. Pilnowali tajemniczego cienia, który zamajaczył im już parokrotnie w siwym mroku tuż nad głową. Od kwadransa trwali tak bez ruchu niby przemienieni w kamień. Żaden mięsień nie drgnął. Nie strzygł nawet czubek ucha. O pięćdziesiąt stóp dalej ściana skalna opadała ku morzu i z głębi przepaści dwukrotnie wypłynęło białe widmo, by znów w ciemni zatonać.

Oto wynurzyło się po raz trzeci przed ich krwią nabiegłymi oczyma. Oto szybowało chwilę w powietrzu i znikło, wsiąkło w noc, jak przody.

Wapinoo — sowa nie zauważył wcale przyczajonych zwierząt. On również głodował. Wraz z odejściem wielkich białych królików odeszło jego mięso, toteż nastąpiła godzina, gdy zbrodnicze serce opętał kanibalizm.

Wapinoo był kolosem swego gatunku. Rozpostarte skrzydła mierzyły pełnych pięć stóp. Szpony miał niby noże tak długie, że przy większym zasobie sił mógłby wypuścić wilkowi wnętrzności. Potężnym dziobem potrafił rozbić czaszkę lisa.

Wapinoo czatował również. Lecz oczy jego, płonące szałem głodu, nie padły ani razu na zrab skały, gdzie leżeli Mistyk i Błyskawica. Wierciły uparcie wygwieżdżoną ciemność. Wiedział, że musi znów ujrzeć to, co spostrzegł przed chwilą. Trzykrotnie siwy kształt wypływał z mroku, trzykrotnie ginął w przestrzeni, jednak sposobność do ataku wciąż nie nadchodziła. Śmiertelnie przeczorny Wapinoo czekał. Obecnie po raz czwarty gotował mięśnie do napaści. Spoza skalnego muru, zataczając koła coraz szersze w milczącym poszukiwaniu zdobyczy, nadciągała obca sowa. W łbie Wapinoo nie było miejsca na lęk. Życie całe posiadał siłę nieprzeciętną. Żadna inna sowa nie zwyciężyła go dotąd w walce. Odegnął lub zabił każdego kłusownika ze swych terenów myśliwskich, a dzięki licznym przewagom wyrósł na łupieżcę i amatora zwad. Podczas ostatnich łęgów w ataku szaleństwa wymordował własną rodzinę, a głód uczynił go teraz wprost strasznym. Toteż zwlekał nie dla zmierzenia wzrostu i siły przeciwnika, lecz jedynie dla obrania chwili odpowiedniej. W zaślepieniu nie zważał, że obcy, Nizpak, posiada wzrost równie potężny, zaś oczywiście nie mógł wiedzieć, że przed dwoma dniami tamten ubił dorastającego lisa, był przeto w lepszej kondycji. Mówiąc nawiasem intruz był jeszcze dzikszy i bardziej krwiożerczy niż sam Wapinoo.

Gdy Nizpak wypłynął zza skały po raz czwarty płonącym wejrzeniem szukając łupu, Wapinoo niby wielki biały pocisk strzelił ze swego ukrycia. Nie atakował szponami lub dziobem, lecz spadając z góry, na ukos, rozmyślnie uderzył ramieniem. Był to potężny i dobrze wymierzony cios. Nizpak stracił równowagę i zakolebał się w powietrzu jak człowiek chwiejnie stojący na nogach. Wtenczas Wapinoo uderzył powtórnie i z ogłuszającym łopotem wielkich skrzydeł dwaj starzy mordercy padli na zakrzepły śnieg równiny.

Wapinoo miał znaczną przewagę. Jego atak pozbawiłby życia zwykłą sowę w bardzo krótkim czasie. Ogromne skrzydła jak maczugi były oszołomionego Nizpaka. Z chrapliwym skrzekiem triumfu i wściekłości zatapiał szpony w porosłej puchem piersi ofiary, podczas gdy potężnym dziobem kuł czaszkę usiłując ją wyłamać.

Lecz Nizpak był to zahartowany w boju korsarz. Swobodnym skrzydłem począł się bronić. W całym swym krwawym życiu Wapinoo nie zaznał ciosów o takiej mocy. Jego własne skrzydła omdlały, musiał zaprzestać razów dzioba i wreszcie, tracąc równowagę, zjechał na bok. Mimo to trzymał się szponami i

nawet nurzał je coraz głębiej. Zakrzywione pazury wnikły poprzez pierze, puch i skórę w żywe mięso. Nie puścił i wtenczas, gdy Nizpak gwałtownym rzutem zwałił go w śnieg. Lecz teraz dziób Nizpaka począł kłuć niemilosiernie. Niby żelazne ostrze godził w głowę Wapinoo. Wykłuł mu oczy i przez jamy oczne przeniknął do mózgu. Zanim jeszcze Nizpak zaprzestał mordować — Wapinoo już nie żył, teraz zaś, szarpiąc i ciągnąc, zwycięzca uwolnił się od pazurów tkwiących w jego piersi.

W czasie trwania bitwy z wolna, po cichu Błyskawica i Mistyk przymknęli bliżej. Sunąc na brzuchach, znajdowali się o pięć metrów od obu sów, gdy Nizpak oswobodził się wreszcie ze szponów martwego wroga. Szybko niby cienie śmigłe cielska dały susa poprzez mrok, Nizpak dostrzegł ich i z gwałtownym biciem skrzydeł cisnął się w górę. Lecz śmiertelna rana w piersi osłabiła go znacznie i unosił się wolno. Był o sześć stóp nad ziemią, gdy Błyskawica wykonał szalony skok i zwarł szczęki w kłębie pierza. Nizpak gruchną w śnieg po raz wtóry, a Błyskawica, warcząc, przeniósł momentalnie chwyt na głowę sowy. Trzasnęły kości i Nizpak przestał żyć.

Mistyk oprawiał właśnie twardy szkielet starego Wapinoo, a zanim jeszcze Nizpak zaprzestał się trzepotać, już Błyskawica rozpoczął ucztę. Obaj żarłocznie, pełnym pyskiem, odzierali pierze ze zdobyczy, gdyż Wapinoo i Nizpak mimo dzikości i siły w dziewięciu dziesiątych składali się z piór i puchu. Każdy zawierał przypuszczalnie zaledwie trzy do czterech funtów kości i mięsa. Mięso to zaś było tak twarde, jakby się składało wyłącznie z samych tylko ścięgien i żył. Błyskawicy i Mistykowi smakowało jednak znacznie więcej niż wątroba karibu w dniach obfitości, toteż pożarli je doszczętnie kończąc ucztę głowami obu ofiar.

Zarówno jak napój oraz jadło wlewają życie i ufność w serca konającego z głodu człowieka — tak ów posiłek nappełnił oba wilki nową mocą i odwagą. Jeśli byli w ogóle zdolni do wiązania myśli, rozumowali zapewne, że klęska głodu już się skończyła. Nareszcie znaleźli mięso i pożarli je. Dzień jutrzejszy mało ich obchodził. Krew płynęła znów w żyłach ciepła i dziarska. Marzyli tylko o nowej zdobyczy, gdyż sowy, jakkolwiek zaspokoili głód, nie zadowolili jednak apetytu.

Wielokrotnie już wilk leśny usiłował pociągnąć Błyskawicę dalej na południe za otwarte barren, wiedział bowiem, iż tam leżą: gościnna knieja oraz pełne zdobyczy moczary, które tak lekkomyślnie porzucił. Teraz Mistyk ruszył dziarsko w obranym kierunku, Błyskawica zaś podniecony spożytym mięsem, rad z perspektywy nowych i ciekawszych przygód bez sprzeciwu podążył w ślad za nim.

ROZDZIAŁ XII

Woły piźmowe

Nigdy jeszcze gwiazdy nie płonęły ponad nimi tak jaskrawo. W atmosferze oczyszczonej niedawną zamiecią pojedyncze gwiazdy zdały się zmieniać w całe konstelacje, aż ozdobiły firmament niby złoty haft na tle purpurowo błękitnych draperii. Zorza, jak gdyby zawstydzona ich urodą, zaprzestała ognistych szaleństw, lśniąc już tylko bladosebrną mglistą poświatą.

Błyskawica i Mistyk mogliby dostrzec ciemny przedmiot z odległości pół mili. Lecz na całej tej białej i zmarzniętej przestrzeni próżno byś szukał rzeczy równie ciemnej, jak ich własne bure futra. Życie, gdziekolwiek raczyło się objawić, było zawsze białe. Białymi były wielkie niedźwiedzie, sowy i zające, wilki oraz lisy. Nawet barwa karibu i wołów piźmowych — jakkolwiek celowo ciemniejsza — harmonizowała znakomicie z gwiezdą poświatą i widmowym kolorytem nocy.

Mistyk, jako bywalec leśny, używał przede wszystkim słuchu i wzroku dla wytropienia zwierzyny. Błyskawica natomiast wiedział z doświadczenia, że jedynie węch może mu wskazać mięso. Mistyk lepiej łowił dźwięki odległe, być może, dalej widział, lecz nozdrza Błyskawicy mimo to wcześniej chwyciły wszelką nowinę.

Gdy więc tak szli, każdy na swój sposób postępował czujnie. W żyłach krew krążyła coraz cieplejsza, w miarę jak żywność, zawarta w żołądkach, rozsyłała energię po całym ciele. Dążyli wprost na południe, pilnując wiatru, ogromnie słabego zresztą. Od chwili ustania zamieci temperatura się podniosła i było najwyżej czterdzieści trzy lub cztery stopnie mrozu. Panowała martwa cisza; gdyby Błyskawica zawył, inne wilki usłyszałyby go na przestrzeni dwudziestu mil kwadratowych. Cudem jakimś brakło nawet ujadania białych lisów. Mogło się zdawać, iż życie wyginęło tu do cna.

Mimo to żaden z dwu łowców nie odczuwał przygnębienia lub groźby głodu. Raz jeszcze nieźle nakarmieni wierzyli niezachwianie w dalszą serię powodzeń. Biegli uparcie bez chwilowego nawet niedbalstwa. Instynkt myśliwski działał nieomylnie. Na przestrzeni pierwszych sześciu mil Mistyk przystanął raz jeden i zaskomlił nisko, nerwowo, dając koledze sygnał zaprzestania ruchu. Wiatr przywiał mu słaby zapach lisa. Nie potrafił jednak oznaczyć kierunku i po chwili woń pierzchła.

Jeszcze pół tuzina mil dążyli wprost przed siebie, aż znaleźli się na

olbrzymie lodowce przekształcały tutaj glebę. Ziały więc głębokie i płytsze jamy niby ślady ospy, czerniały ostre głązy i urwiska. Wilki i lisy z rzadka jedynie polowały w tych stronach, mimo to Błyskawica i Mistyk nie zawrócili z drogi. Mistyk wierzył, iż jest to kraj pełen Słodkich obietnic. Obrzydła mu naga monotonia barren. Tu zaś było dużo kryjówek zamieszkałych chyba przez żywe istoty; wśród stromych zboczy leżały szczeliny i wąwozy: w łonach wzgórz żłobiły się pieczary śnieżne i lodowe jaskinie. Zresztą instynktownie czuł, że dążą w kierunku jego lasów, a dawno przecież postanowił, że się tam uda. Co go obchodziły białe wilki, martwe pustynie wyzbyte drzew i "krzewów. Byle tylko trafić z powrotem w knieję.

Dwie lub trzy mile już tak szli pogmatwaną tundrą, gdy Błyskawica raptem zaskomlił ostrzegawczo. Stali właśnie u szczytu skalistego wzgórza i wiatr przyniósł mu jakąś woń. Tym razem nie był to zapach sowy, lisa lub zająca. To była gruba zwierzyna, więc dreszcz podniecenia przeszył ciało Błyskawicy, gdy silniejszy powiew uczynił woń bardziej wyraźną. W tej chwili Mistyk ułowił ją także. Była to ciężka, specyficzna woń Japao — piźmowego wołu.

Zapach ów nie łączył się dla Mistyka z pojęciem jego kniei, toteż Wciągał go ciekawie, zdziwiony lekko. Błyskawicę natomiast wstrząsnęło do szpiku kości. Zrozumiał, że w pobliżu przebywa najpotężniejsze ze zwierząt, na które białe wilki ośmielają się polować. Dygotał więc i skomlił nerwowo a radośnie, aż Mistyk pojął, że znaleźli nowe mięso.

Błyskawica pierwszy ruszył w dół zbocza. Skóro stanęli na równinie, ciało jego przybrało wilczą gibkość i czając się, szybko a bezgłośnie pomknął przodem. Instynkt oraz mądrość nabytego ongiś doświadczenia zabroniły mu zbaczać w tym lub w innym kierunku, kazały natomiast pilnować czoła wiatru jak najdokładniej. Japao, bowiem, lepiej niż którykolwiek inny mieszkaniec barren umiał zwęszyć niebezpieczeństwo.

Podczas gdy Błyskawica i Mistyk niby dwa cienie pomknęli między kopce śniegu i skalne rumowiska — stary byk tkwił nieruchomo pośród wąskiego pasma łąki. Łąka ta, położona o trzysta jardów na zachód od obu łowców, miała wklęsły kształt spodka. Japao pierwszy, jakkolwiek słabo, wyczuł nadejście wrogów, reszta stada bowiem pasła się dalej nieco w kierunku południowym. Otóż Błyskawica i Mistyk szli wprost na stado, dokładnie pod wiatr, lecz starego byka mijali nieco z boku Gromada wołów piźmowych była rozproszona na przestrzeni paru akrów, tworząc na białym tle duże, ciemne, prawie nieruchome plamy. Racice pracowicie dobywały spod śniegu zmarznięty mech. Japao, wódz stada liczącego dwanaście głów, był z nich najstarszy i największy. W jaskrawym świetle gwiazd sprawiał wrażenie olbrzymiego groteskowych kształtów potwora. Mierzył zaledwie co prawda cztery stopy wzrostu, natomiast długi był na osiem stóp, a jego łeb, zwrócony zawsze frontem ku niebezpieczeństwu, przypominał ogromny, kością obity taran.

Przyroda wyznaczyła mu na mieszkanie kraj najbardziej wysunięty na północ, bowiem Krąg Polarny

stanowił południową, nie zaś północną granicę jego pobytu. Ciało krągłe, nogi niezwykle krótkie i masywne, sierść gęstą i tak długą, że wlekle mu się na śniegu pod brzuchem. Pod włosami leżał trzycalowy pokład wełny, kryjąc ciało nieprzeniknioną dla chłodu warstwą. Nawet podeszwy nóg Japao porastał włos zwarty niby filc, jedyne zaś obnażone miejsce stanowił w tym wszystkim czubek jego nosa.

Kryjąc wierzch potężnej czaszki niby stalowa tarcza, widniała szeroka kościana narośl harmonijnie wygięta ponad oczyma i zakończona z obu stron ostrym do bagnetu podobnym rogiem. Był to jego puklerz, jego bastion obronny. Przy jego pomocy odpierał wszelką napaść, Japao bowiem, rzadko atakując pierwszy, pozwalał wrogom tracić siły, a nieraz i życie w daremnych próbach pokonania tej żywej zapory.

Zaledwie parę sekund jeszcze Japao trwał bez ruchu. Potem z głębi piersi wytoczył mu się chrapliwy ryk. Zresztą przypominało to raczej bek barana, jakkolwiek głos był bardziej szorstki, donośny, a jednocześnie stłumiony, niby

płynący nie z piersi, tylko z dna brzucha. Śród ogromnej ciszy barren zabrzmiał niby warczenie bębna.

Momentalnie zadudniły zaskoczone racice i oto kiedy mądrość natury objawiła się w całej pełni. Barwa sierści wołów piżmowych stanowiła dla nich obecnie kwestię życia lub śmierci. Jakkolwiek obdarzony krótkim wzrokiem każdy wół jasno odróżniał na białym śniegu ciemny kontur towarzysza. Nikt nie rzucił się do ucieczki, wszystko zbiegało się do kupy. Powtórne gardłowe beczenie Japao skierowało gromadę w kierunku wodza. Jednocześnie Japao sam dążył im naprzeciw.

Jak pionierzy na stepie rozmieszczali wozy w ciasne koło dla osłony przed napaścią Indian — tak Japao i jego plemię, co prawda wolno i niezdarnie, lecz z ludzką niemal precyzją uczynili krąg obronny. Zadami do środka, głowami zwróceni na zewnątrz, trwali tak w sprawnym ordynku, jak gdyby każdy poszczególny zwierzę odbył specjalne przeszkolenie. Zniżywszy łby, czekali.

O pięć metrów od ciemnego kręgu wielkich zwierząt Błyskawica i Mistyk wynurzyli się z mroku. Wilk leśny był nieco speszony widokiem potężnej gromady nie znanych mu stworzeń, toteż niepewnie czekał na inicjatywę towarzysza.

Błyskawica trzykrotnie zatoczył koło w krąg nieruchomego stada, przy czym za trzecim razem biegł nie dalej niż o cztery metry od zwieszonych nisko łbów. Ciało jego sprężyło się do skoku. Na początku czwartego koła zebrał się w sobie i niby pocisk strzelił prosto ku gardłu Japao. Lecz Japao, choć krótkowidz, dostrzegł go w porę i niby doświadczony szermierz zręcznie zasłonił się tarczą. Błyskawica uderzył w nią z taką siłą, że mimowolny skowyt wydarł mu się z gardła, podczas gdy odbity gwałtownie padał daleko w śnieg.

W tejże chwili nowy trzask zaświadczył, iż Mistyk zawarł pierwszą bliższą znajomość z czaszką piżmowego wołu. Błyskawica porwał się z ziemi warcząc i bez zwłoki skoczył powtórnie, a wilk leśny, uczciwie, dotrzymywał mu kroku.

Ze dwie lub trzy minuty łoskot odbijanych ciał huczał nieustannie niby werbel i gdyby Japao oraz jego gromada posiadali jako taki zmysł humoru, mogliby się szczerze ubawić. Lecz ponure zwierzęta trwały w mrocznej powadze niby grono rozmodlonych teologów.

Zdyszani, pobici, wywiesiwszy czerwone języki Błyskawica i Mistyk cofnęli się wreszcie o parę kroków, by rozważyć sytuację. Potem zaczęli znów krążyć wokół gromady, ale żaden pancerny łeb nie zmienił ani na cal obronnej swej pozycji. Wtenczas Błyskawica zrozumiał, że w ten sposób nic nie wskóra. Jak dotąd nie myślał wcale o swych białych pobratymcach, teraz odczuł raptem nieodzowność pomocy stada. Stado było mu koniecznie potrzebne — ta zajadła horda, którą wiodł niegdyś na mord gromady karibu, a potem na rzeź renów Olee Johna. Wiedział, że tylko w ten sposób poradzi sobie z nową zwierzyną. Nie był to zresztą proces rozumowy. Nie ujawnił również w tym wypadku żadnej wyjątkowej inteligencji. Po prostu instynkt kazał mu zwołać co rychlej falangę zbirów.

Odbiegłszy o sto jardów w bok na nagie pasmo barren, zawył co siły. Wył tak donośnie i z takim przejściem, jak nigdy dotąd. Tymczasem Mistyk, bystrym instynktem oceniając manewr towarzysza, w dalszym ciągu trwał przy wołach. Nawet gdy Błyskawica Odbiegł tak daleko, że wycie jego stało się ledwie uchwytnie, Mistyk nie porzucił posterunku. A jak długo ten ogromny bury zwierzę cwałował wkoło warcząc i szczerząc zęby, tak długo Japao nie pomyślał nawet o złamaniu linii bojowej.

O trzy czwarte mili na zachód pasmo barren, biegnące przez poszarpaną tundrę, zlewało się z rozległą pustynią śnieżną. Błyskawica dążył tam właśnie, przystając co paręset jardów, by podać głos. Dużo czasu już minęło, odkąd wilczy zew — do mięsa! — po raz ostatni rozebrzmiał w tych stronach, toteż o milę dalej biały kształt węszący zgłodniałe a daremnie zatrzymał się raptem czujnie unosząc łeb. Z większej jeszcze odległości drugi wilk pochwycił sygnał, ułowił go trzeci i czwarty. Jak daleko były uszy do słyszenia i pyski do wycia,

rozbrzmiewało znane hasło.

Za czasów obfitości karibu setka wilków stawilaby się na apel, nocy dzisiejszej rozproszone, nędzne szkielety o krwawych ślepiach, targane straszonym głodem, przybyły zaledwie w liczbie dwunastu. Błyskawica bez zwłoki powiódł je za sobą Na wąskim paśmie łąki ułowiły po raz pierwszy woń zwierzyny. Mistyk gorliwie pilnował posterunku, a woły tkwiły wciąż w miejscu, bez ruchu, gdy żarłoczna zgraja wypadła z ciemności.

Teraz dopiero pod gwieżdzistym stropem rozgorzała prawdziwa bitwa. Wilki górowały liczbą, toteż osaczone zwierzęta straciły pierwotny stoicyzm. Czternaście warczących, skaczących, opętanych głodem bestii nacierało ze wszech stron, przy czym najzażartsi byli Błyskawica i Mistyk.

Raz po raz, bez przerwy uderzano w opancerzone czoła wołów. Potem zabrzmiał pierwszy warczący skowyt: zwierzęcy głos bólu. Jeden z białych zbójców nadzieją się na ostry róg Japao. Lecz atak nie uległ chwilowej nawet zwłoce. Zanim Japao zdołał otrząsnąć wilka z rogów, nowy zwierz zatopił kły w jego nozdrzach i w tymże mgnieniu, szybko a nieprzewidzianie rozwinął się dalszy bieg wydarzeń prowadząc do całkowitej klęski.

Ogromny wilk, przesadziwszy z rozpędu schylony kark Japao, nadzieją się na zakrzywiony róg jego towarzysza i na czas pewien zarówno sam Japao, jak i jego sąsiad obarczeni ciężarem rannych wrogów stali się niezdolni do skutecznej obrony powierzonego im odcinka. Wykorzystując sposobność ze zręcznością najlepszych łowców świata, pół tuzina bestii natarło na wyłom. Jeden zwierz, szalonym susem wpadł w środek stada. Drugi podążył za nim.

Stoicki spokój wołów pierzchł. Gromada zakotłowała się w obłędnym przerażeniu. Dudniły kopyta; chrzęściły gniecione zebra. W ciągu dwu minut oba wilki zginęły w tej panice zdławione na śmierć. Lecz ich poświęcenie złamało opór wołów i reszta bestii wisiała już u gardzieli i nozdrzy ofiar.

Woły pizmowe ginęły teraz potulnie jak barany. Japao klęczał, mając olbrzymiego białego wilka wiszącego u pyska, podczas gdy Mistyk trzymał go za gardło. Błyskawica przy pomocy dwu kamratów mordował innego wołu. Potężne zwierzęta nie umiały się bronić w rozsypce. Niezmiernie trudne do zabicia, gdy były w szyku bojowym, stawały się całkiem bezradne skoro przerwano ich front. Uciekały niezdarnie zdjęte owczą paniką. Mimo to rzeź trwała długo, ze względu na obfity włos i gęstą weinę, toteż dopiero po upływie pół godziny Japao i dwa inne woły wyzionęły wreszcie ducha.

Lecz stado Błyskawicy poniosło również niemałe straty. Spośród czternastu wilków pięć zginęło podczas rozrywania kręgu. Za to dziewięć pozostałych przystąpiło do uczty mogącej nasycić puste brzuchy pięćdziesięciu głodomorów.

ROZDZIAŁ 13

W obronie mięsa

Milczący i tajemniczy kodeks porozumiewawczy, który rozgłasza po świecie wieść o mięsie na użytek istot czworonożnych i skrzydlatych, zaczął już działać. Niejeden myśliwy, czyli zwierz doświadczony w łowiectwie, był zaskoczony po prostu niewiarygodną szybkością powodzenia łowów. Tam kędy wśród zmartwiałej pustki Błyskawica i Mistyk przed godziną nie wykryli śladu życia,

życie poczęło się raptem tu i ówdzie objawiać.

Początkowo był to jedynie ostrożny, wygłodzony lis, wytrzeszczający lśniące ślepki spośród chaosu rumowisk, potem sowa, szybująca milczkiem ponad głową przybyła znikąd i ginąca bez śladu, później drugi lis, trzeci i wreszcie krwiożerczy, nieustraszony choć maleńki gronostaj zwijający się przy każdym skoku jak sprężyna.

Można było przypuścić, iż stworzenia te znajdowały się w obrębie woni świeżego mięsa. Lecz wieści poszły dalej jeszcze. Żywe istoty, trafiając na ślad umykających wołów, przeczuwały instynktownie, iż jest to ucieczka przed śmiercią; korsarze powietrza rozumowali w tenże sposób.

Na ogół wszelki głodomór unikał wilka, Widząc w nim groźne niebezpieczeństwo dla własnego życia, mimo to włókł się często jego śladem w nadziei, iż pożywi się z resztek tego najznamienitszego łowcy barren. Otóż lis, gronostaj, a nawet i sowa wiedziały dobrze, kiedy wilk daje susy w pościgu, umiały rozróżnić w jego wyciu nutę mordy, tak właśnie jak wrony, grabarze leśni, wiedzą, że po strzale warto pilnie krążyć ponad knieją. Nocy dzisiejszej zaś śnieg zachował ślady dwunastu wilków śpieszących na zbiórkę oraz tropy dziewięciu wołów, które zdołały umknąć, nie mówiąc o woni krwi przelanej i zapachu świeżego mięsa, niesionych daleko na skrzydłach wiatru.

Toteż życie objawiło się wszędzie, gdzie zdawało się go wcale nie być. Tu i ówdzie buchnęło chrapliwe ujadanie. Na ten głos wielkookie sowy poderwały się spośród głazów tundry, by krążąc między ziemią a niebem zbadać przyczynę. Lot sów oraz donośne kłapanie ich dziobów, słyszane na przestrzeni stu jardów, zbudziły wygłodzone gronostaje o ślepkach jak rubiny, aż wreszcie nie z jednej strony, jeno zewsząd ciągnęli żarłoczni mieszkańcy barren, by się pożywić resztkami uczy wilczej.

Lecz nocy dzisiejszej nie było żadnych resztek. Zarówno jak krańcowy głód skłania człowieka do bratobójczej walki w obronie swego jądła tak przewlekła groźba śmierci głodowej zatarła w dziewięciu wilkach instynkt rasy. Czujni i baczni na wszystko, gotowi byli wydać bitwę każdej istocie skrzydlatej lub czworonożnej, która by się pokusiła o ich mięso i to nie wyłączając członków własnego plemienia. Przypadek sprzął razem tę dziewiątkę. Każdy z osobna nie negował równego prawa innych. Lecz wszelki obcy wilk, jaki by się mógł pojawić, z góry skazany był na śmierć.

Po raz pierwszy od wielu tygodni opchane czerwonym mięsem nie rozproszyły się po ukończeniu uczty, lecz wygrzebały sobie dołki w śniegu tuż obok zdobyczy lub też na skraju pobliskiej tundry. Pierwszą sowę, która usiadła na ścierwie wołu, powitał wściekły biały pocisk i ptak, nie zdolawszy nawet zanurzyć dzioba w mięsie, zginął rozdarty na strzępy. Lisy i gronostaje, wążące się podejść bliżej, zmuszane były do ucieczki zajadłym warczeniem i niemniej zajadłą pogonią.

Pewien wyjątek stanowił jedynie Mistyk. Co prawda gotów był również do walki w obronie mięsa, lecz ponad tę skłonność wybijała inna, silniejsza. Rosło to w nim już od chwili zawarcia sojuszu z Błyskawicą: gwałtowne pragnienie powrotu „do siebie”. To „do siebie” znaczyło powrót do wielkich kniei i moczarów dalej na południu. Otóż Mistyk chciał, by Błyskawica udał się z nim razem. Niejednokrotnie usiłował go zwabić. Nocy dzisiejszej wreszcie powiodło mu się częściowo, gdyż istotnie szli na południe prostą drogą nawet, zanim trafili na mięso.

Skoro obecnie głód pierzchł, a czerwona krew bujnie krążyła w żyłach, Mistyk pragnął na nowo podjąć przerwana podróż. Zaskomlił więc u boku Błyskawicy i podreptał przez pasmo łąki. Tu wyczekał chwilę i znów zawrócił. Manewr ten powtórzył ze dwanaście razy, aż wreszcie potomek psa porzucił baczny krąg współbraci, by podążyć w ślad za druhem.

Spółem pokłusowali na południe. Mistyk prowadził. Biegł szybko. Uszy zwiesił na boki. Nie wyteżał już słuchu ani łowił woni zwierzyny. Wreszcie jednak na krawędzi zgnatwanej tundry, w obliczu pustego barren na nowo rozesłanego przed nimi, Błyskawica się opamiętał. Stał raptem i zaskomlił na pół zwrócony w kierunku skąd przyszli, a Mistyk tuż u jego boku odpowiedział skowytym, uparcie patrząc na południe.

Na przedzie leżała dziwna moc wabiąca ku sobie leśnego wilka, z tyłu istniał czar wstrzymujący Błyskawicę. Mistyk tęsknił do kniei, do moczarów rozległych, do rewirów ludzkich, w duszy Błyskawicy przemawiał wielki dog Skagen, nęcąc do powrotu nad lodowcową dolinę ku chacie białego człowieka.

Lecz tym razem Mistyk wziął górę i Błyskawica ruszył jego śladem. Szedł jednak niezdecydowanie i

niechętnie, dlatego ogromnie wolno posuwali się naprzód. Po upływie godziny oddalili się najwyżej trzy mile od cypla łąki, na którym ubili woły piźmowe. Tylko że Błyskawica coraz rzadziej odczuwał chęć powrotu. Godzina jeszcze i zerwałby na dobre z dawnym życiem. Trafiliby wkrótce w kraj bujny i lesisty, gdzie zawsze świeci to słońce, to księżyc i gwiazdy, gdzie jest długi okres letni, trawa i kwiaty, drzewa zielone, ciepłe jeziora i rzeki migotliwe. Lecz wtenczas właśnie gdy miał się spełnić decydujący przełom, duch nocy polarnej szybujący szlakiem podniebnym wyciągnął władcze ramię. Poprzez rozległą pustkę nadleciał głos, wołając, wzywając do powrotu.

Momentalnie zwracając się znów ku północy Błyskawica i Mistyk wyteżyli słuch. Było to wycie wilczego stada, stary zew łowiecki, odwieczny okrzyk bojowy. Białe kły zapraszały braci na śmiertelną ucztę.

Głos płynął słabo z północo-zachodu.

Lecz nie był to głos siedmiu białych wilków pilnujących krwawo zdobytego mięsa na dalekim paśmie łąki.

ROZDZIAŁ XIV

Walka stad

Na owym paśmie łąki siedem wilków usłyszało wycie wcześniej jeszcze niż Błyskawica i Mistyk. Nie uznały w nim jednak mowy bratniej. Bliska śmierć z wyczerpania, poprzedzona tygodniami straszliwej czczości i męczarni głodowych, zatarła pierwotny instynkt socjalny, stanowiący część wilczego kodeksu w dniach normalnego dosytu. Na razie przestały się uważać za członków wielkiego społeczeństwa. Były jedynie grupą jednostek posiadających pewne dobro i gotowych walczyć w jego obronie z wszelkim nowym przybyszem, nie wyłączając nawet dawnych kolegów.

Luźną grupą otoczyły poszarpane ścierwa trzech wołów pizmowych, błyskając białymi kłami i warcząc. Ślepia ich, gorejące ogniem bitewnym, spoglądały w kierunku nadbiegającego cwałem stada.

Było to niewielkie stado, mimo to jednak dwukrotnie górowało nad nimi liczbą. Przewagę tę wyrównywały w pewnej mierze pełne brzuchy naszej siódemki.

Strażnicy mięsa ani drgnęli. Czekali bez trwogi. O sto jardów przybysze stanęli, po czym rozproszeni w tyralierę sunęli naprzód wolno, skomląc zgłodniałe, kłapiąc paszczami w żarłocznym przewidywaniu. Chętnie zgadzali się korzystać z gościnności, lecz gdyby im odmówiono, gotowi byli popełnić mord.

Siódemka nie uczyniła gestu powitania ani nie wydała dźwięku przyjaźni. W gwiazdnej poświacie tkwiła nieruchomo niby kolekcja białych rzeźb. Żaden nie rachował przeciwników. Gdyby zamiast czternastu było ich pięćdziesiąt, bronilyby mięsa równie stanowczo.

Przybysze bez trudu odczuli wrogi nastrój. Prowadził Oojoo. Jego wycie właśnie dosięgło Błyskawicy i Mistyka, on również zataczał obecnie koła znacznie węższe niż którykolwiek z czternastu i raptem skoczył w kierunku jednego z wołów. Najbliższy z siódemki wpadł nań momentalnie niby piorun i zaledwie ciała ich się spotkały, już trzynaście pozostałych runęło w bój, jak niesione wichrem kłęby białej kurzawy.

Sześciu strażników przywitało ich ciosami kłów. Pośród furii bitewnej, rozpalone obłądną nienawiścią, przestały czuć głód. Ponad zakrzepłą padliną wołów pizmowych wrzał bój na śmierć i życie. Oojoo, który doskoczył pierwszy, padł z przeciętą tętnicą, tak iż krew jego zbryzgała szklane oczy martwego Japao.

Na razie nasza siódemka dobrze odkarmiona i przez to samo mocniejsza niż znużeni głodem napastnicy dzielnie stawiała czoło. Gdyby siły były równe — jeden przeciw jednemu — wynik walki bez wątpienia wypadłby pomyślnie dla obrońców. Lecz przewaga liczebna atakujących z każdą chwilą ciężej ważyła na szali. Podczas gdy każdy zwierz zajadłe nurzał kły w ciele wroga, inne zęby darły mu mięśnie. Dwóch spośród obrońców i czterech spośród napastników skonało tak blisko obok Japao, że zwłoki ich utworzyły nad padliną wołu biały kopiec.

Zginęło już sześciu członków plemienia Oojoo, a trzech z gromady Błyskawicy, gdy bohaterska obrona zmieniła się w nieuniknioną porażkę. Pokaleczeni i broczący krwią, czterej przeciwko ośmiu, obrońcy jęli z wolna ustępować, co krok jednak tnąc i gryząc. Gdyby duch Japao mógł tu wrócić, odczułby zapewne wielki triumf pomszczonej z nawiązką krzywdy, bowiem pod jaskrawym światłem gwiazd pole bitwy ociekało posoką i trupy zasłaly je hojnie.

Właśnie w tym końcowym krwawym momencie, przed całkowitą zagładą, Błyskawica i Mistyk wpadli na skraj wąskiego pasma łąki. Z chwilą, gdy po raz pierwszy usłyszeli dalekie wycie, zwietrzyli już walkę, obecnie zaś w szalonych susach śpieszyli obaj, by zdążyć na

ostatni akt tragedii — dwa demony bratnie szybko i prosto jak pociski mknące przez wygwieżdżoną noc.

Dwanaście wilków stanowiło jedną splątana, tnącą, ryczącą masę i w samą jej gęstwę bure olbrzymy wpadły niby piorun. Jednym chwytem ogromnej paszczy Błyskawica skruszył kość pacierzową śmigłej białej bestii, która nurzała właśnie kły w sąsiednim cielsku. Mistyk, używając zębów na kształt noży, przeciął gardziel innego wilka.. Minutę wcześniej i ocaliliby życie dzielnej czwórki walczącej do ostatka. Jak się rzecz miała, dwa spośród czterech zginęły pod naporem hordy Oojoo, zaś z gardła trzeciego, mimo że bił się nadal, krew buchała jak fontanna.

Ale napastnicy również drogo okupili chwilowe zwycięstwo. Pozostało z nich jedynie pięciu, gdy Błyskawica znalazł się w zacieklej utarczce z dwoma. Nurzał właśnie kły w gardle jednego, gdy drugi skoczył mu na grzbiet. Społem szcepiona w tych śmiertelnych zapasach cała trójka przewracała i wiła się po śniegu. Mistyk rozciągnął już drugiego wroga i przy pomocy ostatniego z siódemki wiódł zażarty bój z dwoma niedobitkami ze stada Oojoo.

Błyskawica, pokąsany i na pół zduszony, po raz pierwszy w życiu uczuł, że przegrywa. Krew jego broczyła śnieg. Podczas gdy trzymał wroga za gardło, drugi wilk ciął mu boki i lędźwie, by wreszcie umocnić chwyt na samym karku.

Nie zamierzał zdławić ani przerwać tętnicy. Stosował wejtip, chwyt najbardziej niebezpieczny, gdy udany. Błyskawica uczuł przedsmak śmiertelnej agonii. Miał wrażenie, że ostrze noża przenika mu do mózgu. Okropny bezwład przymykał mu oczy i bezsilnie rozdziawiał paszczę. Wilk, którego miał pod sobą, czując, że chwyt na jego gardle słabnie, szybko podrzucił pysk ku górze i zwarł kły na dolnej szczęce Błyskawicy. Wtenczas Błyskawica wmieścił cały zasób energii w rozpaczliwą próbę wyrwania się z tych kleszczy. Tarzał się po śniegu i wykręcał olbrzymie cielsko, drapiąc, bijąc łapami powietrze, lecz szczęki jego były bezsilne, a cała moc uciekała z członków w miarę, jak coraz głębsza czerń opadała na mózg.

Oba wilki trzymały milcząc. Kły wnikały coraz głębiej w kark Błyskawicy i śmierć krążyła tuż, gdy uszu jego doleciał warczący ryk, uczuł gwałtowne wstrząśnienie i. obezwładniający ucisk u nasady mózgu — pierzchł. Powietrze ponownie wypełniło mu płuca. Oczy odzyskały zdolność widzenia. Wróciła siła szczęk, wrócił słuch. Usłyszał więc straszne triumfalne warczenie Mistyka, z jakim olbrzymi wilk leśny dogryzał wroga, którego oderwał od karku Błyskawicy.

Mystyk wzniosł się teraz ponad wszystkie wilki, jakie kiedykolwiek walczyły na białym barren. Nie czekając, aż ofiara wyzionie ducha, skoczył ponownie i zanurzył zęby broczące już krwią w brzuchu zwierza wiszącego u pyska Błyskawicy.

Gdy w parę chwil później Błyskawica chwiejnie uniósł się na nogi, całą jego kompanię stanowili Mistyk oraz ostatni z walecznej siódemki. Japao, król wołów piźmowych, był pomszczony hojnie, z obu stad bowiem ocalały tylko te trzy niedobitki.

Mystyk, stojąc tuż u boku Błyskawicy, zaskomlił cicho i na tym krwawym pobojowisku pyski ich znów się zetknęły, a tajemniczy duch, szybujący pod gwiazdami, dał pojąć obu zwierzętom istotną wartość prawdziwej przyjaźni.

ROZDZIAŁ XV

Zamieć

Huragan straszliwy i bezlitosny w swej szalonej furii leciał znad Arktycznego Morza, przewalał się poprzez najdalsze krańce ziemi, syczał ponad biegunem i kruszył brzegi Zatoki Koronacyjnej, by wreszcie wypluć resztki jadu na wielkie barren stanowiące zakończenie północnej części amerykańskiego kontynentu. Wraz z huraganem noc spowiła zakrzepłą ziemię. Noc trwająca całymi tygodniami. Brakło zupełnie słońca. Mrok rozpraszały jedynie: mdły połysk gwiazd oraz lśnienie zorzy, bowiem zmierzch Wielkiej Nocy już minął i nastąpiła najciemniejsza pora roku.

Ponad przestworem pól lodowych, opasujących brzegi ostatnich wód, przetaczał się i grzmiał wicher o szalonej mocy. Zamiatął barren z niesłychaną siłą. Porywał z ziemi tumany drobnych białych śrucinek, imitujących śnieg, i miotał je niby pociski. Życie wszelkie starało się ukryć przed jego furią. Bowiem stawić czoło zabójczej zawierusze ż jej jeszcze bardziej zabójczym mrozem, dochodzącym do pięćdziesięciu stopni poniżej zera, znaczyło niewątpliwie — zginąć.

Eskimosi kulili się wewnątrz igloo; lisy drzemały, zwinięte w kłębek pod skorupą barren; wilki nie opuszczały legowisk; woły piźmowe i karibu zbijały się dla ciepła w ciasne gromady; nawet wielkie białe sowy, jakkolwiek opancerzone warstwą puchu, szukały schronienia pośród diun i falistych wgłębień pozbawionej drzew pustyni.

Błyskawica odczuł jedynie w drobnym stopniu niemiłosierną furję zawieruchy. Po krwawej bitwie rozegranej na cyplu łąki przeleżał wiele godzin w głębi jaskini uczynionej z bloków lodu i skał chory, zbolały i od mnogich ran osłabły. Jego wielkie bure cielsko poszarpane było i pocięte kłami białej hordy wilczej. U nasady czaszki ziała głęboka rana, źródło gorączki palącej mu krew. Oczy trzymał przymknięte. Wycie i zawrodożenie wichru zmieniło się w jego mózgu w ryk i warczenie wściekłej zgrai. Podczas gdy zawierucha hulała ponad nim, rwąc się na strzepy wśród parowów, przepaści i ostrych krawędzi skalnych — przeżywał na nowo potworny bój sprzed paru godzin.

Powtórnie biegł przez barren u boku Mistyka. Społem koledzy zgłodnieli jedli chciwie mięso wielkich białych sów. Potem w większej już gromadzie szarpali gardła wołów piżmowych. Wreszcie nadlatywało obce stado i szalała straszna walka w obronie zdobyczy. W gorączkowym majaczeniu schorzały mózg odtwarzał ów bój na nowo. Głuche warczenie marło w gardzieli. Dygot wstrząsał ciałem. Prężyły się mięśnie. Natomiast uszy ogłuchły na tumult wichru, który szalał w mroku i obłąkańczo znęcał się nad światem.

Tuż obok Błyskawicy spoczywał Mistyk. Pieczara, w której znaleźli schronienie, oddalona była zaledwie o dwadzieścia kroków od niedawnego pola bitwy. Gdyby nie głęboka ciemność, Mistyk mógłby rozróżnić sztywne ciała poległych, trzy zarżnięte woły piżmowe oraz dwadzieścia sześć okropnie pokaleczonych wilków. Lecz mrok krył zimne zwłoki, a wichher utajał nawet ich woń.

Pomiędzy tymi dwoma — Błyskawicą, najpotężniejszym z wilków polarnych i Mistykiem, przybyszem z kniei południa — zadzierzgnęło się coś więcej niż zwykła zwierzęca przyjaźń. Co do Błyskawicy, grała tu zapewne rolę owa kropla psiej krwi, spuścizna po Skagenie. Czuwała przecie nieustannie, bijąc chwilami wysokim płomieniem, rodząc tęsknotę, której nie mógł pojąć, chęć powrotu do jedynej siedziby ludzkiej jaką znał — owej chaty nad lodowcową dolinką. Lecz żaden z przodków Mistyka nie był psem. Gdy w swoim czasie, w dniach głodu, rozpadła się olbrzymia biała horda, Mistyk podążył za obecnym przyjacielem dlatego wyłącznie, iż spośród wielu białych bestii on jeden był bury. Bracia Mistyka z południowych krain mieli również bure futra i Mistyk tęsknił do nich nie mniej niż Błyskawica do domostwa ludzi białych.

Tylko, że knieja Mistyka była rzeczą bliską i realną. Porzucił ją zaledwie przed miesiącem i niespełna dwieście mil nagiej pustyni dzieliło go teraz od granicznej linii boru. Obecnie, gdy po długiej głodówce miał brzuch pełen mięsa wołów piżmowych, pragnienie powrotu do zalesionych rewirów i gęsto porosłych błot męczyło go ogromnie. Gotów był iść, nawet mimo burzy. Lecz coś mówiło mu, że ta zamieć jest o wiele gorsza niż inne, podczas których polował nieraz i odbywał wędrówki,

toteż nie porzucał schronienia, nasłuchując jedynie wycia i gwizdów, odczuwając nerwami bliskość śmierci.

Niejednokrotnie usiłował zbudzić Błyskawicę z odrętwienia przypominającego sen, które jednak snem nie było. Trącał go nosem. Skomlał. Ostatecznie wstał i wyjrzał z jaskini w czarną zawieruchę nocy, zdziwiony mocno, że towarzysz nie chce wstać również. Lecz Błyskawica nie reagował na najbardziej naglące skowyty, dlatego też Mistyk sam jeden trzymał straż w ciągu długich mrocznych godzin.

Wreszcie jednak wicher wyczerpał energię w ustawicznym ryku i gonitwie. Zamilkł łoskot dalekich pól lodowych, ucichły jęki ponad barren i tylko szept łagodny mącił ciszę nocy. Błysły gwiazdy, pojedynczo na razie, potem parami i wreszcie w całych konstelacjach. Światło ich rozproszyło ciemność. Strop niebios zamigotał perłowym połyskiem. Zorza polarna uradowana zapewne, iż burza minęła, roztoczyła niebывały przepych, niby tancerka wabiąca oczy świata jaskrawą barwą sukni. Uwijając się pośród gwiazd, kołując i krążąc, bajecznie gibka i kolorowa, miotła wszędy wstążki pomarańczowe i złote, to znów płomienne jak języki ognia, rozpuszczonym włosem zamiatając niebo. A Mistyk, widząc zmianę zaszła w przyrodzie, jeszcze bardziej nerwowo zaskomlał w stronę Błyskawicy, po czym nie mogąc się go doczekać wyszedł sam z jaskini.

Błyskawica milczał nadal i trwał w bezruchu, więc Mistyk podreptał ku padlinie jednego z wołów piżmowych i począł ogryzać zakrzepłe mięso.

Wilk, jedyny z walecznej siódemki, jaki pozostał przy życiu, jadł z nim wespół. Był to ogromny zwierz biały, jak wszystkie wilki polarne. Gdy przysunął się zbyt blisko, Mistyk obnażył kły. Bardziej niż kiedykolwiek nie dowierzał białym zwierzętom. Po prostu zaczynał je nienawidzić. Toteż skończywszy posiłek wrócił do Błyskawicy, ponownie trącając go nosem, skomlać i nalegając, by wstał.

Błyskawica, wyzwalający się stopniowo X zupełnej ciemności i bezwładu, jaki go więził od szeregu godzin, zdawał sobie sprawę, iż kędyś, daleko, Mistyk go wzywa. Lecz Mistyk nie dostrzegał i nie rozumiał wysiłków Błyskawicy chcącego dać odpowiedź: lekkiego sprzężenia ciała, drgania uszu, daremnych prób uniesienia łba. Więc zniechęcony ponownie opuścił legowisko. Miał po prostu wrażenie, że dolatuje doń woń lasów rodzimych i był chwilami pewien, że widzi zieloną knieję tui za linią gwiazdnego horyzontu.

Mystyk nie umiał mierzyć odległości. Patrząc z oddalenia, jednako traktował dziesięć mil, jak mii dwieście. Wszelki instynkt zaś naglił go do porzucenia krainy wygłodzonych bestii i odszukania puszczy rodzimych, moczarów pełnych zwierza, gdzie wilk nie białym, lecz burym barkiem ociera się o wilka.

Z wolna przeciął wąskie pasmo łąki. Na przestrzeni trzechset jardów przystawał dwukrotnie i skomlał zwrócony wstecz, wzywając Błyskawicę. Znalazłszy się pośród tundry zatrzymywał się jeszcze dwa razy i wciąż czekał nadejścia druha. Wreszcie, u skraju wielkich barren, rozesłanego niby morze liczące dwieście mil od brzegu do brzegu, Mistyk kucnął na zadzie i zawył, śląc ostatnie tęskne pożegnanie. Potem, z uszami na sztorc, słuchał długo. Aż ze skowytym drżącym w głębi gardła zdecydowanie skręcił na południe.

Nie lękając się drogi liczącej dwieście mil, wiedząc jedynie, iż jego knieja leży poza tą białą tajemniczą pustką — Mistyk bury wilk leśny, wracał do domu.

ROZDZIAŁ XVI

Okręt wśród lodów

Upłynęło dobre pół dnia od chwili odejścia Mistyka, gdy z oczu Błyskawicy spadło bielmo gorączki i potomek psa, unosząc łeb, pojął znów, że żyje. Zrozumienie wszelkich przejawów zarówno zewnętrznych, jak wewnętrznych przychodziło doń jednak bardzo wolno. U podstawy czaszki trwał nadal mdlący ból; ciało zeszywniało tak dalece, jakby zmarzło na kamień. Pomału jednak odzyskiwał całkowitą przytomność i przede wszystkim wyczuł, że Mistyka nie ma.

Zaskomlił, wzywając go. Odpowiedział mu skowyt samotnego białego wilka stróżującego przy mięsie. Wtenczas obwąchał jamkę, *w której tuż u jego boku spoczywało ciało towarzysza. Wgłębienie było zupełnie zimne, opuszczone od dawna.

Po dłuższej chwili chwiejnie uniósł się na łapy. Słaby był bardzo. Potykał się i zataczał wychodząc z głębi pieczary na krwawe pobojowisko. Samotny biały wilk miotał się właśnie wściekle, uganiając się za zgrają łupieżców chcących się dostać do mięsa. Błyskawica spoglądał obojętnie na falangę., głodomorów. Widział białe sowy opadające niby duchy na ciała wołów pizmowych i porzniętych wilków, słyszał złowieszcze klapanie ich dziobów. Małe czerwonoookie gronostaje śmigwały mu spod nóg. Dostrzegał przyczajone ruchy nieuchwytnych lisów i łowił z oddalenia ich nerwowe ujadanie.

Biały wilk z mordował się już do cna w bezpłodnej utarczce z natrętną plagą. Język zwisał mu z pyska. Dyszał ciężko i pełen nadziei obserwował Błyskawicę, oczekując z jego strony pomocy i wyroku. Nie mógł w żaden sposób zrozumieć, że ścierwa trzech wołów piżmowych oraz dwudziestu sześciu wilków są w stanie wszystkich wyżywić.

Błyskawica niedawno jeszcze równie żazarcie broniłby mięsa. Obecnie ani o nie dbał. Jadło mu obmierzło. Cały świat się dla niego zmienił. Gorączka i choroba napoiły go tęsknotą i osamotnieniem głębszym niż kiedykolwiek, toteż dobrą chwilę wodził oczyma po świecie szukając Mistyka.

Potem wrócił do kryjówki i zwinął się w kłębek w swojej jamce. Nigdy dotąd dziedzictwo Skagena nie obciążało go tak dalece. Skomlił cichutko, całkiem po psiemu. W ogromnym osłabieniu koniecznie pragnął przyjaźni, lecz względem białego wilka, jedyne niedobitka dawnego stada, przestał się poczuwać do jakichkolwiek więzów koleżeństwa.

Kropla psiej krwi działała niby odtrutka w potężnym ciele dzikości wilczej. Nie drażnił go fakt, że lisy, gronostaje i białe sowy gromadzą się tłumnie do uczty nad jego mięsem. Duch Skagena skłaniał go do wyrozumiałości wobec tej gromady mizeraków. Przeszkodził im dopiero wtenczas, gdy zmożony głodem wyszedł sam się posilić. Przy okazji znalazł najświeższy trop Mistyka i śledził go aż nad krawędź tundry. Tu stanął i wciągnął powietrze. Nie wył jednak, gdyż instynkt uprzedził go o tym, co zaszło. Trop był zimny: Mistyk znikł.

Raz jeszcze wrócił do swej kryjówki. Nie oddalając się zbyt pozostął w niej pełne dwie doby. Od jaskini do skrawka łąki wydeptał równo ubitą ścieżkę. Wałęsał się też nieco po równinie i łowił wiatr w nadziei, iż mu przyniesie woń powracającego Mistyka. Rany przestały go boleć, łapy straciły przykrą sztywność. Głęboki otwór u nasady czaszki zasklepił się zupełnie.

Trzeciego dnia zerwał się wiatr i zmiotł trop Mistyka. Wtenczas Błyskawica zaprzestał wędrówek na południe. Bezwiednie, być może, kierował teraz kroki w stronę oceanu. Ilekroć był głodny, wracał na plac boju. Wspomnienie prawdziwego głodu całkowicie wywietrzało mu z pamięci. Warstwa mięśni pokryła zębra. Odzyskał dawną wspaniałą tężyznę. Nie opuściła go jedynie tęsknota, więc bez wytchnienia szukał jakiejś rzeczy potrzebnej koniecznie, choć nie znanej i nieuchwytej.

Lecz oto duch rządzący sprawami dziczy wyciągnął władcze ramię i stała się rzecz dziwna. Pewnego dnia Błyskawica powracał z bezcelowej włóczędzy, która go zawiodła dwadzieścia mil w kierunku północo--zachodnim. Dotarł właśnie do krawędzi tundry nad sam brzeg łąki kryjącej zasób mięsa, gdy raptowna zmiana wiatru osadziła go w miejscu. Wiatr bowiem niósł ze sobą dwie rzeczy: woń i dźwięk.

Woń była wonią ludzką. Dźwięk stanowiło odległe wycie psów. Błyskawicę wstrząsnął nerwowy dreszcz i krew niby ogień zapłonęła mu w żyłach. Instynktownie przeczuł niebezpieczeństwo. Serce biło w nim na alarm — serce wilcze! Sierść zjeżyła się na grzbiecie. W gardle zahuczał ponury grzmot. Gdyż zarówno dźwięk, jak i woń szły stamtąd właśnie, gdzie leżało mięso, to mięso, dzięki któremu od tygodnia porastał w tłuszcz i siły.

Ruszył ostrożnie, pod wiatr. Minął ostatnie głązy i ukryty za wzniesieniem gruntu spojrzął na równinę.

W jaskrawym świetle gwiazd nie zobaczył już samotnego białego wilka ani lisów, ani polatujących sów. Tuż obok miejsca śmierci Japao czerniał psi zaprząg i stały długie sanki. Dalej nieco widział inne sanie i nową sforę. Pośrodku postacie ludzkie zakapturzone i owinięte w futra pracowały szybko i nerwowo, a nieustanne mielenie ich języków tworzyło w powietrzu jednolity szmer. Myśliwi eskimoscy znaleźli resztki wołów piżmowych i ścierwa wilcze.

Zimy tej Wielki Głód dopiekł zarówno ludziom, jak zwierzętom. Nigdy jeszcze łowcy nie dokonali tak pomyślnego odkrycia. Na szkieletach trzech wołów pozostała co najmniej połowa mięsa, zaś z dwudziestu sześciu martwych

wilków dwanaście było nietkniętych zupełnie.

Upi, znamienity myśliwy swojej wsi, śpiewał z radości tnąc i rąbiąc zakrzepłe mięso, podczas gdy pięciu towarzyszących mu ludzi zwijało się, jak w ukropie. Odrywali od śniegu przymarzłe wilki i ładowali je na sanie. Przy pomocy siekiery, którą wczesną zimą Upi wyhandlował w zamian za własną żonę od kapitana statku wieloryb-niczego, ćwiartowano tusze wołów. Od czasu do czasu jeden Eskimos odrywał się od zajęcia, by śmignąć długim batem ponad karkami zgłodniałej i podnieconej sfory.

Warując na brzuchu, nosem pod wiatr, zatem całkowicie bezpieczny, Błyskawica patrzył na grabież swego mięsa, dla zdobycia którego poświęcił życie stada i niemal życie własne. Samotny biały wilk znikł. Sowy i lisy pierzchły. Pozostali jedynie ludzie i psy.

Praca postępowała różnie. Po upływie pół godziny nawet rozrzucone tu i ówdzie wnętrzności poszarpanych wilków znalazły się na ciężko ładownych saniach. Wreszcie ludzie-złodzieje paląc z batów pognali swe zaprzęgi. Błyskawica, leżąc na brzuchu, długi czas 'jeszcze nasłuchiwał dźwięków coraz dalszych. Gdy ścichł gwizd rzemieni, łowił jeszcze dzikie a triumfalne pokrzykiwania pełne nieokiełznanej radości.

Dopiero gdy wszystko zamarło, odważył się wyjść na otwartą przestrzeń. Biały wilk również się skądś przyplątał. Lisy nadbiegły ponownie, a wielkie sowy szybowały w górze. Lecz z mięsa zostały jedynie drobne drzazgi rozmotane ciosami siekiery. Błyskawica wyszukał je skrzętnie i spożył ostatni w tym miejscu posiłek. Gdy skończyli obaj, gdyż biały wilk posilał się także, sowy i lisy mogły liczyć jedynie na kępki futra i krwią zbrukany śnieg.

Teraz wolno i ostrożnie Błyskawica ruszył śladem sań i ludzi. Nie wzywał za sobą białego wilka, a i biały wilk nie zamierzał mu towarzyszyć. Sam nie wiedział, co go właściwie pcha. Pasja wilcza* z powodu utraty mięsa, już w nim uległa. Odbicia psich łap nie budziły żadnej nienawiści. Nie spodziewał się bynajmniej odzyskać zagrabionego łupu ani tym bardziej chciał mścić poniesioną stratę. Szlak go nęcił. Wzywał go nieodparcie. Jednak Błyskawica rozumiał niebezpieczeństwo i postępował przezornie.

Długi czas pilnował w ten sposób śladu, patrząc wprost przed siebie i wyciągając słuch. Nieraz zbliżał się o tyle, że łowił wycie sfory i krzyki ludzkie. W, ciągu wielu godzin Upi wiodł swój skarb na północo-zachód. Biorąc normalnie, słońce powinno było wstać i zająć, zanim wyprawa dotarła do rodzinnej wioski. Ze szczytu nagiego lodowego pagórka, oddalony o pół mili, Błyskawica nadśluchiwał radosnego gwaru, z jakim witano łowców. Wiatr niósł mu nie tylko wszelki hałas, ale i wszelką woń. Woń drażniła go najbardziej. Bezsprzecznie pochodziła od ludzi, jakkolwiek przypominała odór zwierzęcy. Miał jej pełne nozdrza. Nie była w niczym podobna do zapachu białego człowieka, więc starając się jej uniknąć, zatoczył półkole, minął wieś i ruszył w stronę zmarzniętego morza.

Znalazłszy się nad brzegiem podążył wprost na zachód. Wzrok jego obejmował półmilionową przestrzeń pól lodowych. Coś go tam wlekło. Przy blasku gwiazd i księżycy wielkie pola lśniły łagodną bielą, miękko odbijając srebrzystą poświatę, tak iż między morzem a niebem wisiała promienista mgła. Panowała ogromna cisza. Pazury Błyskawicy dzwoniły na lodzie niby drobne kastaniety. Biegł truchtem, lecz przystawał coraz zmieszany ustawiczną zmianą prądów powietrznych. Usiłował pilnować wiatru, ale, gdy okazało się to niemożliwe, dał wreszcie pokój i dzięki temu właśnie spotkała go dziwna przygoda.

O sześć mil od wsi Eskimosa Upi, a o milę od brzegu, wyrosło przed nim raptem jakieś widmo, którego w czas nie zwęszył. Stapiało się tak bajecznie ze srebrzystą mgłą, że znalazł się tuż, zanim je spostrzegł, toteż stanął gwałtownie zaskoczony, z krótkim kłapnięciem paszczy.

Był to statek, upiornie biały, skutny lodem, wyciągający ku niebu nagie piszczele masztów.

Błyskawica po raz pierwszy oglądał podobne dziwo. Na statku i wokół niego

panowała cisza śmiertelna. Przyczajony, cofnął się nieco, po czym łowiąc wiatr jął zataczać wielkie badawcze koło. I raptem pochwycił rzecz najważniejszą: woń!

W ślepiach Błyskawicy zapłonął dziwny ogień, gdyż była to woń chaty białych ludzi znad lodowcowej dolinki! Jednak, to co miał przed sobą, stanowczo chatą nie było. Nie przypominało w ogóle żadnej rzeczy

widzianej poprzednio. Lecz oto stał się nowy cud. Zobaczył światło. Widział na nowo gorący, złotawy połysk podobny do słońca. I, ostatecznie, ułowił także dźwięk: głos człowieka, skowyt uderzonego psa. Po chwili zresztą znów zapadła cisza. Ludzie na statku żyli podług wskazówek zegara. Dla nich była noc, więc spali wszyscy za wyjątkiem straży. Lecz strażnik, skarciwszy psa, umilkł również.

Błyskawica trzykrotnie zatoczył krąg wokół statku, za każdym razem podchodząc nieco bliżej. Potem kucnął w śniegu, wyczekał chwilę i wreszcie, wysoko zarzuciwszy łeb, posłał w niebo tęskne zapytanie. W ciszy nocnej głos jego zdawał się bić ku gwiazdom najdalszym, toteż zanim skończyła ostatnia nuta, już na statku wybuchł raptowny tumult.

Ze dwadzieścia eskimoskich malamutów pochwyciło zew. Wycie ich zbudziło śpiących. Ozwał się znów strażnik kląć i łając. W chór psich głosów wpadł donośny trzask bicza jak rewolwerowa palba.

Błyskawica wycofał się przezornie niby lis. Wszystkie te dźwięki zawierały w sobie groźbę i kazały mu zapomnieć od razu o ciekawej woni. Nie umykał zresztą na ślepo, jeno, łowiąc wiatr, odchodził z wolna kołując. Zataczając któryś z rzędu krąg natknął się raptem na świeże ślady. Pokłusował za nimi parę kroków i nagle stanął jak wryty.

Leżał w tym miejscu miękki śnieg pod osłoną lodowego wzniesienia, toteż woń była zupełnie wyraźna. Nie przeszedł tędy lis. Ani wilk. Ani pies eskimoski. A jednak, stanowczo, to właśnie był pies! Różnica pomiędzy tą wonią a wszelką inną znaną mu dotychczas podnieciła Błyskawicę niebywale. Wzruszony tajemnicą, zeszywniał po prostu. Oddychał głęboko. Przytknął nos do samych śladów i mocno wciągał powietrze. Przed sobą, w oddali, miał jakąś istotę samotną, której trop zbudził w nim raptem nowe pragnienie. Z wolna czar oplątywał go zewsząd natarczywy i władczy. Już się nie potrafił opierać. Z nagłą determinacją pokłusował śladem.

Trop wywiódł go z powrotem na stały ląd. Tu o milę od statku wyrósł przed nim raptem ponury kurhan skalny z ułożoną pośrodku granitową płytą. Na płycie widniały litery. Człowiek znający język mógłby wyczytać:

Poświęcone pamięci

JOHNA BRAINE

Instytutu Smithsonian.

Zmarł 4 stycznia 1915 roku.

I rzekł Pan: Bacz na drogę, którą stąpasz.

Haggai, rozdz. I. 5,7.

Lecz kurhan i płyta grobowa były dla Błyskawicy rzeczą zupełnie obojętną. Zwrócił na nie uwagę dlatego tylko, że tropy stworzenia, za którym dążył, krzyżowały się tu gęściej i woń leżała wyraźniej. Śnieg był miejscami prawie gładko ubity. A tu i ówdzie widniały małe wgłębienia, kędy Muszka, suka z rasy collie, legiwała pilnując mogiły zmarłego pana.

Ten pan jedynie, gdyby jeszcze umiał mówić, mógłby opowiedzieć historię niezwyklej przyjaźni. Muszkę dostał od kobiety oddalonej obecnie o tysiące mil. Nieświadoma losu drogich istot wyczekiwała ich wiernie, śląc ku niebu modły o szczęśliwy powrót.

Błyskawica zaskomlił. Zatoczył krąg wokół kurhanu, obwąchał go i wreszcie wsparł na głazach przednie łapy sięgając nosem płyty mogilnej. Niezbyt dawno Muszka uczyniła to samo. Właściwie czyniła to wielokrotnie, tak iż ślady jej pazurów widniały na śniegu, i kamieniach. Błyskawica odszukał jamkę, w której spoczywała ostatnio. Na krawędziach zostało parę żółtych włosów, a woń w porównaniu z innymi była zupełnie świeża.

Z wolna podążył tropem oddalającym się teraz od mogiły. Trop nie zwracał

w stronę statku, lecz wyraźnie biegł w głąb lądu. W odległości pół mili znalazł miejsce usiane odciskami łap, gdzie Muszka trwała czas jakiś w wielkiej niepewności. Najwidoczniej dwukrotnie zamierzała udać się z powrotem na statek, lecz za każdym razem zmieniała projekt. Ostatecznie podreptała znów przed siebie.

O trzy lub cztery mile od kurhanu kończyło się właściwe barren, przechodząc w wielkie złoża lodowców. Błyskawica, instynktownie unikający morza, a przy tym ostrożny, gotów był skrócić w głąb lądu, lecz trop Muszki wiódł w kierunku przeciwnym.

, Pilnując śladu, Błyskawica znalazł się wreszcie na samej krawędzi morza. Tutaj trop ponownie skrzył na zachód. Błyskawica przyspieszył pogoń. Łapy Muszki pozostawiały woń coraz silniejszą. Błyskawica z truchtu przeszedł w kłus. Biegając skomlał nerwowo i wyteżał wzrok pełen radosnego oczekiwania.

Wtem, zmienacka, ujrzał ją. Stała u szczytu lodowego wzniesienia, oddalona zaledwie o pięćdziesiąt stóp. Błyskawica zatrzymał się jak wryty.

Gwiazdy i księżyc zdawały się koncentrować na niej cały swój blask, tym jaskrawszy wobec lodowego podłoża. Stało bokiem szczupłe, prześliczne stworzenie o długiej złotożółtej sierści, miękkiej i świecącej niby jedwab. Łeb miała uniesiony ku górze, uszy wyciągnięte badawczo. Zwrócona pyskiem ku morzu odcinała się na białym tle niby barwna kamea.

Błyskawica skamieniał. W życiu całym nie widział nic równie pięknego. Zapach Muszki był też zupełnie inny niż zapach kundli eskimoskich lub wilków. W nozdrzach jego tworzył się nowy, subtelny aromat, choć tkwił bez ruchu jak posąg, tęsknota przemówiła w nim niskim skowytym.

Muszka szybko obróciła głowę. Błyskawica zaskomlił ponownie i począł iść ku niej, bardzo wolno jednak i nieśmiało, jakby oczekując wyraźnego zaproszenia. Suka, tkwiąc na białym postumencie, milczała jak grób. Oczy jej płonęły. Cała złota, migocąc w świetle gwiazd wspaniałą sierścią, czekała wabiąc wyraźnie, choć bez głosu.

Jeszcze dziesięć minut i Błyskawica przystanął tuż pod nią, wzruszony do szpiku kości. Kark mu się jeżył, skomlił, przypadając do ziemi, to znów unosząc się na tylnych łapach. Głowę trzymał wysoko. Mięśnie wspaniałego ciała działały jak sprężyny.

Urok jego wpłynął na śliczną sukę, toteż śledziła każdy krok przybysza wzrokiem błyszczącym. Wtem Błyskawica ułowił jej niski skowyt. Drżała w nim tęskna nuta: przychylna odpowiedź na zaloty.

Serce Błyskawicy uderzyło radośnie. Pomiedzy nim a Muszką leżało trzy do czterech metrów prostopadłej niemal ściany lodowej i w szalonym podnieceniu spróbował się na nią wydostać. Rozpaczliwie wczepiał pazury w gładką taflę i pełzył, stopa za stopą, aż się znalazł niemal u szczytu. Lecz tu pośliznął się, stracił równowagę i zleciał w dół, uderzając o ziemię z taką siłą, że aż stęknął. Oszołomiony wstał i spojrział zaraz obojętnie w bok, jakby nigdy nic. Potem poczłapał wokół wzniesienia i znalazł drogę, po której Muszka wydostała się na górę. Wejście było zupełnie łatwe. Gdy dosięgnął szczytu, Muszka czekała na niego, leżąc płasko na brzuchu, z głową pomiędzy przednimi łapami i dobre pół minuty Błyskawica tkwił ponad nią ani razu nie patrząc w dół, jeno stale kierując wzrok na morze.

Nie widział przecie nic i niczego nie szukał. W chwili tej ciałem jego wstrząsnął dreszcz triumfu. Z trudem jedynie utrzymywał powagę. Miał ochotę skakać, ujadać, wyczyniać wokoło dzikie susy — słowem, zachowywać się jak dureń.

Czas pewien dawał radę namiętnościom. Potem z wolna spojrział w dół. Spomiedzy żółtych łap błyszczące oczy Muszki śledziły go uparcie.

Nigdy nie widział podobnych oczu u wilka. Nie umykały w bok. Patrzyły spokojnie — dwa głębokie stawy wypełnione światłem miesięcznym. Zdawały się przemawiać. Błyskawica . zniżył łeb. Pyskiem musnął jedwabistą sierść na grzbiecie. Potem dotknął nosa. Muszka wydała cichy skowyt. Błyskawica w odpowiedzi zaskomlił.

Poprzez dwadzieścia pokoleń wilczych Błyskawica odnalazł sam siebie.

ROZDZIAŁ XVII

Biały niedźwiedź

Wiele godzin później i wiele mil dalej na zachód Błyskawica i Muszka dotarli do krańca pól lodowych. Szli wolno. A Błyskawica porzucił wszelką myśl o przewodnictwie. Muszka oduczyła go od tego szybko. Pełna taktu i sprytu właściwych jej płci, wzięła na siebie rolę kierowniczą. Błyskawica zaś, uradowany niesłychanie z nowego stanu rzeczy, rozumiał doskonale, że nie należy wszczynać kłótni na samym początku miodowego miesiąca.

Dążył więc wszędzie, gdziekolwiek Muszka zwróciła kroki. Zmiana ta wydawała mu się wręcz rozkoszną, jednakże instynktownie wyczuwał, iż jest niebezpieczna, Muszka bowiem równie mało znała świat podbiegunowy, jak on ulice wielkich miast. Była też wspaniale obojętna na jego zasadzki. Dobrze odżywiona, lśniąca jedwabistą sierścią, nigdy dotąd nie cierpiała głodu. Nie miała pojęcia, że by móc żyć wśród tej lodowo-śnieżnej rozpaczliwej pustki, należy każdej chwili zachować wytężoną czujność.

Na pokładzie statku zetknęła się jedynie z dwojakim niebezpieczeństwem. Pierwsze stanowiła zgraja dzikich malemutów, drugie — krążące często w pobliżu białe niedźwiedzie polarne — „panowie w białych ubraniach”. Ranny niedźwiedź o mało jej raz nie zabił i od tej pory unikała starannie stworzeń tego gatunku. Lecz wtenczas potwór przybył z morza, tu zaś kroczyła po stałym lądzie.

Kierowana fantazją, skręciła jakoś ku wejściu olbrzymiej szczeliny w zboczu lodowym, biegnącej niby parów pośród dwu wyniosłych ścian. Tym razem Błyskawica usiłował skłonić ją do powrotu. Instynkt doradzał mu unikanie podobnych pułapek. Lecz Muszka, zawahawszy się chwilę, dała mu poznać wyraźnie, że on niech sobie robi co chce, a ona pójdzie sama. Wtenczas dobrodusznie podreptał za nią.

Przecucie złego nie opuszczało go jednak ani na moment. Był podniecony i czujny.

Dno szczeliny stopniowo, lecz bez przerwy wznosiło się ku górze. Pięli się tak około dwustu lub trzystu jardów. Potem znów stanęli. Blask miesiąca wypełnił parów. Lśnił na zboczach lodowych, migotał wśród krawędzi urwisk zwieszonych wysoko ponad głowami, był tak promienisty, że sprawiał wrażenie bladej poświaty słonecznej.

Błyskawica ani dbał o piękno krajobrazu, nie zważał nań wcale.

przechodziła z wolna w pewność bliskiej katastrofy. Wietrzył coś. Gdy Muszka uczyniła ruch, jakby chcąc iść dalej, zaskomlił. W skomlaniu tym drżała nowa nuta. Suka zdziwiona stanęła. Jej piękny łeb uniósł się sztywno ku górze i od razu pojęła — że coś idzie!

Dobłą minutę trwali oboje bez ruchu i oto usłyszeli raptem — dźwięk, klekot prędko i lekko, jakby kto nerwowo uderzał po lodzie prętem metalowym. W chwilę później zaś z ostrego zakrętu wyszedł Wapusk, wielki biały niedźwiedź polarny.

Teraz dopiero Błyskawica zwiertzył go dokładnie. Była to nie tylko normalna woń niedźwiedzia. Była to woń szczególna, na zawsze pamiętny, silny, piżmowy meyamak potwora, z którym wiele dni temu wiódł bój zaciekły przed eskimoskim igloo. Muszka zaś, widząc Wapuska, poznała zwierza, który ponad wszystko inne napawał ją grozą.

Wapusk, ujrzawszy zdobycz tuż przed sobą, stanął. W dniu walki z Błyskawicą był to już zły niedźwiedź, kanibal i ludożerca; obecnie był jeszcze znacznie gorszy. Ostrze dzidy eskimoskiej ugrzęzło w jego ramieniu. Próżno starał się uwolnić od tej zadziory. Okulał więc i zdziczał do reszty.

Błyskawica usłyszał głuchy ryk w piersi wroga. Odpowiedział wściekłym warczeniem. Jednocześnie ozwało się pełne trwogi skomlenie Muszki.

Suka straciła cały swój animusz i wszelką kokieterię. Drżała jak liść. Tuliła się do Błyskawicy, czując, iż w chwili obecnej on jedynie jest panem jej i obrońcą.

Zarówno jak niegdyś przy igloo, tak i obecnie Błyskawica zrozumiał, że walka na otwartej przestrzeni jest stanowczo bezcelowa. Istniała jedna tylko alternatywa. Jedyna droga możliwej ucieczki leżała na przedzie.

Należało dążyć w górę, gdzie parów się zwiężał. Skręcił w miejscu, bez panicznego pośpiechu jednak. Pchnięciem ramienia nadał kierunek Muszce, aż ruszyła truchtem, potem zaś, słysząc za sobą kroki przyjaciela, przeszła w galop.

W tyle zadzwoniły pazury Wapuska i na ten dźwięk żółte ciało Muszki wyciągnęło się w szalonym cwale. Parów zwiężał się, dno jego stawało się bardziej chropawe i nierówne. Aż wtem niespodzianie zupełnie dobiegli do końca szczeliny.

Mieli teraz z trzech stron urwiste mury lodowe wysokie na sto stóp i zupełnie gładkie. Błyskawica szybko rzucił wzrokiem w prawo i w lewo. Nie czuł trwogi, lecz wiedział dobrze, iż stoją w obliczu śmierci. Oczywiście szukał jakiejś wyrwy, jakiejś szpary, jakiejś bryły lodu wreszcie spoza której mógłby bronić siebie i Muszki. I oto w głębi zauważył siny cień, który dodał mu otuchy. Podbiegł tuż, mając Muszkę u boku.

Cień stwarzała płaska krawędź w ścianie lodowej, dwa metry nad poziomem parowu. Było to ostatnie schronienie, ostatnia nadzieja.

Błyskawica cofnął się pędem o kilką metrów, skręcił i szalonym susem dopadł krawędzi. Była to jedyna możliwość pokazania Muszce, co ma zrobić. Stojąc w górze skomlił teraz ku niej, nalegając, by skoczyła również, nim nie będzie za późno..

Klekot pazurów Wapuska po lodzie brzmiał coraz bliżej, toteż Muszka uczyniła rozpaczliwy wysiłek. Uderzyła jednak o ścianę o pół metra od krawędzi i opadła w dół ze skowytym bólu i trwogi. Spróbowała po raz wtóry i tym razem dosięgła brzegu. Chwilę wisiała w powietrzu, pazurami uczepiona gładkiej ściany, walcząc, by się na niej utrzymać. Ześliznęła się wreszcie znów na dno parowu, a Błyskawica warknął z pasją, obnażając kły, bowiem spoza ostatniego zakrętu pojawiło się właśnie olbrzymie ciało Wapuska szybko biegnącego ku nim.

Błyskawica gotował się już do skoku. Jeszcze pół minuty i spadłby na niedźwiedzia wydając ostatni w życiu bój. Lecz przeraźliwy strach i bliskość śmierci zdwoiły siły Muszki, szybko po raz trzeci cisnęła się w powietrze. Przednimi łapami i brzuchem dosięgła krawędzi, a Błyskawica, raptownie nurzając zęby w gęstej żółtej sierści, wyciągnął ją na górę.

Stało się to w samą porę. Potworna łapa uderzyła tam właśnie, gdzie przed sekundą znajdowało się złociste ciało Muszki, po czym Wapusk stanął dęba sięgając łbem znacznie ponad krawędź. Błyskawica bez wahania, chwycił go zębami za nos. Ryk bólu i wściekłości z piersi niedźwiedzia zbudził tysięczne echa parowu.

Rozpłaszczona na brzuchu pod prostopadłą ścianą skalną, w oddaleniu trzech metrów zaledwie Muszka obserwowała obronę swego pana i władcy. W oczach jej gorzały nowe błyski. Robiły wrażenie płomiennych brylantów. Pieszczona i pielęgnowana starannie nigdy dotąd nie brała udziału w walce. Lecz w żyłach jej krążyła wspaniała krew dzielnych collie. Poza tym w chwili obecnej Błyskawica wypełnił jej sobą cały świat.

Ujrzała raptem olbrzymie białe ramiona Wapuska sięgające niby ręce ludzkie. Ujrzała, jak jedno z tych ramion uderza, jak Błyskawica wali się z nóg, a ramię go zagarnia i raptem w zupełnym milczeniu dała szalonego susa. Zęby jej ostre niby igły wpiły się aż po dziąsła w porośłą futrem łapę Wapuska. Natychmiast pazury puściły zdobycz i ryk, okropniejszy jeszcze niż poprzednio, wstrząsnął powietrzem. Muszka bowiem, bijąc na ślepo, trafiła właśnie w najbardziej czułe miejsce tego cielska o wadze tysiąca pięciuset funtów.

Skrwawiony i na wpół zduszony Błyskawica dał susa wstecz, Muszka zaś skoczyła w ślad za nim. Zęby jej lśniły teraz, mlecznobiałe, równie piękne jak ona sama. Pomknęli w głąb lodowej platformy, podczas

gdy Wapusk rycząc windował się na górę, i tu — ostatnia droga ucieczki: w białym zboczu widniała długa szczelina.

Błyskawica pchnął Muszkę przodem. Zdążyli ubiec dziesięć stop, gdy Wapusk dopadł wejścia. Szczelina zwężała się tak gwałtownie, że po upływie dalszych trzech metrów ogromne ciało niedźwiedzia ugrzęzło w niej. Ryk jego, pełen rozczarowania i wściekłości, długo wstrząsał lodowiem aż do jądra gór.

Lecz oni biegli wciąż, wyżej i wyżej, aż dotarli do wielkiej lodowej platformy u samego szczytu. Górowali teraz znacznie nad morzem i nad pustką równin. Ku zakrzepłym wodom lodowce opadały stromo, ku barren schodziły łagodnym falistym zboczem.

Wokoło świat migotał odbłaskiem księżyca i gwiazd. Błyskawica zaskomlił cicho, dziękczynnie i padłszy na brzuch wlepił oczy w biały krajobraz. Całą drogę w szczelinie zaznaczył swoją krwią. Krwawił i teraz. Muszka, drżąc, obwączała świeżą posokę. Potem podeszła tuż, Legła przy nim, ciepłe, gibkie ciało tuląc do jego boku i w gardle jej wezbrał miękki, pocziwy skowyt. Wreszcie, wysuwając gorący szkarłatny język, poczęła lizać ranę.

Błyskawica nie zwodził oczu z barren. Lecz pustka i samotność przestały go dręczyć. Świat przeobraził się dlań całkowicie.

ROZDZIAŁ XVIII

Śmierć Wapuska

Najpotężniejsze ze wszystkich sił przyrody, mocniejsze niż powódź i burza, rzeźbiarze kontynentów — to Wuchi Miskwame — lodowce. Dokonały już swego dzieła. W ciągu minionych tysiącleci pełzały po obliczu ziemi wolno, nieubłagane, nie dając się powstrzymać lub zawrócić, podobne obiegowi ciał niebieskich. Tworzyły drogi i ścieżki dla, stóp ludzkich. Ryły łożyska jezior i rzek. Formowały i przerabiały glebę, wyznaczyły raz na zawsze koryta wód. Obecnie, zakończywszy pracę, sisikoot upinao — giną!

Na krawędzi polarnego oceanu, całe jego zadanie polegające już tylko na dostarczeniu co lata milionów ton gór lodowych, leży Ussiooi.

Lodowe Dłuto. Jak daleko sięga pamięć najstarszych Eskimosów, ten wielki, samotny lodowiec zwał się zawsze Ussiooi. Nigdy nie miał innego imienia. Kto wie zresztą, jak wyglądał niegdyś. Obecnie jest to duża, płaska, wolno pełznąca bryła lodu, wydająca niechętnie na łup oceanu swe ostatnie tajemnice — dwukrotnie w ciągu trzech lat potworne szkielety mastodontów.

Oblicze Ussiooi, zwrócone w stronę oceanu, jest pełne szczerb i szczelin, poryte szeregiem jarów i rzędem wielkich jaskiń. Latem przyplływ grzmiał wśród nich piorunowym głosem, zaś bryły lodu i góry całe oderwane od macierzy wpadały w wodę z łoskotem strzałów armatnich i prąd unosił je w świat.

Lecz dalej w głąb ładu oraz u sarniego wierzchołka Ussiooi był gładki niby stół.

Nocy dzisiejszej płaski szczyt lodowca migotał w blasku księżyca i gwiazd. Zorza zgasała. Tuż nad! głową wisiało perłowe jądro niebios — odbicie rozległych pól lodowych. Temperatura się podniosła i było zaledwie dwadzieścia

stopni poniżej zera.

Błyskawica tkwił na lodowej platformie, a tuż koło niego, lśniąc piękną złocistą sierścią, tkwiła Muszka, suka collie. Rany Błyskawicy przestały krwawić; bólu już nie czuł, cały przejęty rozkoszą wielkiej przyjaźni. Po dwudziestu latach niewoli wilczej kropla psiej krwi wygrała. Zbudził się do nowego życia. Krew w nim płonęła, oczy lśniły jak gwiazdy. Muszka zaś, mało co prawda rozumiejąc z tego co zaszło, wiedząc jednak, że wśród zamarzłej pustyni znalazła towarzysza i opiekuna, łagodnie zaskomliła ku niemu.

W odpowiedzi Błyskawica pieszczotliwie tknął nosem gęstwę złotych włosów na jej karku. Potem znów skierował wzrok ponad sine zręby Ussiooi, konającego lodowca.

Morze kryła nieskończona biel pól lodowych. Ziemia ginęła pod monotonną gładzią barren, przechodząc w oddali w chaos dzikich tundr. Od dnia swych narodzin, to jest od trzech lat niemal, Błyskawica znał jedynie ten właśnie świat. Żył tutaj, walczył, nabierał wspaniałej mocy, lecz prześladowały go stale widmowe obrazy innego istnienia, istnienia, którego nie widział na oczy i nie mógł nawet pojąć. Była to spuścizna po Skagenie, psie białego człowieka sprzed laty dwudziestu.

Zwierzę, nocy tej stojące u boku Błyskawicy na szczycie Ussiooi, było także psem białego człowieka, a raczej białej kobiety. Szczupła, rześka, piękna urodą krwi szlachetnej Muszka uosabiała idealnie dziwne sny i tęskne pragnienia, które wyróżniały Błyskawicę spośród gromady jego współplemieńców. Jej wspomnienia żyły jeszcze jaskrawe i wyraźne. Pewna była, iż nie dalej jak wczoraj pieściły ją miękkie białe dłonie kobiece o tysiąc mil na południe. Z twarzy tej kobiety były duma i smutek, tęsknota i miłość w dniu, gdy biały pan zabrał ze sobą Muszkę na wielki statek. Jechali potem na północ, wciąż na północ, ona i pan -- ku ziemi pustej i zmarzniętej. A teraz o parę mil w górę wybrzeża pan leżał martwy pod kopcem z głazów, gdy kobieta, pani uwielbiana, oddalona o mil tysiące, nie wiedząca o niczym, czekała pokładając ufność w Bogu.

Muszka wspominała tę kobietę niby wielkie życiowe pragnienie. Wiedziała dobrze, że pani, choć daleko, ale jest. Co do pana, wiedziała również niezachwianie, że umarł, że nie wstanie nigdy spod przywalających go głazów, że nigdy już nie usłyszy jego głosu. Kurhan przygniótł i zdusił jej radość. Legiwała przy nim wielokrotnie strapiona i samotna. Coraz częściej wymykała się ze statku. Aż dłoń dobrego ducha, rządząca losami zwierząt, powiodła ją w górę morskiego wybrzeża, wbrew wszystkiemu pełną ufności, każąc iść i szukać. Błyskawica pchany innym pragnieniem odnalazł jej ciepły ślad.. I tak się spotkali. Wspólnie walczyli z Wapuskiem, niedźwiedziem polarnym, a teraz tkwili obok siebie u szczytu Ussiooi pełni gorącej radości.

Mimo wszystko jednak Muszka czuła silny lęk. Bitwa z Wapuskiem miała miejsce przed dwoma godzinami zaledwie i jedynie wąska szczelina w łonie lodowca wywiodła ich z ciężkiej opresji. Stojąc wsparta o towarzysza, Muszka dygotała ze strachu. Jej łagodny skowyt zdradzał obawę i niepewność.

Błyskawica przeciwnie czuł się tak bojowo usposobiony, jak nigdy. To był jego świat. Rozumiał go i znał. Wiedział, że żyć w nim, znaczyło, walczyć. Walczył przecież stale, od dnia narodzin niemal i wielokrotnie — zabijał. Obecnie pragnął się z kimś zmierzyć. Pragnienie to rozplómiętało mu krew. Przypominał młodego galanta, idącego w towarzystwie ładnej a nieśmiałej dziewczyny poprzez gburowaty tłum. Chciał się czymś poszczycić, wykazać swą tężyźnię. W środowisku zaś w którym żył, najlepszym po temu sposobem było potarmosić kogoś lub zabić. Obrona przed napaścią Wapuska nie zadowoliła go bynajmniej. Toteż uskoczył raptem o parę jardów od Muszki, niosąc łeb sztywno i wysoko, jeżąc grzbiet niby szczotkę w wyzywającym i sprężystym pląsie.

— Przypatrz mi się dobrze, Muszko! — zdawał się mówić. — Nie boję się nikogo i niczego, nawet Wapuska! Mogę dać naukę każdemu wilkowi! Mogę każdego wilka w biegu prześcignąć! Jeśli chcesz, wrócę i samego Wapuska

wytargam za kudły!

Muszka nie spuszczała z niego oczu. Olśniła ją dzika uroda i tężyzna wspaniałej bestii. Raptem z krótkim szczeknięciem skoczyła ku niemu i zamarła u jego boku. Społem wlepili znów źrenice w rozległy krajobraz, nie widząc jednakże nic.

Krew wrzała tak ogniście w żyłach Błyskawicy, iż miał wrażenie, że żyły nie wytrzymają naporu i pękną. Pragnął gorąco, nade wszystko, by coś się stało, by mógł wykazać swoją dzielność. Nerwowo pobiegł wstecz, ku ujściu szczeliny, dzięki której trafili na szczyt Ussiooi, i warknął obnażając kły. W chwili tej powitałby radośnie nawet uka. Tylko że Wapusk był obecnie zajęty gdzie indziej.

Do uszu Błyskawicy i Muszki dobiegł raptem zmieszany gwar płynący z dołu: wycie psów, krzyki ludzkie, straszliwy ryk niedźwiedzia. Błyskawica trwał chwilę bez ruchu nasłuchując pilnie. Potem stulił uszy i pokłusował tam, skąd płynął gwar, skomleniem każąc Muszce iść za sobą.

Przebyli już dwieście czy trzysta jardów, gdy lodowiec począł wyraźnie opadać ku morzu. Tu Błyskawica zwolnił i sunąc bardzo ostrożnie znalazł się wreszcie na krawędzi przepaści głębokiej na pięćdziesiąt stóp. Muszka przyłgnęła do towarzysza i społem spojrzeli w dół.

Z oświetlonej gwiazdami i księżycem głębi wąwozu bił okropny hałas. Widzieli wyraźnie postacie walczących: olbrzymi, biały kształt Wapuska, tuzin psów i bajecznie ruchliwe cienie łowców eskimoskich.

Najzupełniej instynktownie, zapominając, iż przed chwilą jeszcze pragnął przecie wykazać swą dzielność Błyskawica przywarował na brzuchu. Muszka natomiast tkwiła wyprostowana, zaznaczona wyraźnie na tle horyzontu. Widok, jaki miała przed sobą, sparaliżował ją po prostu.

Ludzi było trzech. Nawoływali i wrzeszczeli bez przerwy, poprzez gęstwę atakujących malamutów usiłując osiągnąć zwierza przy pomocy długich dzid, których ostrza lśniły niby srebrne strzały. Wapusk, mając za sobą mur lodowy, stawiał rozpaczliwy opór. Odrzucił już jednego psa z brzuchem rozdartym na całą długość. Drugiego malamuta trzymał pod sobą — zdruzgotaną, krwawiącą masę, a właśnie gdy Błyskawica i Muszka patrzyli, trzeci pies został porwany w ogromne łapy niby dziecko w ramiona olbrzyma i na jego śmiertelne wycie krew zakrzepła w żyłach suki.

W tejsz chwili jeden z okutanych w futra i zakapturzonych łowców przyskoczył, a dzida jego błysnęła i zgasła wnet, gdy ostrze pogrążyło się głęboko w piersi Wapuska. Niedźwiedź z rykiem miotnął się na wroga, który mu cios zadał i tym samym odsłonił się niebacznie. Nowy myśliwy doskoczył bez zwłoki, uderzając dzidą w szerokie barki zwierza, między łopatki.

Była to straszna rana i niedźwiedź na chwilę przykucnął. W tymże mgnieniu dziewięć pozostałych psów obsiadało go zewsząd, zaś trzeci łowca, z tak bliska, że mógł użyć obu rąk, wbił dzidę do połowy.

Lecz stary Wapusk powstał raz jeszcze i runął między psy. Nie ryczał już. Gardło miał pełne chrapliwych bełkotów. Morderca od zarania życia, włóczęga na morzu i lądzie, pożeracz zwierząt, a nawet ludzi, płacił wreszcie krwawą daninę. Eskimosi podbiegli znowu zbrojni w świeże dzidy. Wapusk opędał się psom słabo i na oślep. Wreszcie w jakiejś chwili nie zdołał już odgórnie sfory. Zachwiał się, padł i potoczył na bok. Dźwięki w jego krtani zamarły. Eskimosi, używając rękojeści dzid niby batów, odpędzili pokrwawione i pokiereszowane malamuty. Wapusk nie żył.

ROZDZIAŁ XIX

We dwoje

Podczas tej epickiej walki Musika zdawała się ledwo oddychać. W mózgu jej wizje i wspomnienia innego świata ginęły bez śladu pod naciskiem tragicznej rzeczywistości. Nawet na statku ochraniało ją i pieoszono. Obecnie zaś miała przed oczyma nagi wizerunek śmierci, a nozdrza pełne woni krwi dymiącej i szkarłatnej.

Odór krwi tęzał szybko. Przy pomocy nocy trzech łowcy jęli oprawiać Wapuska, zanim jeszcze ciało ostygło. Zdjęli z niego skórę. Potem dzielili mięso, składając je na kupę i od czasu do czasu ciskając zgłodniałym psom kość lub ochłap.

W pewnej chwili jeden z ludzi, unosząc głowę dostrzegł na tle nieba sylwetkę Muszki. Psy, podniecone bitwą, nie zauważyły jej. Myśliwiec zaprzestał pracy. Potem wyprostował się, odrzucił ramię wstecz, miotnął nim ku przodowi i lśniący, do assegaii podobny dziryt z gwizdem przeciął powietrze. Stalowe ostrze uderzyło o lód o dwanaście cali mniej więcej poniżej przednich łap Muszki. Dwanaście cali wyżej i pocisk by ją trafił.

Brzęk żelaza zbudził w suce poczucie niebezpieczeństwa i co rychłej skoczyła wstecz. Błyskawica przyłączył się do niej momentalnie i kłusem odprowadził w głąb lodowej platformy.

Dla Błyskawicy widok, którego byli świadkami, nie stanowił żadnej tragedii. Było to po prostu zwykłe zabójstwo - najbardziej powszechne ze zdarzeń na tym świecie. Toteż nie rozumiał uczuć miotających Muszkę; sam ani się bał, ani gorszył. Był najwyżej zawiedziony. Oto miała miejsce walka — rzecz, której tak pragnął — i nie mógł w niej wziąć udziału. Z tego punktu widzenia jedynie ubolewał nad śmiercią Wapuska.

W miarę jak morski brzeg Ussiooi pozostawał w tyle, Błyskawica coraz goręcej pragnął dowieść swej pięknej towarzysze, do jak wspinających czynów jest zdolny. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy w życiu gwałtownie chciał się czymś poszczycić. Zarówno jak wino pobudza działanie umysłu, tak szczęście czasem podnieca zarozumiałość, stąd Błyskawica nerwowo wyglądał właściwej okazji.

W tej myśli wiódł Muszkę ku zwróconym w stronę ładu stokom Ussiooi. Góra lodowa zbiegała tu ku równi barren jako długa, gładka

pochyłość, mierząca zapewne trzysta do czterystu stóp od szczytu do podnóża. Normalnie Błyskawica zachowałby najdalej idącą ostrożność. Lecz nocy dzisiejszej traktował z głęboką wzdargą wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Tanecznym krokiem poskoczył na zdradliwą krawędź, jak gdyby przekonany, że nawet Ussiooi nie ośmieli się wobec niego na żaden kawał.

W oczach Muszki lśniący stok wyglądał zupełnie niewinnie. Nie odczuwała przed nim cienia trwogi. W świetle księżyca i gwiazd robił wrażenie zwykłej drogi bezpiecznie wiodącej w dół.

Lecz wtem stało się, co się miało stać. Przednie łapy Błyskawicy pośliznęły się gwałtownie. Cały przód ciała poszedł za tym ruchem. Sekundę lub dwie Błyskawica wisiał jeszcze rozpaczliwie uczepony krawędzi pazurami tylnych łap. Potem cal za cal, pod zdumionym i nic nie rozumiejącym wejrzaniem Muszki, rozpoczął swą haniebną podróż w dół.

Okolo dwunastu jardów mniej więcej sunął gładko niby sanie, potem duża gruda lodu obróciła go bokiem, stracił kompletnie równowagę i od tej chwili słabo już rozumiał, co się z nim dzieje. Ostatnią rzeczą, jaką widział, była Muszka, stojąca w górze bez ruchu i wpatrzona weń uparcie. Na przestrzeni dobrych trzystu stóp toczył się podskakując i wiercąc, coraz to nabierając silniejszego pędu. Jak strzała przelatował rozpadliny lodowe. Zaparło mu dech. Czasem jechał na grzbiecie, czasem na nosie, to znów koziółkował w powietrzu.

Gdy wreszcie dotarł do podnóża, był niby nieforemny wór. Wstał chwiejnie. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że mu się żołądek przewraca. Lecz wzrok zachował normalny, to zaś co w następnym mgnieniu ujrzał, wróciło mu od razu zdolność ruchu jakkolwiek mniej chyżą niż zazwyczaj.

Lecąc w dół Ussiooi wylądował pośród gromady białych zajęcy. Jego nagłe pojawienie sparaliżowało i oszołomiło zwierzęta. Być może, zresztą wzięły go na razie za wielki kawał lodu. Zanim pojęły, iż jest to żywy twór, Błyskawica już jednego ścisnął w zębach. Zabił, potem rozpląszczył się na brzuchu trzymając zdobycz pośród przednich łap i ział ciężko.

Złowił zająca instynktownie. Zdawało się *po* prostu, iż ciało jego, zaprawione do pewnych ruchów, wykonało tę czynność w sposób mechaniczny. Teraz jednak, w miarę jak mu jaśniało w mózgu, obecność zwłok zajęczych nabierała właściwego znaczenia.

Pojął sprytnie, że można przecie złożyć zdobycz u stóp Muszki jako przeprosiny za tak nagłe i pozbawione godności opuszczenie jej. Postradał co prawda wszelką dumę i zarozumiałość jego poniosła znaczny szwank, lecz stając po chwili na łapach coraz pewniejszych, z wielkim białym zajęcem w pysku, nabrał znów rezonu.

Wróci teraz do Muszki. Da jej pojąć, że z tego względu właśnie zjechał w dół Ussiooi. Pokłusował bliżej do stóp lodowego skłonu i tu raptownie przystanął. Plan jego runął w gruzy. Ze szczytu lodowca dobiegł właśnie skrzyp, chrzęst i rozpaczliwy skowyt.

Zając wypadł mu z pyska. Tkwił nieruchomo niby bryła lodu. Słuch powiadomił go o wszystkim, zanim zobaczył cokolwiek. Przerażony skowyt rozbrzmiewał coraz głośniejsze; ciało głucho obijało się o nierówności drogi; pierwszą rozpadlinę obwieściło rozpaczliwe wycie. Potem ujrzał ją. Toczyła się zawrotnie niby wielka żółta piłka futbolowa, a gdy dosięgłszy dna minęła go ze świstem, Błyskawica podjął z ziemi zającą i podreptał za nią. Muszka porwała się właśnie na nogi, a teraz wirowała w miejscu jak szalona.

Błyskawica okrążył ją w podskokach.

— Patrzaj no, Muszko! — zdawał się mówić. — Właśnie po tego zającą zszedłem na dół! Schwytałem go dla ciebie!

Gdy zaś Muszka znieruchomiała, wlepiając w niego oczy, poskoczył bliżej, W ciągu następnej pół minuty doznał jednego z najgwałtowniejszych w życiu wstrząsów. Bez zastanowienia, z pasją właściwą swojej płci, Muszka wpadła na niego jak burza.

Podczas tych trzydziestu sekund Błyskawica miał wrażenie, iż jest rozdierany na strzępy, że go krają żywcem. Jednakże nie poniósł istotnego szwanku. Wydarto mu co prawda nieco kudłów, ale pasja Muszki wyładowywała się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach w gwałtownym ujadaniu, zatem jeden procent tylko pozostawał na akcję. Toteż gdy burza ucichła, Błyskawica, wciąż pod wrażeniem straszliwej przeprawy, dziwował się wielce, iż tak mało czuje bólu.

Sam nie ugryzł ani razu. Zdumiony i bezradny nie wypuścił nawet zającą z pyska. Po upływie pół minuty Muszka zdała sobie raptem z tego sprawę. Cofnęła się i spojrzała na niego bacznie. Błyskawica, z bielakiem w zębach, obserwował ją cierpliwie. Złośliwy warkot w gardle Muszki złagodniał. Odwróciła głowę, potem znów popatrzyła na niego. Błyskawica wykręcił się uprzejmię całym ciałem. Muszka raczyła leciutko machnąć pięknym ogonem. Aż wtem niespodzianie podbiegła bliżej i złożyła śliczny pysk na jego karku.

Błyskawica zaskomlił radośnie i upuścił zdobycz do jej nóg. Po czym niepomi na niedawną przeprawę ucztowali spodem w całkowitej zgodzie.

ROZDZIAŁ XX

Rozpacz

Podczas tych cudnych pierwszych godzin współżycia w wędrówkach Muszki i Błyskawicy brak było wszelkiej celowości. Dopiero gdy znużenie poczęło się jej dawać we znaki, Muszka powzięła określony plan.

Błyskawica zawiódł ją daleko w głąb barren, nad sam brzeg prawie wielkiej pustyni. Szeroka, swobodna przestrzeń napawała ją radosnym dreszczem, ilekroć zaś stanęła, by powieść wzrokiem wkoło i wyteńczyć słuch, nigdy nie kierowała pyską ku morzu, lecz zawsze na południe, w stronę lasów, słońca, ciepła, światła i — domu. Lecz wyczerpanie zwróciło jej myśl w innym kierunku; na nowo zbudzony instynkt nęcił bliskością znajomej mogiły i — statku.

Zaledwie zawróciła ku nim, już Błyskawica pojął, co mu grozi. Wiedział doskonale, że kurhan i okręt są nierozdzielnie złączone z istnieniem i obecnością Muszki. Miał o to do nich pretensję. Bystry instynkt uprzedzał go, że z ich strony grozi mu niebezpieczeństwo większe bodaj niż ze strony Wapuska. Lecz nie ten strach go wstrzymywał, jeno podświadoma obawa, że straci Muszkę, jeśli da jej wrócić na statek.

Muszka natomiast traktowała całą sprawę z odmiennego punktu widzenia. Na statku istniało dużo rzeczy znieawidzonych przez nią zawsze, a wręcz wstrętnych od chwili, gdy pan jej znikł. Szczególnie nie cierpiała dzikiej sfory małemućków. Lecz od wielu, miesięcy statek był jej domem. Miała tam pod dostatkiem jada, ciepły kąć i wygodne leże umożliwiające długie godziny snu. Nie widziała też powodów, dla których Błyskawica nie miałby powrócić wraz z nią do tych dobroci.

Nie zamierzała bynajmniej go opuszczać, dlatego przy sposobności rozwinęła czysto kobiece metody perswazji. Nieraz gdy Błyskawica pozostawał w tyle, skomliła i piszczala tak długo, aż znowu ruszył z miejsca. Dziarsko szła naprzód sama jedna, jak gdyby o niego nie dbając, po czym Błyskawica przerażony, że ją straci, doganiał ją niezwłocznie.

W ten sposób dotarli wreszcie do kamiennego kurhanu, ponad którym płyta grobowa nosiła wymowny napis.

Poświęcone pamięci

JOHNA BRAINE

z Instytutu Smithsonian.

Zmarł 4 stycznia 1915 roku

I rzekł Pan: Bacz na drogę, którą stąpasz.

Haggai, rozdział 1.5,7.

Tu, w jednej z jamek wyżłobionych już jej ciałem. Muszka zwinęła się w kłębek. W jej gardle wzbierała niska, żalobna nuta. Poprzednio niejednokrotnie (błagała pana, by zechciał wstać i wyjść spod tego zwału głazów, aż wreszcie pojęła wszystko. Śmierć była dla niej rzeczą tajemniczą i nieuchwytną. Potrzebowała też dłuższego czasu, by jej znaczenie zrozumieć. Teraz — rozumiała. Wiedziała doskonale, że pan nie wstanie, nie odpowie na jej zew, że głazy nigdy go nie puszczą, a przekonanie to syciło jej skowyt żalobą beznadziejną.

Możliwe, iż między zwierzętami nie istnieje wyraźna mowa, posiadają jednak stanowczo sposób porozumienia się ze sobą, toteż Błyskawica zaczynał pojmować znaczenie owego stosu kamieni spiętrzonych na płaszczyźnie barren. Budził się w nim cudowny instynkt i czuł już obecność niewidzianego nigdy trupa.

Legł obok Muszki. Miał wrażenie, że suka nasłuchuje pilnie, jak gdyby w oczekiwaniu, że z wnętrza grobowca zabrzmie głos, więc sama również słuch wytężył. Dobrych parę minut czatowali społem. Potem Muszką opuściła swoją jamkę i truchtem pobiegła ku morzu. Błyskawica towarzyszył jej po lodową powłokę i tu stanął. Lecz Muszka umiejętnie wabiła go dalej i jakkolwiek opornie, podążył za nią znowu.

Nie był to już dawny Błyskawica. Znikła dumna i wyzywająca osada łba, członki straciły bajeczną sprężystość, ruchom brakło poprzedniej werwy. Muszka wracała do siebie, na statek, a on o tym wiedział! Opuszczała go. Fakt ten, jakkolwiek nie będący wytworem rozumu, przygniatał go okropnie i absolutnie nie był zdolny tego przygnębienia zwalczyć.

Wreszcie stanął. Dolatywała już doń woń statku, słyszał głosy ludzkie, a psi odór wiercił mu nozdrza. W ostatnim wysiłku próbował powiedzieć Muszce, iż jest. to linia graniczna, pozą którą nie wolno mu stąpić. Lecz Muszka jakby nie rozumiała. Używała swoistej perswazji. Trzykrotnie wybiegała naprzód i wracała po trzykroć na miejsce, gdzie Błyskawica leżał w śniegu niby posąg kamienny, wtuliwszy wyciągnięty nos między przednie łapy. Ostatecznie porzuciła go po raz czwarty na dobre.

Więc Błyskawica czekał, czekał póty, aż nieruchome ciało zeszywniało mu od mrozu, a ostatnia iskierka nadziei — zgasła. Wstał potem i z wolna skręcił ku lądowi. Miał przed sobą ponownie swój dawny, ponury świat. Pierzchł urok i radosny dreszcz nocy. Raz jeszcze żył w mrocznym chaosie i w pustce, w olbrzymiej, bezbrzeżnej przestrzeni wypełnionej obłądną samotnością.

Nigdy jeszcze samotność nie ciążyła mu tak dalece jak w tej godzinie właśnie; czuł ją po prostu na karku niby fizyczne brzemie. Gniotła go, odbierając wszelką nadzieję i ufność. Indianie Cree, mądrzy wiekowym doświadczeniem, twierdzą, że Bóg miał rację nie dając zwierzętom rozumu, w przeciwnym razie bowiem wygryzłyby ludzi z ziemi. W chwili obecnej Błyskawicy również brakło daru rozumowania. W jego umyśle istniał jedynie dzień dzisiejszy, nigdy zaś jutrzejszy lub jeszcze dalszy. Otóż terażniejszość przedstawiała mu się rozpaczliwie czarno i beznadziejnie.

Wrócił do kurhanu i legł w jamce ogrzewanej ostatnio złowistym ciałem Muszki. Był znużony mocno, jednak w towarzystwie Muszki znużenie nie dawało mu się we znaki. Zanim się natknął na statek i jej ślad wędrował już bez wypoczynku od wielu godzin, a gdy ją spotkał odwalił znowu kawał drogi. Wspaniałe jego mięśnie przeszło dobę potraciły się obyć bez snu.

Z wolna poczęła go ogarniać letargiczna senność kompletnego wyczerpania. Zwalczał ją. Nie chciał usnąć. Zamierzał czuwać bacznie, by nie przeoczyć Muszki, jeśli doń wróci po lodzie. Toteż z dziesięć razy przecknął gwałtownie z głuchej drzemki, zanim go na dobre pochłoniął

nerwowy sen.

Był to sen pełen przykrych i coraz to nowych marzeń. Ponownie stał na czele wielkiej białej hordy wilków i wiódł je cwałem na rzeź renów Olee Johna, tkwił potem na krawędzi lodowcowej dolinki opodal chaty białych ludzi, to znów gnał z wiatrem w zawody pod lśnieniem gwiazd i księżyca lub w nagle rozpętanym chaosie czarnej zawieruchy.

Mijały go fragmenty przeżyć, ułamki zdarzeń. Widział je i czuł. Gdyby John Bramę zbudził się do życia pod skalnym kurhanem, usłyszałby żalostny skowyt świadczący o samotności tak głębokiej, tak bolesnej, jakiej on sam nie zaznał nigdy. We śnie bowiem opuściła Błyskawicę podnieta wszelkich pragnień. Ponura, niewymownie ciężka rozpacz spowijała go zewsząd.

Spał kilka godzin. Gdy przebudził się, głęboki mrok pokrywał jednak białą ziemię i zastygłe morze. Gwiazdy znikły. Zorza polarna zgasła. Perłowe serce niebios szerniało na węgiel. Wokół kurhanu polatywał lekki wiatr łkając i zawodząc, jakby dusza kobiety odprawiała modlitwy nad zmarłym.

Błyskawica wstał. Uczuł naraz niezmiernie wyraźnie obecność trupa.
Nie odpychała go jednak.

Przeciwnie, wlekła bliżej do stosu głazów. Pod nimi leżała rzecz ciasno
związana z Muszką.

Zaskomlił pod jej adresem. Potem znieruchomiał, ramieniem dotykając grobowca, wyteżając słuch, płonące oczy wlepiwszy w ciemność, podczas gdy serce kołatało mu gwałtownie krew szybciej krążyła w żyłach.

Dłoń pana zimna i milcząca wysunęła się spomiędzy czarnych głazów i dotknęła go. Dwadzieścia pokoleń wilczych utonęło w niepamięci i Błyskawica, przez chwilę, był tylko psem białego człowieka. Z tą dłonią na karku, zapominając o wszystkim innym wobec jej możnego czaru, kucnął teraz na zadzie i posłał ku niebu długą, gardłową, nieznaną mu dotychczas nutę. Wył tak dwukrotnie, zanim wstając porzucił mogiłę i odszedł w mrok.

Raz jeszcze począł zataczać koła kierując się ku statkowi. Na otwartym lodzie wichur nisko polatujący nad polami szarpał go dojmująco. Był to wiatr „toczący śniegi”. Porywał z ziemi gęste -tumany drobnych śrucinek i miotał nimi w oczy, w nozdrza, tamując jednak wzrok i słuch. W taką pogodę, wobec kapryśnych spiętrzeń diun i zmian terenu, tropienie i łowy były stanowczo na nic. Lecz nocy dzisiejszej Błyskawica mógł poczytać ów wiatr za sprzymierzeńca. Instynkt go upewniał, że może bezpiecznie podejść pod sam statek. Wynika bowiem ze zwierzęcego instynktu, że niebezpieczeństwo grozi o tyle, o ile można je dojrzeć wzrokiem, wyczuć węchem lub ułoić słuchem. Otóż Błyskawica znalazł się o dwadzieścia stóp od unieruchomionego w lodach potwora, zanim ułoił w mroku jego głębszy cień.

Z wolna, przystając co krok, by węszyć i nadśłuchiwać, począł się skradać wokół statku i po drugiej jego stronie trafił na lodowy pomost, łączący pokład wielorybnika z powierzchnią morza. Chadzała po nim w dół i w górę cała załoga statku oraz wszystkie należące doń zwierzęta, po jego twardo ubitej gładzi włączono mięso i skóry ubitych fok i niedźwiedzi. Najgwałtowniejsza nawet zamieć nie mogła stłumić wszystkich woni.

Błyskawica pomału pił te zapachy. W jego dzikiej jaźni wrzała walka pomiędzy psem i wilkiem. Doznawał dziwnych uczuć. Miał ochotę tam wejść. Pragnął podążyć śladami Muszki. Pragnął się wdrapać na szczyt szlaku stworzonego ręką ludzką. Niegdyś, wlekło to tak właśnie, by zajrzeć w okno chaty na krawędzi lodowcowej dolinki.

Lecz wtem, gdy zamierzał dać znowu krok naprzód, wiatr opadł z sennym westchnieniem, chmury nad głową pierzchły i błysnął niczym nie

tłumiony księżyc w pełnię, zlewając morze jaskrawym światłem tak gwałtownie, jakby kto rozpałił raptem olbrzymią żagiew. Przed i nad sobą Błyskawica dostrzegł teraz to, co mu dotychczas skrywała zamieć: wielki, ciemny kadłub, widmowe zarysy białe osędziałych rej i masztów oraz sploty lin, a jednocześnie — tak blisko, że aż zastygli w zdumieniu obaj — żywy kształt ludzki.

ROZDZIAŁ XXI

Airedale i malamuty

Był to człowiek. Stał zaledwie o dwa dobre susy wilcze, spoglądając w dół ze szczytu pomostu, biały na twarzy w świetle miesięcznym, szeroko rozwierając oczy Bronsona, dozorcę psów na statku, przewano białym Eskimosem, gdyż przemieszkał czterdzieści lat w krajach arktycznych. Nawet w tak krótkim mgnieniu doświadczony jego wzrok rozpoznał w Błyskawicy — wilka. Otóż po raz pierwszy widział na lodowym polu pod biegunem wilka o maści innej niż biała.

Bronson, z urodzenia i fachu miał w sobie instynkt podwójny: uczonego i myśliwca. Cofnął się teraz szybko, unikając jednak ruchów gwałtownych. Potem skoczył co tchu do bud ulepionych ze śniegu i lodu na rufie statku, kędy na mocnych łańcuchach spała bitna sfera zaprawiona na łowy niedźwiedzie.

Błyskawica, lekko i niespiesznie pomykając po lodzie, usłyszał słaby szczęk zmarzniętej stali. Dźwięk i woń dolatywały doń teraz z jednakową wyrazistością. Wietrzył obecność zarówno psów, jak i ludzi. Łowił miękki tupot sfery zmieszany z brzękiem łańcuchów. Mimo to nie uciekał. Nie bał się ani wilków, ani psów, natomiast zbudziła się w nim raptem gwałtowna mściwa nienawiść.

Od urodzenia głęboko zapadło mu w jaźń prawo stada: mieć i dzierżyć. Poważał cudzą własność i nie myślał odstępować swojej; Otóż w woni sfery czytał powód dezercji Muszki. Jego wielka samotność i tęsknota sprzed panu minut znikły, zatopione falą wściekłej pasji. Ponuro kłusując oddalił się od statku o paręset jardów. Potem wilczą modą obrócił się bokiem do prześladowców i czekał.

Wiedział, że nadbiegają. Łowił kolejny szczęk pazurów na obmarzłej barierze, gdy przesadzały ją śpiesznie, słyszał, jak dudnią miękkie łapy na lodowym pomoście. Poza tymi dwoma dźwiękami myśliwskie psy Bronsona zachowywały zupełną ciszę. Lecz z tyłu brzmiał głos pana, władczy, judzący do pościgu i bitwy.

Błyskawica skręcił w miejscu i niby zjawa pokłusował po lodzie. Na szyi i karku sierść zjeżyła mu się do ostatniego włosa. Biegnać warczał, a jaskrawy księżyc, świecąc wprost w paszczę, srebrzył jego długie śmiercionośne kły. Nie uciekał bynajmniej, obierał jedynie dogodny teren walki. Nie lubił nagiego lodu ani twardej skorupy śnieżnej. Przystanął wtenczas dopiero, gdy śnieg pod łapami zmiękł.

- niedźwiedników Bronsona, mknących w dół lodowego pomostu — osiem

zwinnych, długolapych, mocnoszczękich airedali przyuczonych do milczących łowów, a tak wytrzymałych, że uwieszone za uszy nie wydawały nawet cienia jęku. Dla podjęcia tropu Błyskawicy starczyło im dziesięć sekund, a momentalnie zrozumiały, czego pan od nich żąda.

Błyskawica warował na brzuchu u krawędzi śnieżnego wzgórka. Niespełna dwadzieścia stóp dzieliło go od atakującej sfory, gdy strzelił raptem z miejsca niby pocisk, uderzając w czołowego psa tak, jak zazwyczaj uderzał w karibu. Jego sto czterdzieści funtów wagi gruchnęło w bok osiemdziesięciofuntowego airedala. Momentalnie zwarł paszczę i najlepszy, z zapaśników Bronsona ledwo zipnął, gdy kły Błyskawicy zmiażdżyły mu kark.

Zarówno jak niegdyś młoda Muhikun kazała Błyskawicy walczyć na śmierć i życie z potężnym Baloo, wodzem zgrai, tak obecnie Muszka napoiła mu serce żądzą krwi i mordy. W jego nieskomplikowanie rozumującym mózgu utarła się pewność, iż suka wróciła do stada i że to stado właśnie dzieli ją od niego. Nie rozróżniał bynajmniej winy poszczególnych jednostek, lecz traktował całość jako szkodliwą bandę, na swój sposób żądając wyrównania i zapłaty.

Nigdy w życiu nie walczył tak, jak dziś. W ćwierć minuty po pierwszym morderstwie stał się ośrodkiem wściekłej, warczącej, tnącej kłami sfory. Zamiast bić się jak prawe wilki lub psy eskimoskie, siódemka airedali zwała się nań gromadnie niby na kota. Sam ciężar napastników przygniół Błyskawicę do ziemi i dzięki temu ciężarowi właśnie, dzięki siedmiu ciałom szukającym chwytu na oślepie, Błyskawica uzyskał natychmiastową przewagę.

Zwierał szczęki na łapach pękających łatwo, jak zapalki, długie jego zęby cięły na boki, to znów w górę, dziurawiąc piersi i brzuchy. Tarzał się i wił, za każdym ruchem znajdując dla kłów nowy żer w postaci krwi i mięsa.

Gwar bitwy niósł się aż do statku. Bronson, zbrojny w dzidę foczą, pędził już na odsiecz. Okno jednej z kajut rozbłysło światłem. Zawyły inne psy. A dwudziestka malemutów, przed chwilą jeszcze śpiąca smacznie w śnieżnych schronach, przebudziła się raptem, wyprostowała członki, wstała i ruszyła cwałem, by wziąć udział w bitwie.

Błyskawica ani podejrzewał, że jego sprawa prywatna poruszyła cały statek. Zapomniał w ogóle o istnieniu ludzi. Walczył zajadle, choć na oślepie, a znajdował się wciąż na samym dole spiętrzonej gromady. Nie widział absolutnie nic, słyszał zaś jedynie kłapanie paszcz i głuchy ryk zziębniętych, gardzieli. Przywalały go gorące ciała i bez przerwy nurzał w nich kły. Czuł, jak wrogie zęby drą własne jego mięśnie. Boki i barki miał pocięte; dwukrotnie głęboko zraniono go w kark. Śnieg spłynął już krwią, a ponad zgrają walczących stał tuman pary niby lekka mgła.

Drugi z psów Bronsona był już niezdolny do boju, reszta sfory okaleczona mniej lub więcej silnie, Błyskawica zaś trzymał jednego z przeciwników za gardło, gdy banda pociągowych malamutów, pijana radością, zwała się w wir walki.

Otóż należy wiedzieć, iż normalny malamut szalenie lubi wszelką zwadę tak właśnie, jak zdrowe dziecko lubi zabawę. Nie trzeba mu nigdy podniety lub zachęty. Będzie się bił z bratem rodzonym, z przyjacielem od serca, z całą bandą krewnych. Toteż gdy psy pociągowe dopadły pola walki, stan rzeczy uległ radykalnej zmianie.

Przybysze nie mieli pojęcia, iż pod stosem ciał znajduje się właściwa zdobycz. Pierwszy malamut zanurzył kły w karku pierwszego airedala, jaki mu wpadł w oko, drugi runął w tłok, trzeci za nim. Nie upłynęło pół minuty, a już każdy pies walczył z osobnikiem własnego gatunku bez względu nawet na rasę i płeć.

Poprzez dzikie wycie i skowyt Błyskawica usłyszał raptem niewyraźnie głos człowieka. Był to Bronson, wrzeszczący co sił w płucach i wymachujący dzidą. Od statku po lodzie mknęły już inne postacie, a gdy Błyskawica wytoczył się wreszcie na krawędź walczącej zgrai, już pół tuzina batogów eskimoskich cięło niby żywy ogień skłębioną masę walczących cielsk. Koniec bata trafił go w czubek nosa, właśnie gdy wymykał się z zamętu. Inny rzemień gwizdnął mu nad karkiem i owinał się wokół niego, lecz Błyskawica skoczył już między dwie figury ludzkie i rwał przed siebie co sił. Czas jakiś dolatywały doń dzikie głosy oraz trzask batów.

Nim jednak dopadł grobowca i kucnął na swym dawnym miejscu w jamce, pyskiem obrócony ku morzu, gwar umilkł zupełnie i nastąpiła głęboka cisza.

W ciszy tej Błyskawica, siedział i czekał, a krew cieknąca strugami spływała z jego barków i czerniejąc krzepła w śniegu. Nie był zresztą zbyt zmęczony i nie bał się wcale, mimo iż stoczył tak rozpaczliwy bój. Opuściła go tylko mściwa nienawiść. Marzenie prysło. Znikła wszelka nadzieja. Nie było już o co walczyć.

W jakiejś chwili wstał i parokrotnie zatoczył krąg wokół grobowca, obwąchując stare wgłębienia oraz odciski łap. Potem obrócił łeb na południe. Czynił to już nieraz, lecz nigdy nie decydował się iść za głosem wołającym ku niemu z mętnej dali. Dziś jednak brakło jakichkolwiek czarów wilczych zdolnych go powstrzymać. W jego żyłach krążyła wyłącznie krew Skagena, zaś poprzez mrok żalostnej samotności mamił ponownie miraż innego kraju i innego słońca.

Wolnym truchtem ruszył im naprzeciw. Na przestrzeni pierwszych trzystu jardów przystawał dwa razy i pół obrócony spoglądał wstecz. Potem znów biegł na południe.

Po raz trzeci przystanął w miejscu, gdzie Muszka, znużona wyprawą, skrzyła ku siatkowi. Częściowo przypadek go tu przywiódł, a częściowo kierowała nim tęsknota. W kotlinie osłoniętej od wiatru, widniało parę odcisków łap, których huragan nie zdołał całkowicie zmieść.

Obwąchując te ślady Błyskawica zaskomlił. Potem zwrócił pysk ku morzu, nasłuchując, a serce kołatało mu znów nadzieją — ufną nadzieją zwierzęcia kierowanego instynktem, nie rozumem. Jednakże wiara była w nim zbyt słaba, by go wstecz cofnąć. Przy tym zew południa przemawiał silnie i nieustępliwie.

Wgramolił się na stromą krawędź i przystanął w milczeniu, spoglądając w dół, gdzie widniały tropy Muszki. Gdy tak patrzył, jakiś żywy kształt pojawił się po drugiej stronie kotliny i tkwił chwilę zarysowany wyraźnie na białym tle mgławego nieba. Błyskawica ani drgnął; skamieniał po prostu. Natomiast zwierzę idące śladem, zbiegło w dół wgłębienia, po czym wdrapało się ku niemu w górę. Błyskawica wiedział, że to nie lis, nie wilk, nie airedale lub malamut pchany chęcią

walki, lecz najdroższy towarzysz — Muszka!

Księżyc i gwiazdy zlewały na nią cały swój blask. Rozpalały w głębi jej oczu wesołe ognie, przydawały pięknej, gładkiej sierści złotawego połysku. Lecz gdy stanęła u boku Błyskawicy tuląc jedwabny pysk do jego szorstkich kudłów, nie zdradzała nadmiernej nerwowości ani prosiła o przebaczenie, tylko kipiała w niej po prostu ogromna, gorąca radość.

Gdyby mogła przemówić, opowiedziałaby mu, być może, że ucięła sobie długą, słodką drzemkę, że zbudził ją gwar walki i że obecnie gotowa jest pójść za nim, gdziekolwiek zechce ją prowadzić.

W gardle Błyskawicy dygotał dziwny, wruszający skowyt. Po krótkiej chwili skręcił na południe, prosto na południe i ruszył przed siebie kłusem.

A Muszka, wyzbyta już wszelkich wahań, wesoło biegła za nim.

ROZDZIAŁ XXII

Karibu

Ootutin nadszedł i strach zajrzał w serca ludzi. Najdzielniejsi łowcy nie wychylali nawet nosa z wnętrza schronów, jak gdyby w powietrzu wisiała śmiertelna trucizna. Jeden szeptał drugiemu na ucho: „Neswa ku che woik!” — „Wszystko troje zmarzło w jedno!” — mając na myśli ziemię, niebo i powietrze. Półszepem wymawiano zaklęcia i palono pasma włosów nad skąpym płomieniem kaganka, w którym knot, uwity z mchu, pływał w tłuszczu foczym. Była to ofiara na rzecz przyjaciół zaskoczonych zniecka przez ten straszliwy chłód i prośba o ratunek dla nich.

W powietrzu bowiem była rzecz równie okropna i niebezpieczna, jak najjadowitsza z trucizn. Możliwe zresztą, że termometr nie wykazałby tej groźby, gdyż ludzie nie zawsze przecież mrą przy temperaturze pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu stopni poniżej zera, zaś termometry nie umieją notować niewiarygodnych chłódów zimy polarnej.

Powietrze suche było jak pieprz i tak spokojne, że gdyby się kto poważył wystawić na zewnątrz wilgotny palec, odmroziłby go jednocześnie ze wszech stron. Cisza ta właśnie dawała przestrozę istotom ludzkim. Dla uszu mila skracała się raptem niemal do rozmiarów jarda. O milę słyszałeś wyraźnie krok karibu na chrupiącej skorupie śnieżnej lub też kaszel człowieka. Strop niebios krył ziemię niby wielka kopuła o fenomenalnej akustyce. Mogłeś rozróżnić każde słowo gawędy, prowadzone głosem normalnym w odległości ćwierci mili. Karabinowy strzał niósł mil dziesięć.

Ponad wielką tundrą, idącą od wybrzeża Oceanu Arktycznego na południe, pięciomiesięczna noc polarna miała się właśnie ku końcowi. Był to okres przejściowy. Brakło słońca, brakło w ogóle światła dziennego. Ziemia będzie jeszcze musiała obrócić wokół osi parę bilionów mil, zanim nieruchome słońce pokaże pierwsze swe promienie na horyzoncie zakrzepłego kraju. Lecz gwiazdy i księżyc lśniły po dawnemu, a serce niebios gorzało własnym mistycznym ogniem. Można było swobodnie czytać książkę bez pomocy sztucznego oświetlenia.

Tylko, że żadna ludzka istota nie potrafiła istnieć przy tym chłodzie. Tunele, wiodące do chat eskimoskich, na głucho zamknięte. W izbach kształtu uli, lepionych ze śniegu i lodu, płonęły drobne ogniki sycone tłuszczem foczym. Ludzie jedli, o ile mieli mięso, czekali końca kłęski i przy wtórze dziwacznych modłów składali ofiary dziwaczne, prosząc o szczęśliwy powrót brakujących członków rodziny.

A brakło, niestety, wielu. Ootutin nadleciał szybko i niespodzianie niby ptak. Niejeden łowiec wpadł w jego sidła. Taki nieszczęśnik spieszenie ryl w śniegu schronisko. Na morzu budował ciasną pieczarę z ułamków lodu, jak mógł uszczelniał szpary i zagrzebywał się żywcem, by ratować płuca. Gdyż płuca cierpiały pierwsze, a najbardziej doświadczony bywalec nie miał pojęcia o tym, co się stało, zanim śmierć nie powaliła go na łożo. Żądło Ootutin było zatem straszne, choć bezbolesne, ukłucie jego na razie przechodziło niepostrzeżenie, lecz wkrótce człowiek wykaszliwał płuca w krwawych plwocinach.

W tym chłodzie śmiertelnym zwierzęta żyły jednak i odbywały swe wędrówki, gdyż przyroda obdarzyła je w tym wypadku hojniej niż człowieka. Wróbel przetrzyma najmroźniejszą noc zimową, bowiem serce wróbla bije trzy razy tam, gdzie serce ludzkie uderzy tylko dwukrotnie. A krew jaskółki polatującej o tysiąc jardów nad ziemią jest tak gorąca, że podobna temperatura w żyłach istoty ludzkiej oznaczałaby śmierć niechybną.

Karibu i woły piżmowe, lisy i wilki, ogromne sowy i duże białe zające nadal odbywały swe wędrówki szukając łupu i żeru, bez obawy chłodu, gdyż płuca ich były strzeżone podwójnie. Krew lisów polarnych i wilków miała temperaturę o sześć stopni wyższą niż krew Eskimosów, krew sów była jeszcze o dwa stopnie gorętsza. Karibu i woły piżmowe miały w żyłach sto dwa stopnie ciepła, podczas gdy mieszkańcy igloo mieli tylko dziewięćdziesiąt osiem i trzy piąte. Większe zwierzęta posiadały ponadto specjalną ochronę. Nozdrza ich promieniowały niezwykłą falą gorąca. Toteż mogły swobodnie i głęboko wciągać powietrze, które zabiłoby człowieka, gdyż zanim tlen dosięgnął ich płuc, był już ogrzany dostatecznie.

* *

W tym chłodzie okropnym Błyskawica i Muszka odbywali swą wędrówkę. Szli już całą dobę podług rachunku godzin, zanim Ootutin dał o sobie znać. Dążyli na przełaj przez rozległe barren, pozbawione nie tylko drzew, lecz nawet zarośli, a dzielące tundry z wybrzeża oceanu od pierwszych kniei położonych o setki mil dalej na południe.

W ciągu dwudziestu czterech godzin zrobili mil pięćdziesiąt, więc w szczupłym ciele Muszki zagościło przykre zmęczenie. Kładła się nieraz na chwilę wypoczynku i po cichu skomlała tęsknie. Żal jej było statku, ciepłego kąta, miękkich der i hojnie dostarczanego jadła. Rzuciła jednak cały ten luksus, by towarzyszyć wielkiej kudłatej bestii, która ocaliła ją od Wapuska i walczyła dla niej z hordą zajadłych airedali i malamutów.

Błyskawica natomiast nie czuł wcale wyczerpania, tylko gwałtowną radość, dumę z każdą chwilą większą i pełniejszą. Wspaniałe jego mięśnie nie podlegały znużeniu. Nie zostawiał w tyle niczego, za czym by miał tęsknić. Nie miał bynajmniej ochoty ganiać nadal po barren w towarzystwie zgrai wilczej lub wodzić białą szajkę na mord i łowy. Ani o to dbał, że czas dłuższy był wśród wilków — pierwszym. Południe bardziej niż kiedykolwiek wzywało go ku sobie — ów kraj przodków żyjących w budach u progów domostw ludzkich, kraj wielkiego doga Skagena.

Gdyby nie Muszka, Błyskawica ani by się w drodze zatrzymał. Zamiast niespełna mil pięćdziesiąt, przebyłby dobrych sto. Biegłby póty, aż by mu boki wkleśły i oczy krwią zaszyły. Lecz Muszka go hamowała. Na jej najsłabszy skowyt przystawał momentalnie i pół obrócony skomlił w odpowiedzi. Miękkie łapy suki nie obyte z chropawym śniegiem i lodem poczęły wkrótce krwawić, toteż na każdym postoju Błyskawica lizał je czule swym czerwonym gorącym jęzorem, a potem pyskiem gładził złoty jedwab włosów tak właśnie, jak niegdyś Muszka pieściła białe ręce dalekiej pani.

Tej pani i pana, który umarł, Muszka nie umiała zapomnieć. Zbyt mocno była z nimi związana od dnia narodzin. Lecz pan milczał, leżąc pod stosem czarnych głazów, za to pani, choć niewidoczna i daleka, wzywała ją bezustannie. Wiedzona cudownym instynktem Muszka czuła, że Błyskawica prowadzi ją ku tej pani właśnie.

Przed paru godzinami opuścili nierówny teren tundry i kłusowali obecnie przez siwy chaos barren, oświetlony upiornie mgławym lśnieniem nieba. Ponad ich ciałami, rozgrzanymi biegiem, unosił się lekki tuman pary i niby dym znaczył przebytą drogę na przestrzeni ćwierci mili. Stado cwałujących karibu wywołałoby ten sam objaw jedynie na przestrzeni pięciokrotnie większej. Woń niosła dalej jeszcze. Nisko i ciężko wisiała w powietrzu. W dniach Ootutin zapach stada karibu bije w nozdrza człowieka, niby gęsty smród z odległości dwu mil, podczas gdy w porze normalnej czuć go zaledwie o trzysta lub czterysta jardów. Taki zapach właśnie, specyficzny wyziew, podrażnił raptem nozdrza Błyskawicy i Muszki.

Momentalnie Błyskawica przystanął, nosem wskazując kierunek. Muszka obojętnie przyjęła ten objaw. Była głodna. Piętnaście godzin minęło, odkąd pożarła resztkę mięsa zabitego przez Błyskawicę królika. Lecz woń wisząca obecnie w powietrzu nie wieściła jej bynajmniej rozkoszy jadła. Przypominała dobrze znane wyziewy stajni lub obory, których w myśli nigdy nie łączyła z posiłkiem. Błyskawica natomiast sprężył się cały w nerwowym oczekiwaniu. Porzucając pierwotny kierunek skręcił natychmiast ku zachodowi. Wyczuł od razu, iż jeśli w ogóle w powietrzu istnieje jakikolwiek powiew, to płynie on właśnie z zachodu,

Muszka dążyła śladem, rozumiejąc, iż woń dla niej obojętna zawiera coś, co pociąga Błyskawicę. Karibu pasły się o dwie lub trzy mile na zachód, ukryte poza niskim pasmem wzgórz spiętrzonych na płaszczyźnie barren. Dniem łatwo byłoby dojrzeć ponad szczytem wzniesienia białawą mgłę — parę dymiącą z ciał zwierząt. Wyostrzony słuch Błyskawicy i Muszki ułowił pierwsze dźwięki, jakkolwiek dzieliło ich jeszcze od stada trzy ćwierci mili. Stojąc bez ruchu, chwyтали teraz wyraźnie chrzęst rogów ryjących śnieg zakrzeplony w poszukiwaniu ukrytego pod nim kędzierzawego mchu. Kopyta dudniły miarowo na twardym gruncie.

Przekonany, że stado jest tuż, Błyskawica poruszał się niezmiernie wolno i ostrożnie. Upłynęło pół godziny, zanim dotarł do stóp wzgórza. Po chwili wgramolił się na górę mając Muszkę tuż za sobą. U szczytu przywarował na brzuchu, Muszka zaś, jako pojętna uczennica, natychmiast legła obok.

Karibu pasły się w dole. W obrębie wzroku było ich przeszło pół setki, przeważnie samice z młodymi. Jeden roczniak rył właśnie śnieg tuż niemal pod Błyskawicą. Oczy wilka bacznie mierzyły odległość. W następnym mgnieniu wpadł już na zdobycz.

Atak był tak niespodziany, że Muszka zastygła w pierwotnej pozycji, sparaliżowana po prostu. Przy jaskrawym świetle, księżycy i gwiazd obserwowała dziwaczne widowisko. Widziała już poprzednią walkę Błyskawicy z Wapuskiem, lecz to była obrona konieczna. Obecnie po raz pierwszy podziwiała zuchwały atak.

Błyskawica wisiał u szyi zwierza trzykrotnie większego niż on sam. Po chwili oboje gruchnęli na ziemię, aż jęknęło. Krew zastygła w żyłach Muszki, gdy niby grom zadudniły setki kopyt. Ale ogromne, ciemne sylwetki karibu nie runęły do ataku wzorem Wapuska, przeciwnie, zmykały wszystkie. Muszka uniosła głowę. W dole Błyskawica i roczniak wili się i przewracali w śmiertelnej walce po zradlonym śniegu. W Muszce krew zawrzała. Słyszając dzikie warczenie Błyskawicy, obnażyła raptem mlecznobiałe kły i oczy jej błysnęły. Potem, niby żółty pocisk, strzeliła w dół skłonu.

Przybyła jednak za późno, by okazać skuteczną pomoc. Roczniak konał już. Wkrótce przestał się bronić i znieruchomiał zupełnie. Błyskawica rozluźnił wtenczas chwyt i wstał. Muszka nie spuszczała zeń oczu. Czowała zapewne ogromną* dumę wobec zwycięstwa swego samca. Krótką chwilę tkwiła przy nim, jedwabistym pyskiem muskając szorstkie kudły. Potem Błyskawica rozdarł kłami brzuch karibu i wypuścił wnętrzności.

Posilali się razem. Aż Muszka nasycona dostatecznie legła przy ciepłym ściervie i zasnęła natychmiast snem wyczerpania.

ROZDZIAŁ 23

W puszczy

Po krótkiej chwili Błyskawica drzemał też u jej boku. W godzinę później przebudził się i wstawszy spróbował ugryźć nieco mięsa. Lecz karibu zamarzył na kość. Wtenczas Błyskawica skomleniem, zbudził Muszkę. Suka niezdarnie stanęła na łapach. Ciało miała dziwnie sztywne. Pod dolną szczęką para oddechu zakrzepła jej w bryłkę lodu, więc przy pomocy łap zdarła tę zawadę.

Błyskawica ruszył przodem. Instynkt mówił mu, że zbudził się w samą porę. Straszliwy chłód wniknął już podstępnie w jego mięśnie. Próbuując ruszyć kłusem, Muszka uczuła przykre osłabienie i niezdarność. O ile to możliwe, było bodaj jeszcze zimniej niż parę godzin temu. Powietrze, które wydechali, momentalnie zmieniało się w szroni. Czas jakiś ciała ich wystygłe z powodu spoczynku nie wydzielają nawet pary. Lecz z wolna ciepło przenikało członki. Krew krążyła rażniej. Łapy straciły niemiłą sztywność i po upływie kwadransa rażnie i uparcie kłusowali już ku południowi.

Jakkolwiek Muszka nabrała znacznie sił po jedzeniu i wypoczynku — Błyskawica nie przyśpieszał biegu. Nie czynił tego rozumowo. Nie obracał w mózgu skomplikowanych problemów życia i śmierci. Kierował nim przede wszystkim mądry instynkt. Wiedział zatem nie tylko, gdzie leży południe — samo południe — lecz czuł również, iż nie wolno mu gnać pędem, jak to lubił czynić zazwyczaj. W chwili obecnej tempem jedynie właściwym był wolny kłus. Zmęczyć się biegiem tak, by ziać ciężko otwartą paszczą lub też spłynąć potem, znaczyło niechybnie — zginąć.

Kłusowali więc rozważnie godzina za godziną, przystając nieraz dla wypoczynku. Muszka po trzykroć padała w śnieg wyczerpana, lecz Błyskawica stał zawsze prosto, by po pewnym czasie zmusić ją do dalszej wędrówki.

Minęło dobrych czterdzieści godzin, odkąd opuścili brzeg oceanu, zanim nastąpił przełom. Temperatura na razie podnosiła się bardzo wolno; potem Ootutin wykombinował zapewne, iż walkę przegrał i już widziałeś prawie, jak rtęć skacze w termometrze. W ciągu dwu godzin pocieplało- o dwadzieścia stopni. Wtenczas dopiero Błyskawica pozwolił Muszce zażyć dobrze zasłużonego wypoczynku. Wygrzebawszy głębokie jamki pod osłoną śnieżnej diuny, zapadli oboje w długi, krzepiący sen.

Gdy znów ruszyli dalej, żadne z nich nie zauważyło powolnych, lecz wyraźnych zmian zachodzących w ich otoczeniu. Gwiazdy jakby się cofnęły głębiej i miały płonąć po dawnemu jaskrawię, tliły tylko mdłym światłem. Perłowy blask w sercu niebios przygasiał. Atmosfera, mniej przezroczysta, zacieśniła widnokrąg widzenia. Wkraczali bowiem w obręb tajemniczej i widmowej „krainy pośredniej”, oddzielającej ziemię wiecznej nocy od ziemi białego dnia.

Z każdą godziną zmiana zaznaczała się wyraźniej. Gwiazdy, jedna po drugiej, bledły i gasły. Dwukrotnie jeszcze Muszka i Błyskawica zażyli spoczynku, po czym nastąpił okres sinego zmierzchu, trwałej, chaotycznej ciemności.

Upłynęła jeszcze jedna doba. Błyskawica i Muszka zbudziwszy się po raz czwarty ujrzeli wielkie чудо. Ponad południowy widnokrąg wyzierało ku nim — słońce.

Była to tylko właściwie ruda luna — blady, czerwony bryzg, jak gdyby refleks ogniska płonącego o mil parę. Drząc całym ciałem, czując, jak im serca walą w piersiach, Muszka i Błyskawica patrzyli uparcie. Wiedzieli, co to jest. W chwili owej niezwyklej i jedynej oboje zastygli w bezruchu.

Szkarłat jaskrawiał. Potem, równie raptownie, jak się był pojawił, zbladł i zniknął. Całe zjawisko trwało może minut dziesięć, lecz w sercach Muszki i Błyskawicy pozostał dreszcz podniecenia. Głód, znużenie, ból łap krwawiących, wszystko poszło w niepamięć. Widzieli słońce! Widzieli je po raz pierwszy od paru miesięcy i radość ich była równa szczęściu ślepcy, który niespodzianie przejrzy. Był to ich pierwszy dzień długości dziesięciu minut, po którym następowało dwadzieścia trzy godziny i pięćdziesiąt minut nocy.

W stronę gdzie słońce zaszło, ruszyli kłusem prędkim i równym. Muszka sama zabiła wielkiego białego królika. Nieco później Błyskawica schwytał drugiego. Mięso pożarli, nie pozwolili sobie jednak na sen lub choćby wypoczynek. W ciągu długich nocnych godzin kłusowali bez przerwy. Lecz noc ta w niczym nie przypominała nocy znad brzegów oceanu. Gwiazdy wisiały wyżej i były znacznie bledsze. Księżyc uciekł po prostu w niewiadomą dal; błyskał rzadko i przeważnie kryły go chmury.

Po upływie mil trzydziestu Muszkę zmogło znużenie, toteż zwinęła się w śniegu w ciasny kłębek. Mróz

jeszcze zelżał. Było zaledwie osiem do dziesięciu stopni. Błyskawica legł również i zasnął po Raz piąty.

Muszkę zbudziło wycie. Wył Błyskawica, a głos płynący z jego krtani różnił się zupełnie od wszelkich dawnych dźwięków. Suka otwarła oczy, uniosła głowę i słońce uderzyło ją w sam pysk. Tym razem było to prawdziwe słońce. Nie grzało jednak, chyba tylko sam widok jego przepychu rozpałał krew w żyłach żywych istot. Przypominało kłęb ognisty — olbrzymi kłęb purpurowego ognia. Ani Błyskawica, ani Muszka nie widzieli dotąd słońca w takiej glorii. Nie wytrysło całkowicie spoza horyzontu, lecz niemal pół godziny wyzierało z nad krawędź ziemi, a nawet gdy znikło, blask po nim pozostał, tak iż dzień ten trwał godzinę i minut trzydzieści.

Nadeszła jeszcze jedna zmiana. Barren straciło swój charakter. Tu i ówdzie rosły drobne kępy krzewów i

chaszczy. Potem znikł jałowiec, typowy mieszkaniec tundry, ustępując na razie miejsca samym sosnom. Nieco później między sosny wkradły się olchy i karłowata jedlina oraz bukiety brzoź i cedrów. Gdy Błyskawica i Muszka po raz szósty przystanęli dla wypoczynku, wygrzebali już gniazda pod osłoną wiecznie zielonych drzew.

Odtąd każda noc była od poprzedniej krótsza, każdy dzień dłuższy (od wczorajszego. Chaszczce przechodziły w niskopienny las, las się w puszcze rozrastał. Aż Błyskawica pojął, że wkracza w świat obcy mu zupełnie, że część jego snów się ziściła. Gdy weszli w knieję, Muszka dodała mu odwagi i podniosła go na duchu. Całe życie przecież spędził na otwartym barren, wśród jednolicie monotonnej pustki. Toteż zdumienie osaczało go zewsząd. Muszka natomiast witała jedynie rzeczy dobrze znane. Trafili jakoś na pierwszego łosia, olbrzymiego

byka, którego masywne łopaty miały pięć stóp rozpiętości. Pojawił się im w odległości kilku metrów zaledwie. Błyskawica osłupiał co najmniej tak, jak Muszka. Piżmowego wołu, mimo jego rogów jak tarany, atakowałby bez zwłoki i namysłu, lecz stary łoś, Mooswa, napawał go ogromnym respektem. Po raz pierwszy w życiu Błyskawica szerokim kołem wyminął możliwą zdobycz.

Wędrowali teraz bez pośpiechu, gdyż czar z oddali przestał wabić Błyskawicę. Płynęły dni i tygodnie. Wkroczyli w krainę wielkich puszczy, przecięli rzeki i jeziora, w bród przeszli rozległe błota. Radość nowego istnienia wrzała w żyłach Błyskawicy. Słyszał nieraz głos swego ludu, lecz to już były bure wilki.

Jadła było w bród, więcej niż kiedykolwiek przedtem. Mokradła kipiały życiem. Śród jakichś młak zabawili dni dziesięć. Odciski skoków króliczych twardo ubiły śniegi. Był to bowiem dla tych stron wapoos ooskow — rok obfitujący w króliki. Hasały więc ich tysiące, dziesiątki tysięcy. Nocą przy świetle gwiazd słyszałeś tupot łap po śniegu niby miarowy, stłumiony werbel. W tych warunkach łowy na nie przestały stanowić atrakcję. W miarę zaś, jak słońce obierało po niebie drogę coraz wyższą i dłuższą, Muszka i Błyskawica coraz lepiej porastali w tłuszcz.

Nawet Muszka poniechała marzeń o dalszej wędrówce, nie chcąc opuszczać tego raj. Jedynym jej pragnieniem było zachować przy sobie Błyskawicę. Błyskawica zresztą ceniał towarzyszkę bardziej niż kiedy-

kolwiek, a gdy raz zawieruszyła mu się w kniei, począł wyć tak rozpaczliwie i donośnie, aż echo huknęło wśród drzew.

Trzykrotnie napotykali chaty ludzkie, a często widzieli tropy mokasynów lub raket śnieżnych. Dwa razy Muszka zamierzała odwiedzić napotkane domostwa, lecz Błyskawica ją powstrzymał. Za trzecim razem, widząc z jego zachowania, iż należy się strzec, bez namysłu już poszła za nim, a on ją powiódł w najmniej dostępny gąszcz.

Potem przybyła wiosna.

O tej porze Muszka była już sama istotą na pół dziką. Złota jej sierść wyrosła znacznie i zbiła się w kudły. Mlecznobiałe zęby niejednokrotnie mordowały dla jada i we' krwi wrzał dreszcz łowiecki stary jak samo życie. Trzy miesiące u boku Błyskawicy dały jej tyle wrażeń, co trzy lata normalne. Pamiętała jeszcze zmarłego pana, lecz miała wrażenie, iż żył bardzo dawno. Błyskawica był dla niej wszystkim. Wypełniał jej całą egzystencję i świat cały. Mimo to prześladowały ją nieraz sny dziwnie jaskrawe — wizje mężczyzny, kobiety i rzeczy niegdyś znanych lub bliskich. Skomliła wtenczas przez sen, a Błyskawica, jak gdyby rozumiejąc, współczująco pieścił ją pyskiem

ROZDZIAŁ XXV

Powódź

Tuż przed rozpoczęciem gwałtownych deszczy, zwiastujących porę roztopów wiosennych, Muszka i Błyskawica znaleźli się na południowym zachodzie od jeziora Great Slave, w krainie niemal (zupełnie niezbadanej, leżącej pomiędzy rzeką Du Rocher a bezimienną rzeczułką wpadającą do tej rzeki od wschodu.

Wzdłuż rzeczułki, na mapach rządowych znaczonej jedynie linią kropek, odkryli istny raj łowiecki. Był to najlepszy rewir myśliwski, laki Błyskawica widział kiedykolwiek. Falisty teren przecinały łańcuchy wzgórz, parowy o stromych zboczach, jeziora, rzeki i lasy przepyszne. Czasami wzgórza pięły się ku niebu tak hardo, jak prawdziwe pry, kryjąc między sobą tajemnicze dolinki. Z dolin na równiny wyciekały tysiączne potoki, płynąc wszystkie w stronę bezimiennej rzeczułki i zasilając ją swymi wodami.

Błyskawica nie stąpał nigdy jeszcze po trawie tak miękkiej, bujnej i tak szmaragdowej; nigdy nie łowił w powietrzu tak słodkich woni. Cała ziemia bowiem kipiała upojnym szczęściem wiosny. Śnieg tajał nawet w ocienionych miejscach. Sosny, cedry i jodły balsamiczne nabierały barw soczystych. Zakwitły pierwsze wczesne kwiaty. Pąki topoli nabrzmiałe i lśniące pękały już, ukazując młode listki.

Radosny gwar i zapach nowego życia docierał wszędzie. Na zielonych stokach wzgórz, kędy słońce uderzało najpierw, chadzały czarne niedźwiedzie z małymi szukając żeru. Po łąkach śródleśnych pasły się karibu i łosie. Jeziora roiły się od dzikich kaczek i gęsi, zaś spośród bukietów drzew i krzaków bił, ku niebu radosny hymn. ptaszęcy. A w powietrzu wisiała nieustanna gędzba, słodka perlista melodia dniem i nocą jednaka. Był to srebrny śpiew tysiącznych strumieni płynących z gór w doliny i z dolin ku rzece.

Błyskawica i Muszka lubili polować nad brzegiem bezimiennej rzeczułki.

Była to struga raczej typu często spotykanego na Dalekiej Północy, o korycie bardzo szerokim, pełnym łach i mielizn. Dzika i malownicza obiecywała wiele rozkoszy łowieckich. Oba jej brzegi opadały łagodnie, jak wybrzeże jeziora pokryte piachem, żwirem i tu i ówdzie wielkimi złomami głazów. Zarówno na samym łądzie, jak i na płyciznach, osiadło moc martwego drzewa od lat znoszonego prądem powodzi. Pnie te, korzenie i gałęzie, białe niby wapno, tworzyły miejscami stosy wysokie na dziesięć do piętnastu stóp.

Struga była obecnie bardzo płytka, toteż Błyskawica i Muszka przebywali ją nieraz, to człapiąc w bród, to znów płynąc od mielizny do mielizny. Wielkie stosy martwego drzewa bowiem miały dla nich nieodparty urok. Lubili łązić po nich i badać ich tajemnice.

Tam, gdzie struga płynęła leniwie, korytem płytkim niezmiernie, a szerokim na przeszło sto metrów, leżał Kwahoo, Wielki Stos. Imię to nadali mu łowcy indiańscy wałęsający się nieraz po okolicy. Zakotwiczony o piaszczystą wydmy po samym środku rzecznej łożyska Kwahoo już od lat wielu drwił z szaleństw powodzi. Był na sto stóp szeroki, długi na dwieście i robił wrażenie masywnej tratwy zbudowanej umyślnie po to tylko, by stawić czoło potędze wód. Tworzyły go setki i tysiące pni drzewnych zbitych i splecionych w jednolitą masę, a tak oślepiająco białych, jak wybielone słońcem pustyni nagie szkielety.

Pewnego wieczoru, gdy olbrzym Kwahoo płał się cały w szkarłatnym blasku zachodzącego słońca, Błyskawica i Muszka po bezcelowej włóczędze skręcili w jego stronę. Poziom wody był bardzo płytki, toteż brnąc ledwo zmoczyli grzbiety. Wierzchołek drzewnego stosu, wzniesiony od pięciu do sześciu stóp nad rzeczulką, zawierał o wiele

więcej jeszcze atrakcji niż się spodziewali patrząc z brzegu. Gładkie białe pnie, zbite tak ciasno, że tworzyły rodzaj wygodnej podłogi, przez dzień cały chłoneły gorące promienie słońca. W jednym końcu część pni, zahaczywszy o dno rzeczulki, stanęła sztorcem, tworząc bajeczną kryjówkę na dwoje. Zalety jej podnosiła okoliczność, iż w roku poprzednim powódź częściowo wypełniła jaskinię paroma naręczami szuwaru, przy czym obecnie szuwar był suchy i ciepły. Trudno było wymarzyć na noc lepsze legowisko, więc Muszka starannie obwąchała wnętrze i parokrotnie poruszyła ściółkę przednią łapą chcąc pokazać Błyskawicy, jak bardzo to. miejsce przypada jej do gustu.

Aż do zmroku wałęsali się po białym pomoście Kwahoo. Tego wieczora słońce zaszło dziwnie szybko. Ledwie zaś znikło, gdy z zachodu nadleciał głuchy grzmot, po czym w oddali zapłonęły błyskawice. Towarzysz Muszki wciągnął nozdrzami powietrze i wyczuł, że nadchodzi burza. Jakkolwiek zrodzony nad brzegami Oceanu Lodowatego pojął natychmiast, że należy uciekać na ląd. Lecz za pierwszym trzaskiem gromu Muszka zagrzebała się w jaskini i nie chciała nawet nosa wytknąć. Bała się zawsze piorunów i błyskawic, dlatego Błyskawica daremnie po wielokroć biegał od' pieczary do krawędzi Kwahoo usiłując ją za sobą zwabić.

W coraz to głębszej czerni ślepią Muszki lśniły niby żuźle, lecz ani myślała ruszyć z miejsca. Wreszcie Błyskawica rozpląszczył się tuż koło niej, skowycząc głucho z niepokoju i obawy. W odpowiedzi Muszka westchnęła z ogromną ulgą i oparła pysk na jego karku.

Burza zlatywała szybko na strwożoną puszcę. Grzmot ryczał coraz bliżej, a ognie elektryczne rozplamieniały czarne niebo. Wkrótce zadudnił jeszcze jeden głos niby łoskot wichru. Była to ulewa. Zalała Kwahoo istnym potopem pełnym błyskawic. W widmowym świetle ogni wybielone pnie i konary martwych drzew lśniły niby kościotrupy, więc przerażona Muszka pod pełzła bliżej do towarzysza i ukryła pysk w jego kudłach.

Tymczasem huragan wraz z ulewą rwał w górę rzeki. Tysiące ledwo dostrzegalnych strużek, sączących się leniwie wśród zboczy dolin, nabrzmiało w jednej chwili do rozmiaru sporych strumieni; strumienie, biorąc w siebie tyle wód, napęczniały jak potoki górskie; potoki wezbrały gwałtownie; cała zaś ta wrząca, kipiąca masa spłynęła od razu do bezimiennej rzeczulki.

Ulewa trwała dobrą godzinę, potem zaś przeszła w monotony, rzęsy deszcz. Padało tak noc całą, aż do rana. Rankiem siało jeszcze. Obecnie był to już raczej uparty kapuśniaczek, a zaciągnięte chmurami niebo nie wróżyło rychłej zmiany na lepsze.

Błyskawica i Muszka bardzo wcześnie ' opuścili jaskinię, by po oślizgłym drewnianym pomoście zejść nad sam brzeg Kwahoo. Lecz oczu ich nie Wypełniał już perlisty szept flegmatycznej rzeczulki:

wietrzeni wstrząsnął groźny, prędko bełkot wzbierających wód. Znikły ciepłe, złotawe mielizny, po których przechodzili wczoraj niemal suchą nogą. Pomiedzy nimi a brzegiem kipiał wrzący potok.

Stropieni obiegli wkoło Kwahoo, lecz wszędzie było to samo. Trafili w pułapkę. Początek powodzi schwytał ich niespodzianie i jedyne schronienie stanowił teraz ów stos martwych drzew.

Odtąd z każdą godziną rzeka wzbierała szybko i uparcie. W ciągu ranka ulewa powtórzyła się dwukrotnie i do (południa wierzchołek Kwahoo wyzierał tylko o dwie stopy ponad poziom wody. Trwał ogłuszający łoskot. Targany szalonym prądem Kwahoo kolebał się i drżał, lecz głęboko wrośnięty w łożysko mocną i tajemniczą gmatwaniną pni wytrzymał napór tak samo, jak w ciągu wielu lat poprzednich.

Bardziej zdumieni niż przerażeni Błyskawica i Muszka obserwowali straszliwe widowisko. Lasy, łachy i mokradła składały już powodzi wszelaką daninę prąd włókł ustawicznie dziwną a groźną procesję. Od czasu do czasu jakiś żalony szczątek uderzał tak silnie o Kwahoo, aż wielki stos się wzdrygał; stał jednak zawsze w miejscu odrzucając natrętów na boki.

Błyskawica i Muszka patrzyli. Raz minęło ich z bliska drzewo wydarte z korzeniami, a w rozwidleniu konarów rozpaczliwie uczepiony siedział jeżozwierz. Potem z głuchym stukiem martwy kolos uderzył o Kwahoo. Jego wzdęty odwłok podskakiwał na fali niby wielka owłosiona piłka.

Znowu nadeszła noc i ciemność. W ciągu długich mrocznych godzin rześisty deszcz lał bez przerwy. Łoskot powodzi rósł. Ryk wód wzburzonych brzmiał coraz groźniej. Kwahoo dygotał i jęczał, lecz trzymał się kupy. Muszka i Błyskawica nie zmrużyli oczu. Skuleni w głębi pieczary spojerali w nieprzebitą czerń, wyczekując brzasku. Gdy wreszcie błysnął świt, ostrożnie wyszli z ukrycia.

- Kwahoo zmienił się do niepoznania. Zmalał okropnie. Napór wód i uderzenia wszelkich szczątków wyszczerbiły mu boki. Tu i ówdzie wzburzony nurt przelewał się już górą. Lecz serce olbrzyma przetrwało niewzruszone — około stu stóp kwadratowych przestrzeni.

W najdalszym końcu powódź osadziła świeży stos drzewa, więc Błyskawica i Muszka ruszyli go z bliska obejrzeć. Od ostatniego ich posiłku upłynęło około czterdziestu godzin, więc byli porządnie głodni. Instynkt łowiecki zaś uprzedzał ich, że wraz z drzewem mogło nadpłynąć jakieś żywe mięso.

W istocie też tak było. Wielkie, puszystym futrem porośłe zwierzę, o oczach lśniących jak diamenty, leżąc na brzuchu, z pyskiem między przednimi łapami, obserwowało ich uparcie.

Odkąd zamieszkali w puszczy, Błyskawica ze dwanaście razy widywał rysie, lecz nigdy tak olbrzymie, jak ów kot wyrzucony na Kwahoo. W wyglądzie rysia — Pisju było także coś świadczące o głodzie.

Prawdę mówiąc, Pisju głodował już znacznie dłużej niż Błyskawica i Muszka. Błyskawica ostrożnie zatoczył wokół niego badawcze półkole. W gardle wilka wzbierał groźny warkot, na co ryś zdawał się nie reagować zupełnie. Jedyne nos jego się zmarszczył, wargi cofnęły lekko i białe wąsy zjeżyły. Muszka z żalnym piskiem skoczyła do boku towarzysza i uprowadziła go spieszenie na drugi koniec pomostu.

Aż Witem, tak niespodzianie, że skamieniali wszyscy troje, stała się rzecz zdumiewająca.

Po wzburzonem łonie oszalalej rzeki gnał najbardziej kruchy z przedmiotów, jakie dotychczas były o pierś Kwahoo. Było to czółno z kory brzozewej. W czólnie znajdowali się mężczyzna i kobieta oraz ciasno utulone w ramionach matki — dziecko. Kobieta miała twarz śmiertelnie bladą, tym bledszą wobec gęstwy kruczo czarnych włosów roztrąganych na wietrze, w mokrych pasmach oplątujących jej ramiona, szyję i policzki. Gdyby nie silny zarost, twarz Gastona Rouget byłaby chyba równie biała. Gdyż w ciągu ostatniej pół godziny śmierć co minuta zaglądała im w oczy. Przed pół godziną bowiem powódź niespodzianie wtargnęła do ich chaty, skąd zmuszeni byli uciec czólnem dla poratowania życia. Rouget próżno usiłował dobić do brzegu. Jedyne co mógł uczynić, to utrzymywać dziób czółna zawsze prosto.

Lecz teraz, dokładnie na ich drodze, leżał nieruchomy stos drzewa.

— Janko, ma chérie, nie mamy się już czego bać! — krzyknął dziarsko w stronę siedzącej na przedzie kobiety. — Oto Kwahoo i woda przelewa się przez jego krawędź. Steruję wprost na niego. Trzymaj mocno małą!

Muszka, Błyskawica i ryś Pisju Widzieli wyraźnie, co zaszło teraz. Czółno strzeliło poprzez zatopioną krawędź Kwahoo. Uderzając o jakiś konar przewróciło się od razu. Kobieta, rozpaczliwie tulącą dziecko w ramionach, gwałtownie wyrzuciło na bok. Gaston Rouget wyleciał również, lecz poderwawszy się natychmiast na kolanach i rękach podpełzł ku swym najdroższym i obłąkańczo chwycił je w ramiona, podczas gdy czółno wyzbyte ludzkiego balastu skrzyło znowu w nurt i znikło unosząc koce, broń i żywność.

Na ten widok Gaston mocniej przygarnął do piersi żonę i córeczkę. Nowy lęk zmroził mu serce. Z kryjówki, co prawda bezpiecznej, w ciągu długich dni jeszcze nie widział możliwości ucieczki. Tymczasem chleb i mięso, podstawa życia, przepadły wraz z czólnem. Lecz wtem, unosząc głowę, zobaczył rysia przyczajonego na zwałonym pniu, a z tyłu poza nim wyraziście zarysowane na tle białych bali nerwowe sylwetki Błyskawicy i Muszki. Instynktownie sięgnął dłonią po jedyną broń, jaką posiadał obecnie — nóż tkwiący za pasem. W serce znów wstąpiła mu otucha. W tych trzech istotach bowiem, które go wyprzedziły na Kwahoo, widział pewność ratunku — jadło i życie na dni wiele.

— Niech Bogu Najwyższemu będą dzięki! spuszczać jednak oczu z trójki zwierząt. — trafili na Kwahoo! Tak, co za szczęście.

ROZDZIAŁ XXV

Pazury i zęby

W chwilach tych cud zrozumienia przenikał szybko dusze przygodnych mieszkańców Kwahoo. Dla Błyskawicy i Muszki kaprys losu zmienił dreszcz ciekawej przygody w silniejszą jeszcze podnieętą nieuchronnej tragedii.

Na widok rysia wyczuli oboje obecność śmiertelnego wroga, gdy jednocześnie wielki kot, spłaszczony na swym pniu, dygotał cały z przejęcia. Miał szaloną ochotę skoczyć do gardła. Na dnie ich wzajemnych pragnień leżał głód. Lecz głód silniej skręcał wnętrzności rysia. Pewna czczość, jaką Błyskawica czuł, nie powiedziała mu jeszcze, że Pisju jest mięsem, które można zabić i spożyć. Mimo to odwaga na równi z pewnym przeczuciem kazały mu krążyć w pobliżu. Próżno Muszka usiłowała go dalej odciągnąć. Błyskawica gotów był wydać bitwę każdej istocie z krwi i mięsa za wyjątkiem człowieka. Pisju zaś, przyczajony na swym drzewie, czekał, aż odległość skróci się o tyle, że będzie mógł skoczyć. I w tej chwili właśnie pojawił się — człowiek.

Obecność tego władcy wszelkich stworzeń zbudziła w nich natychmiast myśl inną niż głód i nienawiść. Był to strach zrodzony przed wiekami. Pisju przywarował niżej chcąc się stać niewidocznym. Błyskawica cofnęła się szybko, tuląc uszy. Jedynie Muszka tkwiła bez ruchu, pełna głębokiego zdumienia, szeroko otwierając lśniące oczy. Wodziła wzrokiem od kobiety do mężczyzny, to znów patrzyła na dziecko stojące teraz między tymi dwoma, drobną rączką uczezione dłoni matki.

A Gaston Rouget patrzył na Muszkę niepomiernie zdziwiony. Nigdy jeszcze tego rodzaju stworzenie nie wyrosło z krwi wilczej. Podnieconym głosem szepnęła to żonie, podczas gdy palce jego silniej ścisnęły

rękojeść noża. Pies! 'Zawołał nań i stąpił parę kroków wyciągając rękę. Przemawiał kolejno, najpierw w narzeczu cree, potem po francusku i angielsku. W miarę jak się człowiek zbliżał, ryś coraz niżej osiadał na pniu, aż wreszcie dał nura między skłębione bale. Mężczyzna był już o dziesięć kroków zaledwie, gdy Muszka skrzyła raptem i truchtem odbiegła do boku Błyskawicy.

Właśnie dzięki Błyskawicy Muszce udzielił się nastrój tajemniczej trwogi. Stała tuż przy towarzyszu. Czuła, jak drży jego wielkie ciało. Widziała, jak obnaża kły i słyszała dziwny warkot w jego piersi. Jednak sama przez się gotowa była podejść do mężczyzny, a szczególnie do kobiety i dziecka. Miała wrażenie, że pan jej powstał z grobu, jakkolwiek wiedziała dobrze, że jest to zupełnie kto inny. Miała wrażenie, że pani jej przysła ją odnaleźć, jakkolwiek wiedziała dobrze, iż to jej pani nie jest. Dziecko przypominało jej dzieci, z którymi się przed laty bawiła, choć tamte na pewno były inne.

Mężczyzna rozumiał. Jego twarz promieniała szczęściem. Uwielbiał żonę i dziecko. Przed chwilą jeszcze patrzył w oczy śmierci, obecnie widział przed sobą życie. W kieszeni miał zapalki. Ryjąc wśród warstwy zbielejących bali mógł łatwo wyszukać suchy chrust. Za pasem posiadał nóż. I czuł, że owego psa, który się wałęsa z wilkiem, łatwo będzie zwabić i łatwo zabić. Nie umrą z głodu na Kwahoo! Dobry Bóg zezwolił, by przetrwali tych kilka dni, zanim wody opadną i będzie można zejść na ląd.

Pod upartą rześistą ulewą mężczyzna, Wziąwszy kobietę za rękę, wywiódł ją na środek pomostu. Woda spływała strumieniem z jej długich czarnych włosów, małej Janeczce kędziory oblepiły twarz i ramionka. Mężczyzna podszedł pierwszy do suchego gniazda zajmowanego dotąd przez Błyskawicę i Muszkę, a zajrzawszy do wnętrza wydał radosny okrzyk.

Z niewielkiej odległości Muszka i jej samiec obserwowali intruzów. Widzieli, jak wchodzi do jaskini, i Błyskawica warknął złowrogo. Wewnątrz mężczyzna zdarł z dziecka przemokłą odzież, podczas gdy kobieta wyżywała wodę z włosów. Lecz wtem, raptownie pochyliła się nad nimi, otoczyła ramionami szyję męża i córeczki i ucałowała oboje. Gaston Rouget parsknął śmiechem, a nieco później począł łupać nożem suche smolne szczapy. Wkrótce też Błyskawica i Muszka ujrzeli przejrzysty welon dymu bijący z wnętrza zrabowanego gniazda, a wielki kot Pisju, zagrzebany w swym schronisku, uczuł wyraźnie nienawistną woń.

W ciągu dnia całego Kwahoo drżał i dygotał pod straszliwym naporem wód, lecz zakotwiczony mocno stał w miejscu. Mężczyzna raz po raz wychodził z jaskini i usiłował zbliżyć się do Muszki. Kobieta trzykrotnie wychodziła z nim i raz Muszka dopuściła ją prawie na odległość reki. Gaston nie powierzył żonie swych zamiarów, stad w jej pieśczośliwych słowach nie było zdrady. Oczy jej błyszczały. Przemawiała miękko, serdecznie. Wyciągnięta dłoń zachęcała do zawarcia przyjaźni. Mimo to Muszka, ostrzegana groźnym warczeniem Błyskawicy, trzymała się stale w pewnym oddaleniu.

Uciekając przed ludźmi Błyskawica i Muszka parokrotnie przechodzili tuż koło legowiska wielkiego kota. Ryś obserwował ich nerwowym, zgłodniałym wejrzeniem, podczas gdy Błyskawica prężył mięśnie gotów do obronnej walki.

Znów nadeszła noc. Było strasznie ciemno, lecz deszcz już ustał. Pisju wylazł ze swej jamy, a za każdym krokiem długie, jego pazury żarłocznie wnikały w drzewo. Błyskawica, świecąc w mroku dwojgiem zielonych ślepi, czuwał i czekał chciwie wciągając powietrze. W pieczarze ze zwalonych pni spały jedynie kobieta i dziecko. Mężczyzna nie zmrzył nawet oczu, a pod ręką miał silną maczugę wyszukaną zawczasu.

Mała Janeczka żałośnie zakwiliła przez sen. Gaston zrozumiał. To także był głód. Wysunął głowę z jaskini i słuch wyteżył. Łoskot wody głużył wszelkie inne dźwięki, lecz w mroku ułowił łnienie pary zielonkawych ślepi. Potem coś zgryznięło słabo, niby wyostrzone pazury na twardym drzewie.

Pragnienie jada, silniejsze nad wszystko inne, opanowało gromadę rozbitków. Mężczyzna, ściskając w garści maczugę, wypełził ze schroniska.

Jednak po krótkiej bezowocnej wyprawie wrócił znów do wnętrza. Nieco później zaś Muszka, skulona w szczelinie pośród zwałonych drzew, zaskomlała tęsknie, próżno walcząc z nieodpartym pragnieniem pieśczoły kobiecej.

Lecz dopiero o wczesnym ranku, równie ciemnym jak najgłębsza północ, zbliżyła się do wielkiej jaskini. Mężczyzna ułowił chrobot jej pazurów z odległości dziesięciu *stóp*. Odkładając na bok maczugę dobył zza pasa noża i przyczajony czekał.

Muszka zbliżała się coraz bardziej, zaś o dziesięć kroków za nią stąpał Błyskawica, świecąc zielonymi oczami, nerwowym skowytym usiłując ją powstrzymać. Mężczyzna miał wrażenie, iż minęły całe wieki, zanim Muszka przydreptała do otworu. Wetknęła łeb do jaskini i usłyszał jak węszy. Potem wsunęła barki. Mimo ciemności wiedział, iż weszła do pół ciała. Skulony z boku wyciągał rękę, cal za cal, w drugiej dłoni wznosząc nóż do ciosu. Wreszcie szybko niby ryś rzucił się naprzód, pełną garścią chwytając żółtą sierść suki.

W ciemności nóż opadł. Przeciął mięśnie ześlizgując się po kości. Muszka zawyła rozpaczliwie, lecz straszny ryk Błyskawicy, śpieszącego na ratunek, i kłapanie jego zębów pokryły wszelkie inne dźwięki. Kobieta przebudziła się z krzykiem, a Gaston na oślepiep uderzył jeszcze dwa razy. Ale Muszka znikła już, pozostawiając mu jedynie w garści kłęb włosów. Nóż ugodził ją w łopatkę i krwawiła silnie. Umykając

wraz z Błyskawicą na drugi koniec Kwahoo, całą przebytą drogę znaczyła świeżą krwią.

W parę minut później kot Pisju natrafił na ów ciepły czerwony ślad i wielkie jego ciało aż się z wrażenia zatrzęsło. Stopa za stopą przetropił ślad w ciemności, by wreszcie okrążając parę spiętrzonych pni drzewnych, napotkać lśniące ślepie Błyskawicy.

Błyskawica skoczył pierwszy. Gaston Rouget, próżno poszukujący zwłok zranionego przez się psa, usłyszał poprzez wycie wód wzburzonych piekielny tumult bitwy. Nadzieja wstąpiła w jego serce. Pewien był, że pies właśnie zdycha, a wilk i ryś walczą o prawo do mięsa.

Ściskając w garści maczugę, przekradł się ostrożnie w pobliże placu boju. Widząc u swych nóg niemal skłębione w śmiertelnych zapasach ciała, parokrotnie z całej mocy uderzył w nie z góry. Dwa pierwsze ciosy chybiły, gdyż ryś-ostrowidz dostrzegł nowego wroga, jednym susem prysnął w bok i przepadł w mroku. Trzeci cios trafił Błyskawicę w łopatkę i wilk umknął również. Wtenczas na kolanach i rękach Gaston Rouget począł przeszukiwać miejsce. Palcami zmacał ciepłą posokę. Lecz żadnych zwłok nie znalazł. Muszka bowiem leżała właśnie skulona u boku Błyskawicy na przeciwległym końcu Kwahoo.

Mężczyzna wrócił do jaskini, gdzie Janka z małą Janeczką w ramionach czekała pełna niepokoju i trwogi. Pisju wypełził znów z ukrycia i żarłocznie wciągnął woń krwi przelanej. Błyskawica mając boki podarte długimi pazurami rysia, wodził wkoło dwojgiem swych szeroko rozwartych zielonkawych ślepi, błyszczących jak latarnie. Silniej niż głód przemawiał w nim inny instynkt. Było to gwałtowne, zwierzęce pragnienie obrony swojej samki. Muszka cichutko skomliła z bólu. Polizał ją czule, lecz mięśnie miał twarde jak żelazo. Zanim błysnął świt, wielokrotnie ułowił światła oczu rysia nad białym pomostem Kwahoo.

Tego dnia było już jaśniej. Gaston Rouget wiedział, że deszcze się skończyły, ale wiedział również, że powódź potrwa jeszcze dobry tydzień. Serce w nim omdlało, gdy stwierdził, że Muszka żyje i chodzi u boku Błyskawicy kulejąc tylko lekko.

Obecnie nawet kobieta nie mogła się do niej zbliżyć. Nauczona doświadczeniem, Muszka nie odstępowała Błyskawicy ani na krok.

W wielkich ciemnych oczach kobiety rósł wyraz okropnej grozy, a mała Janeczka płakała coraz częściej prosząc o coś do zjedzenia. Gaston tulił je obie w ramionach i śmiał się pogodnie dla dodania im odwagi. Wałęsał się też tu i tam, stale z maczugą w garści. Wreszcie, dobrze po południu, oglądając wejścia i wyjścia wiodące do kryjówki rysia, doznał nagłego natchnienia. Powierzył plan żonie, a pełna ufności kobieta rozplotła swe długie włosy. Gaston Rouget wysoko cenił każde lśniące pasmo, tym razem jednak uciął ich bez skrępowania - le' właśnie, ile potrzebował na uplecenie trzech sznurków silniejszych

niż drut lub rzemień. Ze sznurków uczynił pętle i sidła, te tuż przed zmierzchem założył w pobliżu rysiego legowiska.

A gdy noc zapadła czekał znowu z maczugą w garści. Kobieta z trudem ukołysała dziecko do snu. Sama już się nie kładła, lecz siedząc obok męża, z głową na jego ramieniu, modliła się gorąco o powodzenie łowów.

Ryś Pisju od dawna już żył na świecie i stawiał czoło wielu niebezpieczeństwom. Znał woń człowieka i jego podstępny, toteż gdy W mroku nocnym nie rozjaśnionym gwiazdami ni księżycem natknął się na pierwszą pętlę, mimowolnie stanął jak wryty. Włosy miały swoisty zapach — piękniejszy niż woń kwiatów leśnych, mówił Gaston Rouget — lecz Pisju nienawidził tej woni jak zarazy. Umknął więc przed nią i przełożył sobie inny chodnik z kryjówek na zewnątrz.

Nocy dzisiejszej był jeszcze chudszy niż wczoraj. Głód przerodził się w nim w obłąkane pragnienie jada. Jego futrem podbite łapy milcząco stapały po białych pniach, aż odnalazł prąd powietrzny niosący ze sobą zapach Muszki. Dobry kwadrans przeleżał teraz płasko na brzuchu. Potem bardzo wolno jął podchodzić zwierzyńkę. Męka głodu obdarzyła go odwagą szaleńczą. Nie bał się Błyskawicy. Gdyby zamiast jednego miał przed sobą trzy wilki, nie bałby się również. Nie tak dawno przy pomocy długich pazurów wypuścił wnętrzności karibu. Mając dwa lata ubił wilka. Był swego rodzaju olbrzymem, **zaś głód** pomieszał mu zmysły.

Błyskawica nie ułowił żadnej woni, gdyż wiatr był przeciwko niemu, lecz po chwili dostrzegł zielonkawe ogniki kocich ślepi. Gdyby Pisju miał rozum, to by oczy przymknął. Otwarłby je dopiero podpełzłszy na odległość skoku. Niestety, fakt, że sam doskonale widział bliźniacze latarnie Błyskawicy, nie mówił mu wcale, iż. własne jego ślepie są widoczne i zdradzają przed wrogiem każdy ruch. Tropił przecież pod wiatr, czyli powodzenie miał zapewnione.

Błyskawica nie usiłował bynajmniej odwiec rozwiązania wielkiej tragedii. Trwożne skomlenie Muszki, które się właśnie ozwało, umocniło go tylko w powziętej poprzednio decyzji. Wiedział doskonale, że właśnie o nią i dla niej musi teraz walczyć. Ani drgnął zatem. Muszka natomiast w obliczu okropnych zielonych ślepi, coraz bliższych, poczęła się nieznacznie cofać.

Skuleni u wyjścia do jaskini Gaston i Janka wpijali oczy w gęsty mrok, niespokojnie wyczekując końca. Oni również dostrzegli błysk ślepi, więc mężczyzna szeptem objaśnił, co ma się stać i co oni na tym zyskają. Wiedział bowiem, iż będzie to walka na śmierć i życie, która W rezultacie da im mięso, czyli możliwość przetrwania do chwil' padnięcia powodzi.

Gorączkowo podnieceni, ułowili pierwszy dźwięk wieszczący

okropny hałas zbudzi. Pojedynek wszedł od razu w fazę tak gwałtowną, że nawet Muszka nie umiała nic rozróżnić. Błyskawica, miast oczekiwać napaści, skoczył pierwszy, gdy kot był jeszcze oddalony o trzy metry. Pisju ledwo zdołał paść na grzbiet, przyjmując ulubioną bojową pozycję rysia, kiedy kły wilka zmacały już jego gardziel. Ze dwie lub trzy minuty może trwała tragiczna zjadła walka w ciemności. I oto raptem strach pierzchnął z serca Muszki. W żyłach jej zawrzała natomiast waleczna krew dzielnych okolic. To przecież walczył jej samiec, Błyskawica! Wiedziała, że walczył o nią. Czowała to. Rozjuszona, istny diabeł, skoczyła mu z pomocą.

Zęby miała krótsze niż Błyskawica, lecz ostrzejsze. Kłapiąc na oślep zwarła je na pachwinie kota. W szalonej pasji przebiła skórę i mięśnie zadając głęboką ranę. Potem przeniosła chwyt gdzie indziej i w ten sposób Muszka ocaliła swego samca przed rysiem Pisju tak, jak on uratował ją niegdyś przed białym niedźwiedziem — Wapuskiem.

Błyskawica bowiem walczył po ciemku z wrogiem, który był mu obcy i którego metod ani forteli bojowych nie znał zupełnie. Ranny, ociekający krwią, w paru miejscach mając brzuch przecięty niemal do kiszek, dzięki napaści Muszki ułowił właściwy moment i porwał rysia za kark. Jeszcze dwie minuty i Pisju zwiśł mu w psyku — martwy.

Poprzez mrok nadszedł mężczyzna z maczugą w garści, więc Błyskawica i Muszka, porzucając zwłoki swej ofiary, umknęli na najdalszy kraniec Kwahoo, gdzie długi czas jeszcze Muszka ciepłym, czerwonym językiem pieściwie lizła ciężkie rany swego samca.

A gdy nadszedł dzień, kobieta o lśniących włosach pojawiła się opodal, nie zbliżając się jednak zbyt, i cisnęła im kawał surowego mięsa. Lecz tylko Muszka jadła. W jaskini z pni drzewnych Gaston Rouget, żegnając się nabożnie, przysięgał, że cokolwiek by zaszło, nie skrzywdzi tych dwojga zwierząt, które chyba sam Pan Bóg mu zesłał dla poratowania w biedzie.

W dwa dni później Błyskawica również jadł już mięso przepojone zapachem rąk człowieczych i jeszcze pełne trzy doby zwłoki rysia były sprawiedliwie dzielone między ludzi i zwierzęta. Dnia siódmego wreszcie Błyskawica i Muszką odpłynęli ku brzegowi. Kobieta i mężczyzna patrzyli w ślad za nimi. W dużych ciemnych oczach Janki lśniły łzy wzruszenia, podczas gdy mężczyzna szeptał, że jutro oni również zjedzą już na ląd.

ROZDZIAŁ XXVI

Trezor

Trezor był psem jednego człowieka, zaś pan Trezora był właścicielem jednego psa, to znaczy, że Trezor nigdy nie znał innego pana, a pan jego z własnej woli innego psa nie miał. Panem tym był Gaston Rouget, panią — żona jego, Janka, zaś mała Janeczka, właśnie w czwartej wiosnie życia, była bóstwem, u stóp którego płaszczył się W pokorze.

Gdy wielka powódź wiosenna zmiotła sadybę Gastona, gdy wszyscy troje szczęśliwie opuściwszy pomost Kwahoo wydostali się znów na ląd — w nowej chacie, jaką Rouget zbudował na wschód od jeziora Slave zapanował okres szczęścia, a jednocześnie smutku. Byli bowiem pewni, że Trezor, którego nie mogli pomieścić w czóźnie, zginął w zalewie wód. Lecz Trezor umierał nie tak łatwo. Gdy; tylko nowy dom stanął pod dachem, jak pies, usłyszawszy dnia pewnego dźwięk siekiery pana, zjawił się w obejściu chudy, zgłodniały i rad.

Trezor był istnym olbrzymem, W żyłach miał niemal wyłącznie krew mastiffa. Przed pięciu laty, wczesną zimą, Gaston i Janka opuścili kraj nawiedzony zarazą dla nowych rewirów łowieckich, przenosząc się dalej na północ, i właśnie Trezor włókł wtenczas sanie ich wypełnione skromnym dobytkiem. W ciągu dni mrocznych i pogodnych, gdy nadzieja to rosła w sercach Gastona i Janki, to znów zamierała prawie, wspaniałe mięśnie Trezora nie osłabły ani razu. Pracując ciężko i uczciwie, niby wierny niewolnik umożliwił im wreszcie dotarcie do kresu podróży, nad rzekę Du Rocher. I tutaj właśnie pierwszej cudnej wiosny urodziła się Janeczka.

Jako pies jednego mężczyzny, jednej kobiety i jednego dziecka Trezor różnił się zasadniczo od innych psów leśnego kraju. Dzikość otoczenia nie uczyniła go okrutnym. Zabijał co prawda, lecz nie dla radości mordy. Nie wałęsał się też z wilkami ani uciekał z domu w okresie godów. Zdaniem Gastona Rouget był to istny cud. Lecz mimo wszystko Trezor tęsknił do towarzyszkii własnej rasy i szczególnie tej wiosny chadzał zgnębiony i smutny.

Gaston rozumiał go, toteż nieraz pieścąc olbrzymi łeb, przemawiał — Jesteś psem z Montrealu, Trezor, a Montreal daleko, piekielnie daleko! Marzysz o suczce z Montrealu, tylko ona nie przychodzi, co? Do pioruna, i czemuż nie słuchasz wilczyc? Łażą w pobliżu i wołają. Proszą cię, byś przyszedł, polubił i miał z nimi dzieci. No, idź, a potem wtrącaj jak dobry pies, bo mówię ci, że Montreal jest daleko, strasznie daleko! Idźże!. Powiemy ci do widzenia i idź! Wszystkie psy w lesie tak robią! Kiedy nie ma suki, to się bierze wilczycę. Po co czekać na tę damę z Montrealu? Wszystko jedno, nie przyjdzie!

I klepał psa po karku tak właśnie, jakby pocieszał człowieka — towarzysza, a potem śmiał się szczerząc zęby na myśl, co by też powiedziała jego czysta Janka, słysząc te potwornie rady.

Lecz Trezor ani myślał iść. Podczas gwiazdnych nocy włóczył się samotnie, gdy zaś dobiegało doń wycie wilcze, przystawał, słuchał i skomlał tęsknie z głębi wspaniałej piersi. Nigdy jednak nie dawał odpowiedzi. Wycie było przecież głosem innego plemienia, głosem nęcącym, ale obcym, Wiedział doborze, że to nie pies przemawia. Czekał więc, już piąty rok prawie, zatracony w tej głuszy

pustynnej, gdzie chatę Gastona dzieliło od chaty najbliższej pełnych mil trzydzieści. Zresztą, psy zamieszkujące tamte domostwo niczym właściwie nie różniły się od wilków i wyły zupełnie wilczą modą, toteż towarzystwo ich nie nęciło Trezora wcale.

— Zanadto jesteś wybredny! - tłumaczył mu w zaufaniu Gaston. — Skwaw wilka jest wcale niczego, zupełnie jak prawdziwa suka! Poczciwy z ciebie pies, Trezor, ale jednak dureń!

Lecz nieco później pozwalał sobie wobec żony na chytre przechwałki.

— Doprawdy, kochanie, nie ma i nie będzie już takiego psa jak Trezor! Co za bajeczną tresurę potrafiłem mu dać, że nawet w porze zalotów nie ciągnie do wilków ani do tych parszywych kundli Le Duca!

Janka, brała nieraz w obie ręce ciężki łeb Trezora i pieszcząc go wspominała znajome bory dalej na południu, gdzie stało więcej chat i mieszkało tylu przyjaciół. Mimo bowiem szczęścia, jakie jej dawał Gaston, i mimo miłości do małej Janeczki, ona również czuła czasem wielką samotność.

Aż nadeszła owa noc miesięczna pełna złotych gwiazd, gdy Trezor ułowił, słabo płynący ku niemu z oddali — dźwięk, nigdy dotąd nie słyszany w głuszy. Nie było to miauczenie rysia. Ani bek samy. Ani ryk łosia. Nie było to wycie wilka lub dzikiego huski.

Był to głos, o którym śnił i marzył, którego wciąż wyczekiwał daremnie— ujadanie psa.

Oddalona przeszło o milę, ze szczytu pagórka Muszka ujadała pod adresem łosia cwałującego w dół łąką poprzez srebrny księżycowy zalew. Błyskawica stał obok towarzyszki. Śliczna suka collie, mimo tylu przygód i przeżyć nie zatraciła bynajmniej specyficznych psich zwyczajów, o ile nie była głodna i nie czuła konieczności łowów, ujadała zawsze na widok wszelkich istot leśnych.

Dla Błyskawicy, zrodzonego i wychowanego wśród wilków północy, ujadanie Muszki stanowiło rzadką i' piękną muzykę. Podniecało go zawsze w błogi sposób, budząc bezwiednie wspomnienia nie znanej nigdy przeszłości rodu, która to przeszłość, nawiedzająca go dawniej jedynie we śnie, nabierała teraz cech realnych. Muszka i Błyskawica bowiem odbiegli obecnie o wiele setek mil od' pustyń polarnych i ziemia wokół nich porośła gęstym borem,' pokryta kobiercami łąk, łańcuchami wzgórz, lustrami jezior i siecią rzek srebrzystych, pełna wszelakiej zwierzyny i ptactwa — była istnym rajem.

Ze szczytu pagórka płaskiego niby stół przy świetle miesięcznym, tak prawie silnym jak światło dzienne, Muszka i Błyskawica spoglądali w dół na łąkę, podobną do morza mlecznej jasności. Widziane z góry wszelkie przedmioty były niewyraźne i dalekie, bowiem blask księżycy i gwiazd¹, ujęty w ramy kotliny, tworzył rozpyloną delikatną mgłę. Właśnie łoś przegalopował przez nią, groteskowy i olbrzymi, a Muszka ujadła nań poty, aż złota jej sierść zjeżyła się do ostatniego włosa niby twarda szczotka. Błyskawica zaś słuchał radośnie i obserwował ją wesoło, gdyż dla niego ta śliczna, szczupła suka była najpiękniejszą z istot ziemskich.

Nie był to już dawny krwawy zbójca, diabelski wódz stada białych wilków, dziki pan jeszcze dzikszej zgrai; nie szczyrzył zębów pod adresem wiatru, gdy go wiatr zwyciężył w biegu; nie mordował dla byle powodu, z nadmiaru sił jedynie. Spadł z wielkich wyżyn, lecz wraz z upadkiem przyszło nań szczęście. Niegdyś on panował innym; teraz nim rządono. Zabierał głos wtenczas tylko, jeśli szło o obronę lub zdobycie jadała.

Właśnie jak człowiek o mocnych barach, stalowych kościach i mięśniach daje się kierować jednym palcem słabej, lecz uwielbianej przez siebie kobiety — tak Błyskawica popadł całkowicie w niewolę Muszki. A Muszka ze sprytem swej płci właściwym, znająca swą władzę, używała jej w całej pełni w okresach bezpieczeństwa i dosytu. Błyskawica musiał wtenczas spełniać bez oporu jej wszelkie pragnienia i zachcianki. Jeśli ona umyśliła przeciąć strumień, a Błyskawica protestował, wszystko j e d n o przechodziła na drugi brzeg. Jeśli jej się zachciało spać, a Błyskawica zamierzał zwiedzać okolicę — o c z y w i s t i e szli spać. Jeśli ona obrała kierunek wschodni, a on zachodni — n a t u r a l n i e szli na wschód!

Prawdę mówiąc była to rozkoszna niewola, gdyż Błyskawica wiedział, iż jego godzina może każdej chwili nadejść. Na łowach bowiem, jeśli głód doskwierał, Muszka posłusznie szła u jego boku lub też dreptała za nim wiernie niby cień, nie spuszczając zeń oczu. A gdy błyskało i biły pioruny, Muszka, panicznie bojąca się burzy, tuliła się doń ciasno i opierała głowę o jego kark. A gdy była senna, to się kładła tuż przy nim wiedząc, że ta bliskość jest jej najpewniejszą osłoną. Natomiast, gdy Błyskawicy groziło niebezpieczeństwo, jak na przykład tej nocy kiedy walczył z rysiem na pomoście Kwahoo - Muszka zapomniała o bojaźni i biła się jak sam diabeł. To jej zęby właściwie przed kilku tygodniami (uśmierciły groźnego kota. Lecz dziś te same zęby rozdarto bark Błyskawicy za karę, że ją zwabił w jakieś krzaki, gdzie wielki żuk leśny ugryzł ją boleśnie w nos.

Nocy dzisiejszej Muszka upodobała sobie owe płaskowzgórze, lecz Błyskawica rad był z wyboru. Platforma, na której stali, była tak niewielka, że starczyło dwanaście dobrych skoków, by ją przebyć wzdłuż. Mierzyła zaledwie pięć do sześciu kwadratowych metrów. Porastała ją trawa wyjątkowo miękka i bujna, dzięki wodom kryształowego źródła bijącego w samym jej sercu.

Źródło owe odwiedzali już nieraz. Po dniu upalnym mile tu było znaleźć wypoczynek. Lekki, chłodny wiew, idący z bonu poniżej, rozkosznie wachlował znużone ciało. Lecz nigdy jeszcze, aż po noc dzisiejszą, Muszka nie ujadła ze szczytu tego wzgórza, nigdy również nie zapuścili się stąd dalej w kierunku nowej chaty Gastona Rouget. Nie wiedzieli w ogóle o jej istnieniu. Ani razu dotąd nie zwęszyli woni dymu,

ani przecięli ludzkich tropów, bowiem letnią porą 'traper nie odbywa dłuższych wędrówek.

Raj ten był ich rajem wyłącznymi. Panowała w nim bajeczna obfitość. Dniem słońce oświecało go hojnie; nocą gwiazdy i księżyc dawały dostateczny blask. Dlatego Muszka była szczęśliwa na równi z Błyskawicą, jakkolwiek w żyłach jej nie płynęła ani kropiła krwi wilczej.

Lubiła łowy. Lubiła gnać cwałem u boku swego półdzikiego samca. Lubiła chłodną knieję, przepastne mokradła, jeziora ukryte w głuszy, wężowy i tajemniczy bieg strumieni; lubiła ciekawe przygody i wiecznie nowe odkrycia. A nocy dzisiejszej, choć Ejapao, byk łosi, dawno ich już minął, ujadała nadal w pełną twarz księżycą z samej tylko radości istnienia. Błyskawica słuchał jej głosu, patrzył na piękny świat wkoło i serce biło mu szczęściem.

Lecz to ujadanie „psa z Montrealu”, psa z południowych ziem, psa cywilizacji — ułowił również olbrzymi fastiff Trezor. Nie była to co prawda pora zalotów, ale o szczegóły Trezor ani dbał. Od' dawna już przecież czekał i marzył, toteż latem czy zimą gotów był jednakowo odpowiedzieć na wezwanie. Dał nura w gęstą puszcę. Przebrnął junacko nieprzebytą niemal młakę*, byle tylko drogę skrócić. Gdyby pan jego lub pani zawołali nań w tej chwili, nie usłyszałby ich głosu, słysząc nawet, puściłby wołanie mimo uszu. Jeśli zamiast mili dzieliłoby go od Muszki mil pięćdziesiąt, jednakowo gnałby ku niej.

Dopał wreszcie stóp sporego urwiska i tu - stanął. Próżno jednak nasłuchiwał czas dłuższy. Z

żału zaskomlił cicho. Lecz Muszka skończyła już ujadać do księżycą. Trezor z wolna wgramolił się na górę i gorliwie węszył, by chociaż woń ułoić. Drożyna, którą następnie obrał, była szlakiem wydeptanym łapami tłustego jeżozwierzka Kak. Kolczasty ten jegomość chadzał tędy dwa razy dziennie, by gasić pragnienie u źródła, bijącego na szczycie wzgórza pośród szmaragdowej łąki.

Muszka pierwsza wyczuła nadejście Trezora. Bobrowała właśnie w najdalszym końcu łączki, gdzie się wylaniał szlak jeżozwierzka, pod-czas gdy Błyskawica, wyciągnięty na całą długość, leżał po drugiej stronie nad krawędzią urwiska. Wiatr był przeciwko Muszce, lecz u stóp wzgórza tworzył się wir powietrzny bijący w górę, stąd refleks zapachu Trezora, zupełnie nie dochodząc nozdrzy Błyskawicy, podrażnił raptem powonienie suki.

Momentalnie wyczuła różnicę. Nie był to wilczy odór. Nie był to zapach półdzikich, śmierdzących rybą kundli, które znienawidziła na pokładzie wielorybniczego statku. Była to woń jej rodziców i rodzeństwa, z którymi igrała kiedyś za dawno zapomnianych dni. Dreszcz ją przeniknął. Drżałaby tak samo właśnie, gdyby trup pana, leżący cicho pod kurhanem z głazów, wstał raptem z mogiły i przybył ku niej w miesięcznym świetle. ,

Nie postąpiła zjawie naprzeciw ani się wstecz cofnęła. Przywarowała natomiast płasko na brzuchu czekając. Błyskawica, leniwie spozierający ku równinie, nie widział nic z tego, co zaszło następnie.

Trezor, mający mięśnie sprężone jak stal, wynurzył się o dziesięć stóp od' Muszki. Widział ją, tylko ją. nic poza nią. Tylko jej woń wciągał chciwie.

Oczy jego odbijały światło gwiazd:, a Muszka, jakby chcąc max się lepiej pokazać, wstała raptem i wyprostowała się w całej swej okazałości.

Trezor z wolna postąpił bliżej. Milczeli oboje, lecz oczy ich płonęły. Gdyby Gaston Rouget zobaczył ich w tej chwili, wykrzyknąłby pewnie: „Do pioruna, toż te oba psy są z Montrealu!

Dopiero na tęskny, radosny skowyt Trezora, Błyskawica zwrócił łeb. Zobaczył ich od razu. Olbrzymi ciemny zwierz stał tuż obok Muszki, a suka złotym łbem pieściła kark przybysza. Potem — i w żyłach Bły-

skawicy krew zlodowaciała — Muszka poczęła wyczyniać wkoło taneczne skoki.

Jeszcze dobre pół minuty Błyskawica trwał w zupełnym bezruchu. Wreszcie; bardzo wolno, wstał. Oczy miał jak dwie płomieniste kule, a z głębi piersi huczał mu niski, ponury grzmot. Drżała w nim zapowiedź śmierci. Muszka i Trezor usłyszeli groźbę. I oto raptem suka wtuliła ogon między tylne łapy i wybiegłszy pomiędzy dwu rywali, stanęła.

Krok za krokiem, sztywno stawiając nogi, podczas gdy serce waliło

strasznymi Baloo, wodzem stada białych wilków, miał tak samo sprężone mięśnie niby stalowe liny. W miarę zaś jak Błyskawica się zbliżał, Trezor zbliżał się również, więc po upływie pół minuty dzielił ich już zaledwie jeden skok.

Pomiędzy dwoma groźnymi samcami stała Muszka, drżąca i przerażona. Lecz oto spryt właściwy płci słabej przyszedł jej z pomocą. Odrzucając strach, zalotnie potrząsnęła głową. W świetle miesięcznym machnęła puszystą kitą. Potem przypadła na przednie łapy u samych ich stóp i oto całe zainteresowanie obu rywali skupiło się na niej. Wtenczas skoczyła na nogi i podbiegłszy do Błyskawicy żartobliwie targnęła go za kudły. Aż znów dała susa między nich i przywarowała wdzięcznie.

Błyskawica był kompletnie oszołomiony. Spojrzał na Trezora. Trezor ani myślał o walce. Wspaniały mastiff był jeszcze potężniejszym zwierzęciem niż wilczy potomek Skagena. Pierś miał głęboką, łeb masywny i szczęki podobne lwiej paszczy. Lecz w jego lśniących ślepiach brakło bitewnego ognia. Świeciło w nich raczej zdumienie i niepewność. Trezor bez wielkiego trudu zmiażdżyłby kark wołu. Ale zabijaka nie był. Nie darmo od szczenięcia słuchał głosu kobiet i wielbił dzieci.

Błyskawica, gotowy już dać sus śmiertelny, widział teraz rzecz, której nie oglądał nigdy przedtem. Co prawda, niegdyś Mistyk, wielki wilk leśny, ofiarował mu również swoją przyjaźń. Lecz między nim a Mistykiem nie stała suka, gdyż inaczej walczyliby na pewno na śmierć i życie. Krew Błyskawicy wrzała. Warczenie wzbierało mu w gardle. Poczynał jednak rozumieć. Intruz nie był wilkiem. Nie był również z tych dzikich psów zamieszkujących kraj podbiegunowy. Woń Trezora bowiem przypominała przede wszystkim woń Muszki!

Wściekłość zeń opadła. Zielonkawe ognika zgasiły w głębi oczu. Cały owładnięty tajemniczym instynktem zapomniał o Muszce, widząc tylko Trezora. Poprzez dwadzieścia pokoleń wilczych wróciły doń czysto psie pragnienia i tęsknoty. Nie był sobą; był dogiem Skagenem. Zaskomlił przyjaźnie i dał krok naprzód. Trezor uczynił to samo. Zbliżyli się i stanęli ramie w ramie, pogodzeni.

Warując tuż przy ziemi, z pyskiem wtulonym między przednie łapy, Muszka obserwowała ich uważnie dwojgiem błyszczących ślepi.

ROZDZIAŁ XXVII

Dramat

Nocy tej. Trezor niedługo zabawił na małym płaskowzgórzu. Urodził się i wychował w szkole innej etyki zwierzęcej niż Błyskawica, a będąc psem białego człowieka, wiedział, co znaczy granica posiadłości. Rozumiał też, że na tej łączce prawo jest wyraźnie przeciwko niemu.

Błyskawica osiadł tu pierwszy wraz ze swoją samką. Wilk kojarzy się w pary raz na całe życie. Pies jest poligamistą. Lecz długie lata pobytu w głuszy dały Trezorowi swoisty pogląd! na świat i sprawy jego tak właśnie, jak paromiesięczna włóczęga po kniei zmieniła obyczaje Muszki. Gdyby Trezor posiadał towarzyszkę, walczyłby o nią na pewno. Walczyłby na śmierć i życie. Ale, na równi z Błyskawicą, nie zamierzał się bić o cudzą samkę. Było to prawo monogamii, częściowo wrodzone już, częściowo umocnione przez samotność.

Gdy nocy tej wrócił do chaty swego pana, był wyraźnie przygnębiony, a jednocześnie wruszony bardzo dokonany odkryciem. Błyskawica i Muszka towarzyszyły mu w dół zbocza i kawałek po łące. Lecz tu Błyskawica stanął, a Muszka widząc, że dalej nie pójdzie, stanęła również. Skomlała co prawda i przynaglądała go na wszelkie sposoby, ale gdy trwał bez ruchu niby z kamienia wykuty, jedynie wzrokiem śledząc Trezora, nie poszła jak zazwyczaj za głosem własnej fantazji. Nocy dzisiejszej bowiem ona również czuła drażliwość sytuacji.

A Błyskawica silił się zrozumieć. Spierały się w nim dwie natury: psia i wilcza. Po raz drugi w życiu nie miał ochoty walczyć; przeciwnie nawet, wraz z odejściem Trezora ogarnęło go uczucie wielkiej straty, tak jak po zniknięciu Mistyka. Jednocześnie dręczyły go strach i niepokój, reminiscencja dni owych, gdy urok ludzi i statku zakrzepłego w lodach pozbawił go Muszki.

Nie Trezora się bał i nie jego rywalizacji. Z Trezorem mógł się mierzyć zwycięsko, pierś w pierś, jak w swoim czasie z groźnym Baloo i później ze sforą malamutów. Lecz tu był przeciwnik innego pokroju. W kudłach Trezora węszył woń jego — woń chaty białych ludzi, dotknięcia męskich rąk, pieszczoty rąk kobiecych i dziecięcych.

Resztę nocnych godzin spędził na usiłowaniu odciążenia Muszki od płaskowzgórza i tropów Trezora. Powiodło mu się jedynie częściowo, gdyż Muszka kluczyła tak chytrze, że o świcie oddalili się właściwie zaledwie o milę.

Błyskawica bez trudu wyczuł nastrój samki. Wyraźnie chciała wracać. Nieraz stawała jak wryta i, półobrócona, badała przebyte gąszcze, jakby w nadziei, że Trezor się z nich wynurzy. Po nocy bezsennej mieli zawsze zwyczaj wyszukać dogodne miejsce, łowiące pierwsze blaski słońca, i tam zdrzemnąć się parę godzin. Była to wilcza moda, lecz Muszka przyswoiła ją sobie łatwo za przykładem Błyskawicy. Tego ranka więc, legli pod wielką skałą i natychmiast prawie Muszka zwinęła się w kłębek, kryjąc pysk w puszystej gęstwie kity. Ale nie zamierzała bynajmniej spać. Jej sprytny mózg pracował w podnieceniu. Przymknięte oczy w każdej chwili były gotowe szeroko się rozewrzeć. Leżała jednak cicho i po paru minutach Błyskawica nabral przekonania, że śpi.

Doznał ogromnej ulgi. Z głębokim westchnieniem wtulił ciężki łeb między przednie łapy. Słońce padało nań z góry darząc miłym ciepłem, susząc zwilżone rosą kudły, rozprężając sztywne mięśnie. Zapadł też wkrótce w 'zdrowy, krzepiący sen.

Nim się obudził, minęły dwie godziny. Szybko odwrócił łeb w stronę Muszki. Muszka znikła. Chwilę spozierał Wkoło pewien, że ją zaraz dojrzy. Potem wstał i obwąchał jej leże. Momentalnie głowa strzeliła mu do góry i oczy błysnęły niespokojnie. Miejsce było zimne i woń ledwo się dała wyczuć. Suka spoczywała tu widać krótko i dawno już stąd odeszła.

Błyskawica zaskomlił i dziwacznie kłapnął paszczą. Odnalazłszy właściwy ślad, ruszył tropem. Trop nie krążył i nie kluczył w gęstwinie, jeno prosto, jak strzelił, wiódł na znajome płaskowzgórze.

Błyskawica wdarł się na górę pełen trwogi i nadziei jednocześnie. Lecz łączka była pusta. Tylko jeżozwierz Kak wracał właśnie do dom z wodopoju, bełkocząc coś sam do siebie głupawo i zabawnie.

Jednak nos Błyskawicy uczynił pewne denerwujące odkrycie. Oto, bardzo niedawno był tu Trezor. Woń jego wielkich łap leżała jeszcze ciepła i wyraźna. Ciepły był również trop Muszki.

Mięśnie Błyskawicy zeszywniały jak stal; ponury grzmot wezbrał w jego piersi. Z wolina ruszył tropem, czujny, rozważny, gotów do natychmiastowej walki i pomsty. Ślad wiódł szlakiem wydeptanym przez jeżozwierza. Trezor i Muszka skręcili potem w dolinę, przecięli ją i weszli w obręb niewielkich błot. Poza młaką grunt się wznosił i tu suka wahała się wyraźnie, zanim podążyła za mastiffem. Przystawała też nieraz niepewnie. Jednak Trezor zawsze umiał ją zwabić.

Błyskawica nie miał już żadnych złudzeń. Trezor kradł mu towarzyszkę. Nienawiść coraz gwałtowniej wrzała w jego krwi. Nie była to ślepa wściekłość, lecz wyrachowana chłodna pasja. W takim stanie ducha pomścił niegdyś na Baloo śmierć Muhikun.

Z dziwną logiką, właściwą zwierzętom, nie czuł wcale urazy do Trezora.

ścił się jakby w jego rozumowaniu. Jedynym winowajcą był Trezor, pragnął więc walczyć z Trezorem i o ile możliwości, zabić go.

Lecz oto zaszło coś, co obróciło w niwecz cały jego plan. Wiatr był przeciwko niemu, toteż wychodząc na jakąś polanę ani podejrzewał, co na niej znajdzie. Była to kotlina właściwie porośnięta bujną trawą, łagodnym spadkiem biegnąca ku rzece. Na jej najdalszym krańcu Gaston Rouget zbudował swoją nową chatę. Błyskawica znalazł się w samym środku otwartej przestrzeni, zanim, wbiegłszy na mały ogródek, ze szczytu jego dostrzegł, co ma przed sobą.

Chata była zaledwie o trzysta lub czterysta jardów, w pół drogi zaś stała Muszka, a tuż koło niej — Trezor. W progu domostwa Gaston, Janka i mała Janeczka obserwowali powikłany dramat.

Z serca Błyskawicy pierzchnęła gorzka nienawiść, natomiast całym jego ciałem wstrząsnął dziwny dreszcz. W oczach jego rosły; zrozumienie, lęk, bezradność. W miejsce chaty zamajaczył mu raptem uwięziony w lodach statek i ciemny kurhan kamienny, wszystko owiane tajemniczą obecnością istot ludzkich wabiących Muszkę ku sobie. Trezor stanowił również ich część nierozdzielną. Miał wściekłości, czuł przed nim respekt. Lecz oto kobieta poczęła wołać i Błyskawica drgnął. Był to głos białej istoty z Kwahoo. Głos tej, która jego i Muszkę karmiła mięsem w dniach głodu. To była ona!

Raptem serce w nim zamarło. Muszka zbliżała się do kobiety! Błyskawica gwałtownie przełknął ślinę. Trezor poskoczył do Muszki i szli już razem. Trezor prowadził. Kobieta nieznacznie, sunęła im naprzeciw, wyciągając obie ręce i nawołując tak cichutko, że Błyskawica z trudem łowił jej głos. Lecz oto Muszka stanęła znowu. Trezor przynaglił ją, zachęcał. Aż stała się rzecz dziwna. Mała Janeczka, wyrwawszy się z rąk ojca, pędem minęła matkę i skoczyła do Trezora. Muszka nie uciekła, głodnymi oczyma patrzyła chciwie, jak dziecko pieści olbrzymiego mastiffa.

Wtenczas mężczyzna także zrobił krok naprzód, wyciągając ręce i nawołując łagodnie. Tym razem strach ścisnął Błyskawicę za gardło. Pamiętał dobrze, że pewnej nocy Gaston Rouget usiłował zamordować Muszkę. Ale Muszka pamiętała również. Blizna po bolesnej ranie żłobiła dotąd jej mięśnie. Chwilę jeszcze Błyskawica czekał. Potem, raptownie unosząc głowę, zawył ostrzegawczo.

Na ten dźwięk Muszka niby się ocknęła ze snu. Momentalnie skręciła w miejscu. W następnej sekundzie gnała już w stronę Błyskawicy jak śmigłą złota strzała. Gaston chwycił żonę za ramię i dłonią wskazując kierunek wykrzyknął zdumiony:

— Wilk, ma c h e r i e ! Wilk, który był na Kwahoo i zabił rysia!

ruszając klusem w ślad za Błyskawicą i Muszką ginącymi właśnie u skraju boru.

W gęstwinie Błyskawica natychmiast odzyskał dobitny humor. Muszka jak gdyby rozumiejąc, że wyprawiała mu brzydki kawał, uderzyła w pokorę, zwiwając się poddańczo u jego nóg, na co Błyskawica odpowiedział bez zwłoki, pocziwie liżąc ją po pysku. Lecz wtem, słysząc szelest, podniósł oczy i zobaczył Trezora stojącego o parę metrów.

Zachowanie olbrzymiego psa nie zdradzało cienia groźby. Był uosobieniem przyjaźni. Leciutko machał długim cienkim ogonem, co dla mastiffa jest rzeczą po prostu nadzwyczajną. A Błyskawica spozierając mu w oczy doznał przyływu sympatii, jakby refleksu uczuć wiążących go niegdyś z Mistykiem.

Z wolna podszedł bliżej i obwąchał przybysza od pyska po ogon. Trezor zniósł badanie spokojnie, nie wyjawiając ani trwogi, ani gniewu. Potem sam przeprowadził inspekcję. I po chwili oba potężne zwierzęta, stojąc ramię w ramię, spojrzały razem na Muszkę.

ROZDZIAŁ XXVIII

Waps

Mimo przyjaźni dla Trezora, której istnienie całkowicie zaznawał, Błyskawica, w miarę jak dni płynęły, czuł się coraz bardziej opuszczony i samotny. Jego wszelkie wysiłki nie zdały się na nic; nie potrafił oderwać Muszki od chaty Gastona Rouget. Co dnia niemal lub co nocy olbrzymi Trezor składał im wizytę, by odbywać potem wspólne wędrówki pośród błot i kniej.

Błyskawica wiedział doskonale, że Muszka wygląda nadejścia mastiffa. Gdy był nieobecny, węszyła czujnie wzrokiem przebijając gąszcze, a kiedy wracał do domu, towarzyszyła mu zawsze, nieraz znacznie dalej, niż by tego Błyskawica pragnął. Zazdrość gra u zwierząt ogromną rolę. Lecz Błyskawica nie rozwinął w sobie tej trucizny. Gdyby jednak Trezor był wilkiem, śmiertelny pojedynek prędzej czy później utoczy krwi Muszki. Był prawdziwym psem. I coraz bardziej upodabniał się do Muszki. Suka bowiem dnia pewnego dała się pogłaskać dużej Jance i małej Janeczce, więc Błyskawica ułowił w jej sierści woń rąk ludzkich. Przejęło go to ogromnym łękiem i jeszcze większym niepokojem.

Być może, nie tyle własny spryt, ile zbieg okoliczności pozwolił Muszce zrozumieć coś niecoś. Dla niej Janka, mała Janeczka, Trezor i chata to był po prostu — dom. Bo czym się, właściwie mówiąc, różniła ta ciemnowłosa kobieta od jasnowłosej pani dalej na południu; czym się różniła Janeczka od innych białych dzieci? A mastiff Trezor przypominał zupełnie te wszystkie psy, co to się włóczyły niegdyś po ulicach jej miasta.

Lecz rzeczy tych, dla niej zrozumiałych. Muszka w żaden sposób nie umiała udostępnić Błyskawicy. Ona sama całkowicie pogodziła się z jego knieją, natomiast w sercu Błyskawicy wszelki objaw cywilizacji wywoływał natychmiastowy gniewny bunt.

Trezor włóczył się z nimi stale niemal, Muszka jednak umiała zawsze poskromić jego temperament. Nigdy nie targała go pieszczotliwie za

sierść, jak to czyniła z Błyskawicą. Gdy przylegali na odpoczynek, zwijała się zawsze w kłębek po dawnemu u boku swego samca. Trezor to rozumiał i zachowywał właściwy dystans. Dwukrotnie zresztą Muszka ochłodziła jego zapędy. Po dwakroć białe jej zęby rozdarły kark mastiffa, dlatego Trezor lepiej niż kiedykolwiek wiedział, że Muszka należy do innego.

W tydzień po pierwszej wizycie Muszki w chacie Gastona Rouget Błyskawica wbił sobie głęboko w łapę ostry cierń. Ze dwa lufo trzy dni kuśtykał z trudem, po czym wyszukał dobrze ocienioną kryjówkę w pobliżu chłodnego źródła i zaszył się tam na czas choroby. Łapa mu nabrzmiała do podwójnej objętości i gorączka płonęła we krwi. Pierwszego dnia Muszka nie opuszczała towarzysza ani na chwilę, liżąc obolałe miejsce i śledząc go błyszczącymi oczyma. Przyszedł też i Trezor, by czas jakiś dotrzymać im towarzystwa. Gdy wracał do domu, Muszka nie objawiła najmniejszej chęci pójszcia za nim; nazajutrz towarzyszyła mu już, lecz wróciła po upływie pół godziny. Gdy jednak nocą wybiegła na łowy, Trezor polował z nią wespół.

Czwartego dnia choroby, zbudziwszy się ze snu pod wieczór, Błyskawica stwierdził, że Muszka znikła. Zwlókł się więc na nogi i skomląc pokulał do źródła. Tam gorącym jęzorem wychłęptał nieco wody, po czym minutę lub dwie stał nasłuchując. Gdy legł znowu, skowyczał już bez przerwy tęsknie i żałośnie. Lecz nawet i wtenczas nie było w nim uczucia zemsty. Upłynęła godzina, Błyskawica raptownie uniósł głowę na dźwięk miękkich kroków. Chwila jeszcze i pojawił się przed nim—Trezor.

W ślepiach obu potężnych bestii gorzało jednakie pytanie. Gdzie jest Muszka? Błyskawica, ponad karkiem Trezora, spojrział w gąszcz. Trezor gorliwie wciągnął powietrze usiłując ułoić znajomy dźwięk lub uchwycić woń. Minęła być może minuta, zanim psy zrozumiały. Muszka nie była z Trezorem. Nie była także z Błyskawicą. Na pytający skowyt wilka mastiff w odpowiedzi 'zaskomlił. Począł węszyć u skraju gęstwy, lecz suka pozostawiła tu tak wiele tropów, że daremnie usiłował wyłoić ostatni. Wrócił zatem do Błyskawicy i rozpląszczył się obok na całą długość wielkiego cielska. Dobrze pół godziny warowali tak obaj bez ruchu.

Potem Trezor zerwał się znów na nogi, rzucił Błyskawicy krótki skowyt i znikł w lesie, dążąc w kierunku chaty.

W odległości mili, kędy jedno z ramion Du Rocher biegło z północy na południe, Muszka czatowała w gąszczu, leżąc płasko na brzuchu z oczyma błyszczącymi nerwowo. Zaledwie o pięćdziesiąt stóp od niej tlił się gasnący obozowy ogień Indianina Psie Żebro. Przed godziną właśnie czerwonoskóry wegnał czółno na ład i rozniecił to ognisko. Piekł nad nim rybę. Ponieważ zaś jedyna żywa istota towarzysząca mu usiłowała rybę ukraść, skatował ją do półśmierci. Muszka usłyszała wycie i wkrótce potem leżała już ukryta w pobliskiej gęstwie. Stamtąd po raz pierwszy zobaczyła Narcyzę.

Narczyza zawdzięczała swe imię białemu człowiekowi, zaś Indianin z plemienia Psie Żebro, mający niejaki pojęcie o kwiatach, wołał ją gardłowym — Waps! Waps była, jeśli nie najbrzydszym, to w każdym razie jednym z najbardziej szpetnych psów na kuli ziemskiej, stąd jej biały pan darzył ją ongiś szczególną sympatią. Przed rokiem mniej więcej ktoś ukradł Narcyzę, ostatnio zaś, biedna suczyna, wpadła w ręce Meei. A Meea znieawidził ją z punktu. Dziś skatował nieszczęsne stworzenie gorzej niż kiedykolwiek. Dokonawszy swego zjadł rybę, owinał się w koc i usnął.

Mimo że Indianin chrapał już od paru minut, Muszka ani drgnęła. Natomiast mózg jej pracował gorączkowo. Odkąd tylko ułoiła woń obcej suczynki, wrzała chęcią zwrócenia na siebie jej uwagi. Waps była z rasy airedali i znacznie od Muszki mniejsza. Włos miała brudnorudej barwy, twardy jak szczecina. Chuda

była i koścista, o łbie nieproporcjonalnie dużym, gdyż mimo dwu lat skończonych wciąż jeszcze nie wyrosła z kształtów szczenięcych.

Wąsy jej i brwi, zjeżone gwałtownie, były znacznie dłuższe i niemal równie sztywne jak kolce jeżozwierza, a poprzez tę gęstwę, dwoje małych lśniących ślepek bacznie obserwowało śpiącego pana oraz całe otoczenie. I oto, raptem, blisko zupełnie, Waps dostrzegła Muszkę, stojącą na polanie i machając ogonem, w sposób doskonale rozumiały dla każdego prawdziwego psa. W dwie minuty później obwąchiwały już sobie nosy, a sękaty ogon Waps frenetycznie bił powietrze. Muszka bez trudu dała się zrozumieć. — Mam ci coś do pokazania! — zdawała się mówić. — Chodź ze mną! — Więc Waps obolała po niedawnych smarach usłuchała bez wahania.

W godzinę potem Janka Rouget, wyglądając drzwiami chaty, zobaczyła rzecz ciekawą. Półgłosem przywołała męża sporządzającego właśnie nową parę rakiet na nadchodzącą zimę. Gaston podszedł bliżej, rzucił wzrokiem ponad głowę żony i wydał cichy okrzyk zdumienia.

Tuż koło chaty kręciły się trzy psy, z których żaden nie był Błyskawicą. Gaston, nie spuszczać z nich oczu, mruknął.

— Do pioruna, jeszcze jeden pies z Montrealu! Ale to ci ma druty na gębie!

— Tss... cicho! — szepnęła Janka.

Trezor obwąchiwał właśnie małą Waps i każdy szczeciniasty włos suczynki zdawał się dygotać z radości na to wyróżnienie. Potem Gaston wybałuszył oczy: nigdy przecież nie widział nic podobnego. Oto Trezor począł wywijać ogonem jak maczugą i raptem, niby zwariowawszy do reszty, puścił się w płasy wokół Waps.

Muszka, jakby rozumiejąc, że misja jej skończona, skrzyła nagle i pokłusowała w stronę lasu, gdzie czekał Błyskawica. Waps jednak pozostała. A Trezor nie zauważył nawet odejścia tamtej. Dumny niby udzielny książę wiódł właśnie Waps ku chacie, w drzwiach której Janka i Gaston podziwiali, tak prosty zresztą, cud natury.

Trezor znalazł wreszcie towarzyszkę życia.

ROZDZIAŁ XXIX

Jesień

Przecudna wiosna Dalekiej Północy pełna życia i pieśni nadeszła i minęła. Lato miało się ku końcowi. Czerwonolistna jesień była tuż.

Tegoroczna wiosna i lato szcudrzej niż kiedykolwiek obdarzyły pięknem wielką połąć kraju leżącą pomiędzy jeziorem Great Slave i rzeką Du Rocher. Po głębokich śniegach srogiej zimy nadeszła wiosna tak czarowna, że nawet leśny lud rzadko podobną ogląda. Lato zaś spełniło wszelkie pokładane w nim nadzieje. W ciągu trzech miesięcy ziemia płynęła mlekiem i miodem. Krzewy i krzaki ociężały owocem bujnym

i słodkim. Śród miękkiej murawy, śród roztoczy błot, nawet śród gałęzi drzew pełno było darów bożych.

Gdy Janka i Gaston szli do lasu zbierać jagody, stopy ich mimo woli gniotły za każdym krokiem poziomki i truskawki, aż szkarłatny sok barwił na czerwono skórę mokasynów. Olbrzymie czarne porzeczeki, lśniące niby dżety, zwisały w bajecznych festonach. Maliny i jeżyny szczelnie zaścielały ziemię, to znów owinięte wokół pni sykomorów, całe osypane owocem, wyglądały w słońcu niby gorejące krzaki, niby purpurowe płomienie widoczne z odległości pół mili. Pod ciężarem jagód, ulubionym przysmakiem leśnych mieszkańców, kruche gałęzie gięły się i pękały. Miało się nieraz wrażenie, że w roku tym przyroda oszalała lekko i pragnie się poszczycić niewyczerpanym zasobem mocy, kosztem plonu innych lat, gdyż miara jej dobrodziejstw była tak szczodra, róg obfitości tak pełen, iż się przez brzegi przelewał.

A knieja aż się zachłysnęła śpiewem z wielkiej uciechy. Nieliczni zamieszkujący ją ludzie robili zapasy nie tylko na tę zimę, lecz i na przyszłą. Wszelki dziki stwór natomiast jadł bez umiarkowania. Małe niedźwiadki równie szybko rosły wszere, jak wzdłuż. Istoty skrzydlate i czworonożne wywodziły podwójne lęgi.

Lecz jesień była już blisko, a z nią pierwsze zimowe tchnienie nocy. Nowy dreszcz zrodził się zatem we krwi zwierząt. Był to niby potężny lęk budzący knieję z sytego odrętwienia i lenistwa. Lasy słabo na razie, potem coraz wyraźniej, poczęły zdradzać subtelny artyzm zdobniczy, którego wspaniały rozwój przypadał na wrzesień, miesiąc „gdy jeleni wyciera rogi”. Już teraz bowiem, jakkolwiek sierpień się dopiero kończył, złote i żółte plamy, z każdym dniem jaskrawsze, jeły błyskać śród zielonych i szkarłatnych gęstw boru. Aż pewnej nocy, kiedy Gaston i Janka siedzieli przed chatą, spozierając w gwiazdy, usłyszeli oboje krzyki dzikich gęsi lecących wysoko ponad ich głowami. Wtenczas Rouget leciutko trącił struny starych swoich! skrzypiec i półgłosem zanucił pieśń, która dziwnym trafem przywędrowała na Daleką Północ ze słonecznych krain Temiskaming i Timagami. Janka, śniąc o ziemi swoich ojców, wtórowała mu cichutko.

*Płyną łodzie wioząc futra, szumi (Temiskaming. Dziś
[spoczniemy, w drogą jutro, toki cel przed nami. Złote
słońce złoci rzekę, Sale wieczór blisko, Luta zima (już
daleko, wiosną cieszy wszystkich.*

*Moje dni się już skończyły, mój szlak już zatarty. Kędy
bure wilki wyły, mknęły lotne narty, Kędy siwe gęsi lecą
ponad bystrą wodą, Innym gwiazdy już zaświecą, bo ja
wracam do dom!*

Lecz oto, niby w odpowiedzi na ich głosy stłumione, z daleka bardzo, z samego serca kniei nadleciało długie, tęskne wycie wilcze. Dłoń Gastona odnalazła rękę Janki i mężczyzna rzekł z pewnym smutkiem.

— To ten wilk z Kwahoo, Janko! Lato już się niemal skończyło i on odejdzie — wkrótce. Wróci do swoich. Gdy się zbierze pierwsze stado wilcze i on się do niego przyłączy. Do pioruna, szkoda mi go!

W odległości dwu mil Błyskawica wył tęsknie. Zwróciwszy pysk ku gwiazdom raz jeden posłał w przestwór długą, żalobną nutę. Potem samotny kucnął na skraju żółknącej łączki i milcząc obserwował krajobraz. Był przygnębiony i smutny. Lato nie dało mu wcale tych rozkoszy, jakimi hojnie darzyło resztę stworzeń leśnych. Jadła, co prawda, było w bród. Pogoda śliczna. Dnie pełne słońca, noce pełne gwiazd. Lecz ciężka troska niweczyła spokój i radość.

Nie tęsknił bynajmniej do pustyni śnieżnych i do białych wilczych stad. Nie brakło mu wcale widoku dzikich tundr i pustynnych barren, gdzie przed laty dwudziestu kapryśny los zagnał przodka jego Skagena. Paromiesięczny pobyt wśród bujnych kniej południa pozwolił mu wiele zapomnieć. Prawie nie myślał o szaleńczych łowach pod szkarłatną glorią zorzy, o krwi broczącej śniegi, o walkach i pojedynkach, jakie tam wiódł. Pod tym względem przyroda łaskawa jest dla zwierząt. Nie odbiera im wspomnień, jeno je usypia do czasu, nieraz na lat parę. Błyskawicy na przykład, wywietrzała na razie z pamięci znieawidzona woń psów eskimoskich, jednakże, gdyby ją zwęszył na nowo, dawny wstręt wróciłby od razu. Wapusk, niedźwiedź polarny, był dla niego na razie cieniem tylko, lecz gdyby go niespodzianie spotkał, wizja bitwy stoczonej niegdyś przed opuszczonym igloo, a potem w szczelinie lodowej, jak żywa stanęłaby mu przed oczyma.

Jeden tylko rodzaj wspomnień był stale bliski i realny, ten, który dotyczył ludzi. Każda przygoda z człowiekiem wryła się głęboko w jego pamięć, częściowo dlatego, że był sam potomkiem cywilizowanego psa, a częściowo dzięki Muszce. Ona i człowiek zdali się być nierozdzielni. Spotkał ją przecież opodal ludzkiej mogiły, walczył o nią w pobliżu statku. Ona zwabiła go na Kwahoo, gdzie znów zobaczył ludzi. Ona wreszcie — i to bolało Błyskawicę najbardziej — trzymała go dotąd sąsiedztwie chaty.

Mimo wszelkich usiłowań nie mógł jej stąd odciągnąć. Bywała w chacie częstym gościem i Błyskawica, węsząc w jej sierści, łowił potem coraz silniejszy zapach rąk ludzkich. Była mu jednak wierna. Idąc na znajomą polanę, wabiła go zawsze za sobą. Wracając, wzywała go tęsknie. Błyskawica obserwował ją chmurnie i cierpiał.

Burzyła się w nim krew wilcza. W miarę jak tężał w powietrzu chłodny wiew jesieni, jak dni były krótsze, a dłuższe noce, głos dziczy przemawiał coraz bardziej władczo. Chciwie nasłuchiwał wycia burych braci leśnych. Na ukrytych polanach jelenie rozpoczęły rykowiska; po

mokradłach brzmiał donośny bek łośi; wilki zbierały się już w stada. Błyskawica dygotał nieraz wstrząsany wewnętrznym dreszczem, gotów prawie usłuchać wezwania i odejść sam jeden, na zawsze.

* * *

Nocami polowali częstokroć we czwórce: Trezor, kosmata Waps, Muszka i Błyskawica. Dziś jednak Muszka odnalazła Błyskawicę sama jedna. Błyskawica, upewniwszy się, że nikt jej nie towarzyszy, upieścił pyskiem złoty włos samki i nerwowo wyskomił swą radość. Lecz raptem nozdrza jego pochwyciły zniechęconą woń. Nie dalej bowiem jak przed godziną mała Janeczka bawiła się z Muszką. Janka pieściła ulubienicę, a po kolacji Gaston, nie wypuszczając z zębów fajki, oczyścił jej sierść z wplątanych między kudły ostów.

Błyskawica uważnie obwąchał grzbiet samki i warknął ponuro. Zresztą do niej samej nie miał żadnej pretensji i Muszka wiedziała o tym dobrze. Szło mu o chatę i o woń tej chaty. Muszka przywarowała na brzuchu, wtuliła nos między przednie łapy i obserwowała go z niepokojem. Zarówno bowiem jak Błyskawica czuł, że ludzie odmienili mu towarzyszkę, tak ona dostrzegła zmianę wywołaną w nim nadejściem zimy.

Poprzednio krążył zawsze w pobliżu domostwa. Ilekroć był jej potrzebny, odnajdywała go bez trudu. Lecz obecnie, wraz z chłodem nocy jesiennych, zdziżał jakoś.

Dziś szczególnie strach ją przygniatał. Z głębi kniei, poprzez gwieździstą mgłę nadleciało raptem wycie wilcze. Muszka dostrzegła, że mięśnie Błyskawicy prężą się niby do walki i wydała przerażony skowyt. Uderzył ją władczy zew tamtego głosu. Skomląc nadal, zwinęła się u stóp samca w pokorny kłębek i oto Błyskawica oprzytomniał. Zjeżona sierść opadła, oczy złagodniały. Po dawnemu poczcwiwie i radośnie upieścił nosem głowę jej i kark, obojętny już na obce wonie.

Tej nocy jednak on, a nie Muszka, kierował wyborem drogi. Rozmyślnie i uparcie odciągał ją od chaty. Na skraju łączki Muszka przystawała zwykle, nie chcąc iść dalej. Lecz dziś towarzyszyła mu posłusznie. A Błyskawica czuł, że wokół suki zgęszcza się jakaś tajemnica. Była inna niż przódy; wiedząc o tym biegł wolno i przystawał chętnie, ilekroć zdradzała znużenie. Kipiała w nim zresztą wielka radość, gdyż chata coraz bardziej pozostawała w tyle. Stąpał więc górną, puszył kitę i wysoko niósł wspaniały łeb. Coraz częstsze nawoływania wilcze puszczał mimo uszu. A skoro wreszcie po upływie dwu godzin Muszka legła pod ogromnym wykrotem, Błyskawica przywarował obok bez cienia protestu.

Muszka pozostała w tym miejscu aż do świtu. Rankiem wypiła nieco wody z pobliskiej strugi, po czym wlaźła w głąb wykrotu do ciemnej jamy i tam znów przyległa. Błyskawica był zdziwiony i trochę niespokojny zarazem. Nerwami wyczuwał tajemnicę, której nie mógł całkowicie pojąć. Wrócił mu jednak dobry humor. Miał znów Muszkę dla siebie tylko.

Nocy następnej Muszka nie objawiała wcale chęci powrotu do chaty, a ze swej strony Błyskawica ani zważał na wycie wilcze. Z konieczności jednak ruszył na łowy sam jeden. Ubił dwa króliki i złożył je u nóg Muszki.

Trzeciego dnia o szarym brzasku wrócił znów z niedalekich łowów. Bawił niedługo, jednak pod wykrotem zaszła wielka zmiana. Gdy wszedł do jamy cały drżący, świecąc oczyma w mroku, tajemnica opadła i pojął wszystko. Złotawe ślepie Muszki błyszczały łagodnym światłem; skomliła pieściwie a radośnie. Błyskawica zaś w obecności tego cudu skamieniał na mgnienie i stał niby posąg.

Muszka bowiem została matką. A dzieci jej, które właśnie przyszły na świat, były zarazem dziećmi Błyskawicy.

Tornado

Jedynie słodki szmer wiatru pośród gałęzi drzew nuci kołysanki istotom leśnym; jedynie gęźba wód podziela ich radość; jedynie chór ptaszęcy wita nowe życie. Gdy rankiem dzieci Błyskawicy przysły na świat, knieja wokół wykrotu zdała się o tym wiedzieć. Na pobliskiej gałęzi maleńki drozd śpiewał z takim przejęciem, aż mu gardelko pęczniało. Ruda wiewiórka, szukająca śniadania tuż nad głową Muszki, wyskrzeczwała przyjazne powitanie. Na wschodniej połaci nieba zaś słońce rozwinęło swój szkarłatny, złotem tkany proporzec niby symbol wielkiego święta.

W głębi wykrotu serce Muszki biło radośnie i nerwowo. To było jej pierwsze macierzyństwo. Dreszcz szczęścia wstrząsał całym ciałem. Na zewnątrz Błyskawica dygotał również, oszołomiony po prostu niezwykłością zdarzenia. Dobrą godzinę wałęsał się wokół gniazda, nie mogąc ustać w miejscu. Co chwila wchodził

do środka i wywachiwał drobne piszczące kruszyny, których w mroku nawet nie widział. Gdy potem wylaźił z jamy, niósł głowę wysoko, stąpał zadzierzyscie i buńczucznie świecił oczyma.

Nareszcie był ojcem. Fakt ten posiadał dlań znaczenie większe niż dla zwykłego psa, bowiem podług praw przyrody wilk łączy się w pary raz na całe życie. Błyskawica zatem widział w zrodzonych przez Muszkę maleństwach krew z krwi swojej i kość z kości. Gotów był walczyć w ich obronie i życie dla nich położyć. Pod tym względem Błyskawica--wilk stał wyżej od Błyskawicy-psa!

Zrozumiał też bardzo prędko, że ów wykrot, w którym spoczywa Muszka, jest miejscem nietykalnym. Wraz z tym zrozumieniem ogarnęła go fala dzikości. Wylazłszy z jamy po raz szósty, obszedł ją wkoło, nie przyczajony i badawczy, lecz wyzywający otwarcie. Wykrot stał się naraz jego wyłączną własnością. Ani dbał, kto tu zamieszkiwał przedtem! Po prostu pragnął usłyszeć jakiś sprzeciw, by natychmiast i bezlitośnie zaznaczyć swoją siłę.

Nie był to zapewne proces rozumowy, tylko wiekowy silny instynkt. Daremnie jednak wypatrywał oponenta. Wyszczrzył co prawda zęby na rudą wiewiórkę i warknął ku niej dwukrotnie, lecz rozsądek kazał mu na tym ograniczyć demonstrację.

Od nocy owej dalekiej gdy po raz pierwszy skojarzył się z Muszką, nie czuł takiego przyływu sił żywotnych, takiej gwałtownej chęci dokonania czegoś. Wyladował wreszcie energię przeszukując pobliskie chaszczce w pogoni za zwierzyną i zanim dzień rozpoczął się na dobre, dostarczył już swej samce trzy wielkie króliki. Była to znowu cecha wilcza. Muszka zaś, jakkolwiek nie miała zamiaru nic jeść, po dwakroć przejechała szkarłatnym jęzorem po jego burym pysku na znak wdzięcznego zrozumienia. Sama, czysto psiej rasy, umiała jednak należycie ocenić wilcze poświęcenie i rycerskość. Dlatego nie warczała na niego, gdy wchodził, jak to suki czynią zazwyczaj. Przeciwnie, witała go zawsze wzrokiem błyszczącym drżąc z zadowolenia i skomlać przyjaźnie.

A Błyskawica coraz pilniej usiłował coś zobaczyć.

Wiedział, co to jest, słyszał przecie słabiutkie popiskiwanie, lecz z powodu ciemności i wobec osłony ciała Muszki nie mógł nic dojrzeć. Ośmielił się wreszcie delikatnie poszukać i gdy po raz- pierwszy chłodnym czubkiem nosa dotknął miękkiej kruszyny, grzebiącej niezdarnie wśród ciepłych kudłów suki, skoczył wstecz, jak gdyby trafił na rozpalone żelazo. Ale już w chwili następnej ogarnął go taki zapal, że co prędzej ruszył na łowy. Nie ustał, aż ubił czwartego królika, po czym dodał puszyste zwłoki do trzech poprzednich złożonych u stóp Muszki.

Muszka wylazła z wykrotu dopiero po południu, lecz udała się tylko nad brzeg strugi, pochleptała nieco wody i wróciła do gniazda. O zmroku wyszła znowu. Błyskawica całą noc stróżował w pobliżu jamy. Nazajutrz ponownie puścił się na polowanie. Królików było tyle, że łowił je bez trudu i do czterech poprzednich dodał trzy świeżo ubite zwierzęta. Jednego Muszka zjadła. Zostały jeszcze cztery, ale nic nie mogło poskromić zapału Błyskawicy. Musiał przecie jakoś wyładować swą energię, że zaś Muszka nie mogła się z nim bawić ani biegać razem, jedynym ratunkiem były łowy.

Znosił więc króliki jeden po drugim, tworząc u wejścia do jaskini istną barykadę. Ostatecznie jednak stała się rzecz nieunikniona. Przykry odór jął zapowietrzać gniazdo. Słaby na razie, tężał z każdą godziną, aż wreszcie, gdy piątego dnia Błyskawica wrócił z łowów, niosąc nową zdobycz, zastał Muszkę przy gospodarskich porządkach.

Jednego po drugim suka wywlekała z wykrotu dziewięć króli i w odległości trzydziestu jardów od gniazda zakopała każdą padlinę z osobna w miękkiej ziemi, nagarniając na wierzch patyków i liści. Ukończywszy robotę po raz pierwszy wyległa na zewnątrz i z apetytem zjadła świeżo ubitego królika, którego jej Błyskawica przyniósł.

W kilka dni później, gdy Błyskawica wrócił z łowów, Muszka sprawiła mu nową niespodziankę. Korzystając z pięknej słonecznej pogody wyprowadziła dzieci na spacer. Wtenczas dopiero Błyskawica zobaczył je dokładnie po raz pierwszy, jak się pętają śmiesznie wokół matki i widok ten ucieszył jego serce ojcowskie. Mieli się też radować oboje, gdyż przyroda nie pokrzywdziła żadnego z nich. Szczeniąt było czworo: dwie żółte podpalane Muszki i dwie miniatury Błyskawicy — bure z siwym odcieniem.

W ciągu rozkosznych dni i nocy, jakie teraz nadeszły, Muszka nie miała wcale czasu myśleć o chacie Gastona Rouget i pozostałych tam przyjaciółach. Potomstwo jej było energiczne i żywotne, wymagające coraz to nowych starań i pieczy. Prawdę mówiąc, wzorem wielu matek Muszką zbytnio pobłażała swym maleństwom, nie odstępując ich prawie ani na krok. Jakże za to była dumna, gdy dnia pewnego cała gromadka podreptała w ślad za nią do wody. Błyskawica, natomiast, cieszył się jak wariat, kiedy po długim czekaniu szczenięta nabrały, wreszcie morderczych instynktów i na widok przyniesionego przez ojca świeżego królika rzuciły się wszystkie na zdobycz niby krwiożercza banda kanibali. Nie jadły jeszcze co prawda mięsa/tylko powarkując komicznie .na wyścigi darły turzycę.

Tymczasem w chacie Gaston Rouget i Janka byli pewni, że Błyskawica i Muszka odeszli na zawsze. Nawet Trezor i Waps podzielali to przekonanie. Olbrzymi mastiff i jego kudłata przyjaciółka przesiadywali też więcej w domu, a Waps z wolna zatracala kanciaste kształty najwidoczniej przybierając na wadze.

Lecz w sercu Muszki, mimo rodzinnego szczęścia, urok białych ludzi przygasł tylko, nie zaś wygasł zupełnie. Po pewnym czasie więc, coraz częściej poczęła marzyć o tym, by poprowadzić swe szczenięta do chaty na polanie. Noce bowiem były już chłodne. Rankiem na ziemi białał szron. Toteż instynkt radził jej szukać dla dzieci cieplejszego schronienia niż ów stary wykrot.

Trudno orzec, co by się stało wkrótce. Przypuszczam jednak, że...

Ale po co w ogóle robić jakieś przypuszczenia. Bo i kto odgadnie prawdę. Trzymajmy się więc lepiej faktów. Otóż los już przygotował końcowy dramatyczny epizod życia Błyskawicy. Dla osiągnięcia określonego celu wysłał Jootin Wetikoo.

Jootin Wetikoo nie był ani białym, ani Indianinem. Nie był w ogóle z krwi i mięsa. Był, krótko mówiąc, Diabelskim Wichrem. Ten Wicher Diabelski pojawiał się rzadko, raz na pięć lub sześć lat zaledwie. Lecz gdy nadchodził, Indianie byli pewni, iż wszystkie demony naraz w ataku szaleństwa usiłują zniszczyć biedną ziemię. Biali ludzie natomiast wiedzieli dobrze, że to nie żadna tajemnica i nie duchy, tylko po prostu północno-zachodnie tornado, które, przebiwszy się jakoś przez łańcuch Gór Skalistych, spadało na leśny kraj, by za

każdym razem zostawić po sobie ruiny i żałosne szczątki.

Tego roku, jakkolwiek był już koniec września, nadejście klęski poprzedził istny sabat piorunów i błyskawic. Pierwszy pomruk burzy ozwał się wraz z zapadnięciem zmierzchu. Temperatura uległa szybkiej zmianie. Było parno i duszno. W ciężkiej atmosferze przelatywał chwilami raptowny poryw wichru, niby prąd. powietrza po armatnim strzale gromu.

W pół godziny później kataklizm się rozpętał. Czas jakiś niebo całe było jednym morzem ognia, a ziemia zdawała się dygotać. Muszka skuliła się w swym gnieździe, podczas gdy szczenięta, piszcząc, szukały przy niej ochrony. Błyskawica trzymał straż u wejścia do wykrotu, leżąc płasko na brzuchu i bacznie spoglądając na wsze strony. Raptem lunął deszcz. Dobre dziesięć minut trwał istny potop, po czym grzmoty, błyskawice i ulewa szybko uciekły na zachód i nastąpiła okropna, złowieszcza cisza. W ciszy tej Błyskawica łowił bełkot wezbranej nagle strugi oraz słyszał, jak padają z gałęzi drzew ciężkie krople. Aż wtem, w oddali, rozbrzmiało niskie stłumione wycie.

Wycie to już nie umilkło. Przeciwnie, wzmagało się nieustannie. Wolno, lecz uparcie nadlatywało bliżej, hucząc wreszcie jak potężny wodospad. I oto, niby lawina, spadło ma knieję. Błyskawica nie widział nic, lecz słyszał tumult tak straszliwy, tak przechodzący wszelkie pojęcie, iż nawet najsroźsze podbiegunowe huragany nie sprawiały podobnego.

Droga, którą kroczyło tornado, była zaledwie na pół mili szeroka, jednak w odległości mil pięciu Gaston i Janka drżeli słysząc jak stąpa. Drzewa trzaskały w pół lub padały z konarami wydarte. Wyniosłe jodły i cedry łamały się jak trzciny. Gąszcz rzedł raptem; otwarta polana stawała się gmatwaniną szczątków nie do przebycia. Chwilami mogło się zdawać, iż z serca wichru wyłaz, sięgając w dół olbrzymie ramię

krusząc i zmiatając wszystko na swej drodze niby potwornej siły miotła. Ryk ogłuszał po prostu. Choćby ci strzelono z fuzji tuż koło ucha, nic byś nie usłyszał. Człowiek skłonny byłby wierzyć, iż nadchodzi koniec świata.

Tornado kroczyło wprost na stary wykrot. W ostatnim mgnieniu jednak skręciło nieco, zawadzając tylko lekko bokiem. Błyskawica, leżący z tej strony właśnie, uczył raptem jak się nań wałą gałęzie, liście i wszelakie szczątki. Potem zdławił go straszny ciężar i ogarnęła kompletna, nieprzenikniona noc.

W odległości dwudziestu stóp zaledwie gniazdo Muszki nie ucierpiało niemal wcale. Suka, drżąc, pieściła pyskiem swoje maleństwa, podczas gdy tornado, strzeliwszy ponad nią, odchodziło szybko jak rozpędzony ekspres. Drogę, wyrwaną przezeń w puszczy, zalała na krótko fala ulewy, lecz już w pół godziny później nastąpiła dawna cisza, przerywana jedynie chwilami słabym porywem wiatru.

W ciszy tej Muszka po raz pierwszy uловиła jakiś dziwny dźwięk. Poznała głos Błyskawicy. Nie był to jednak skowyt. Ani wycie. Ani pisk. Gdy przyszło bowiem do znoszenia cierpień, Błyskawica zachowywał się jak prawy wilk, toteż i obecnie wydawał zaledwie niską, gardłową nutę bólu. Lecz Muszka usłyszała go i zaskomliła w odpowiedzi. Dobiegło ją natychmiast ciężkie chrapliwe westchnienie. W pół minuty później odnalazła Błyskawicę poprzez splot konarów, gałęzi i szczątków wszelakich. Leżał na boku, a ponad nim, przygniatając go do ziemi, leżało zwalone drzewo dwakroć grubsze niż ciało ludzkie.

W wąskiej, złotawej głowie Muszki mieścił się sprytny mózg psa collie, mózg wykazujący nieraz ludzką prawie inteligencję, więc nocy tej biedna suka godzinami ryła ziemię, by ocalić życie towarzysza. Wyczuwając bliskość śmierci nie żałowała trudu ni sił. Po burzy niebo się wyjaśniło. Świecił księżyc i gwiazdy. Muszka pracowała bez wytchnienia. Szczenięta płaczkliwie wzywały matki, lecz nie zważała na nie. Rwała grunt zębami i pazurami, aż osłabła zupełnie, skrwawiła pysk i łapy. Jednak nie mogła uratować Błyskawicy. Wilk był zgnieciony przez pół. Miał złamaną nogę i życie konało w nim z wolna.

O wczesnym brzasku Muszka zaprzestała wreszcie beznadziejnych usiłowań. Lecz wobec tragicznej ostateczności jedna myśl budzi się zawsze w mózgu psa collie. Człowiek! Pomoc ludzka! A więc zbierając resztkę energii, Muszka jednym tchem przebyła pięciomilową przestrzeń dzielącą ją od chaty Gastona Rouget, a przed drzwiami urządziła taki koncert, tak wyła i drapała, aż Gaston i Janka wyskoczyli z łóżek, by sprawdzić, co się dzieje.

Było już jasno. Wschodzące słońce barwiło właśnie horyzont. Skoro drzwi się rozwarły, Muszka wpadła do chaty i na jej widok ludzie wy-dali okrzyk zdumienia. Łapy suki bowiem zostawiały na podłodze krwawy ślad. Dyszała ciężko, gotowa zaraz upaść. Lecz mimo to skoczyła

wnet przez próg i polanę w las, potem nawróciła, pobiegła raz jeszcze, szczerząc wciąż nerwowo, prosząc, błagając wyraźnie, by ktokolwiek zechciał za nią iść. Wreszcie więc Rouget pojmując, iż jest w tym jakaś tajemnica, ubrał się szybko, wziął karabin w garść i podążył za psem.

Słońce wspięło się już wysoko i ostatni promień świadomości gaś w mózgu Błyskawicy, gdy raptem zamajaczyła nad nim jakaś postać. Poznał człowieka. Tuż obok dostrzegł Muszkę. Potem wzrok odmówił mu posłuszeństwa i nie widział już nic. Słyszał tylko głosy, lecz i te przestały doń dochodzić wkrótce. Utonął w ciemnej ciszy. Gaston Rouget zaś, używając młodej sosenki zamiast lewara, pracował zapalczywie z siłą olbrzyma i w dwie godziny później wchodził już na polanę niosąc w ramionach dziwaczny ciężar.

I znów Błyskawica czuł, że coś się z nim dzieje. Otworzył oczy. Oszołomiło go otoczenie. Był jednak całkowicie bezradny. Nie mógł się ruszać. Ciało miał sparaliżowane. Gaston trzymał jego przednią łapą wyciągniętą mocno wzdłuż wąskiej deseczki, Janka zaś owijała wkoło raz za razem długie pasma płótna. Błyskawicy brakło nawet sił, by warknąć w formie protestu. Przemawiali doń zresztą oboje spokojnym, łagodnym tonem, a gdy opatrunek był gotów, kobieta pieściwie pogładziła bury łeb. Tuż za nią Błyskawica widział małą Janeczkę, szeroko rozwierającą lśniące oczy, w progę zaś — nie śmiąc wejść wobec stanowczej komendy Gastona Rouget — tkwiły Trezor i Waps.

Umieszczono go potem w kącie chaty na miękkiej derce, a mężczyzna wyszedł, biorąc ze sobą Trezora i Waps. Błyskawica leżał tak czas dłuższy, niby przez mgłę obserwując kobietę krzątającą się po izbie. Janeczka, płacząca się u matczynej spódnicy, podbiegała nieraz tuż i z bliska obserwowała wielkie bure zwierzę. Kobieta również podchodziła czasem, odważnie gładziła go po głowie i wtykała pod sam nos to świeże mięso, to wodę. Aż wreszcie po paru godzinach mężczyzna wrócił, a z nim razem do chaty wbiegła — Muszka. Najwidoczniej była zmęczona okropnie, mimo to jednak skakała nerwowo wokół wielkiego kosza, który Gaston dźwigał.

Kosz ustawiono na podłodze, otwarto i — jedno po drugim — Gaston wydobył zeń czwórkę szczeniąt: dwie małe córeczki Błyskawicy i dwu małych jego synków. Całą gromadkę złożono u boku ojca. Janka i Janeczka co chwila wybuchały radosnym śmiechem, a Muszka zadowolona okropnie, frenetycznie machając ogonem, dała parę susów i zwinęła się wreszcie w kłębek tuż przy Błyskawicy. Błyskawica, wzruszony bardzo, nic nie rozumiejąc, przymknął oczy i westchnął głęboko.

Tak wzdychał niegdyś olbrzymi dog Skagen. Po latach dwudziestu duch psa odniósł triumf całkowity, a sen Błyskawicy się ziścił. Odtąd nie miał się już nigdy bać woni człowieka ani dotknięcia ręki ludzkiej.

Gaston, odpowiadając na pytające spojrzenie. Janki, wzruszył ramionami i parsknął krótkim śmiechem.

— Tak, kochanie, będzie żył na pewno! Minie sporo tygodni, zanim potrafi biegać i zawsze będzie nieco kulał, lecz będzie żył i nigdy już nas nie porzuci. W oczach ma czysto psi wyraz. Pokocha ciebie. Nie mnie, Gastona Rouget, wielkiego, kudłatego draba, ale ciebie, moja słodka Janko! Pokocha wyżej głowy! Już cię śledzi wzrokiem, jak dobry, wierny pies! Myśli pewnie, że po długiej włóczędze odnalazł wreszcie swój dom. I mówię ci, Janko, że on już zostanie z nami!

KONIEC

Digitalizował BodzioKB